

DVD: FILM „MATUSIA. OPOWIEŚĆ O SPRAWIEDLIWEJ.”

PISMO O NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

BIULETYN IPN

CENA 8 ZŁ (W TYM 8% VAT) ■ NR 9 (214) WRZESIEŃ 2023



SPIS TREŚCI

BŁOGOSŁAWIONA RODZINA ULMÓW

Dariusz Walusiak – Ulmowie – męczennicy z Markowej 3

W Markowej na Podkarpaciu 24 marca 1944 r. Niemcy za ratowanie Żydów zamordowali Józefa i Wiktorię Ulmów z siódmką dzieci, z których najstarsze było niespełna ośmioletnie, a najmłodsze wkrótce miało się narodzić. Od tego tragicznego dnia minęło 79 lat i znów powracamy do tej historii. Tym razem powodem jest zakończenie procesu beatyfikacyjnego, który otworzył Ulmom drogę do chwały ołtarzy.

Cztery filmy dokumentalne o rodzinie Ulmów 15

WOJNA I ZADOŚĆUCZYNIENIE

Reparacje – kwestia racji stanu. 23

Z Arkadiuszem Mularczykiem, sekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, pełnomocnikiem rządu ds. odszkodowań, przewodniczącym Rady Instytutu Strat Wojennych im. Jana Karskiego, rozmawia Kinga Hałacińska.

Tomasz Panfil – Powojenne Niemcy wobec przeszłości 33

Niemcy aspirują dziś do przywództwa w Europie. Są z pewnością potęgą gospodarczą. Jak do tego doszły? Czy potrafiły dokonać politycznego i społecznego oczyszczenia, potrafiły w pełni rozliczyć się z ludobójczą przeszłością, wyznały winy i zadośćuczyniły skrzywdzonym?

Kinga Hałacińska – Rodzina Ponarska walczy o pamięć 48

W podwileńskich lasach w czasie okupacji niemieckiej zamordowano w okrutny sposób dziesiątki tysięcy osób. Trwa walka, by świadectwo tej straszliwej, latami przemilczanej zbrodni trafiło do szkolnych podręczników.

Tomasz Ceran – Zbrodnia Pomorska 1939 64

Tomasz Sikorski – Dom utracony 75

Anna Zechenter – Karoliny Lanckorońskiej
wojna z III Rzeszą86

Mariusz Świątek – Wysiedlenie
i zniszczenie Jasła w 1944 roku101

Anna Ziółkowska – Niemiecki obóz
w Żabikowie 109

KOMENTARZE HISTORYCZNE

Piotr Niwiński – „Wileńskie
zagrożenie” 121

Grzegorz Majchrzak
– Opamiętajcie się! 132

Przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego
na Czechosłowację w sierpniu 1968 r. protestowali zarówno
Polacy w PRL, jak i na terytorium naszego południowego
sąsiada, a także na emigracji. Po latach wiemy, że skala tego
sprzeciwu – wbrew do dzisiaj pokutującym mitom – okazała się
zaskakująco duża. A także że protesty te były nader różnorodne
– od chyba najbezpieczniejszego rzucania legitymacji
partyjnych po formy skrajne. Tę najbardziej dramatyczną
wybrał Ryszard Siwiec, który w trakcie ogólnopolskich dożynek
na Stadionie Dziesięciolecia dokonał samospalenia.

SZLAKI NADZIEI

Szlaki nadziei. Historie znane
i nieznane 141

Małgorzata Ptasieńska – Tygodnik
„Orzeł Biały”. Oręż w walce
o wolną Polskę144

OPOWIEDZIANE HISTORIE

Ziemia od mundurów była granatowa.
Relacja Ireny Erchard
o Michale Adamczyku154

Kolegium:

dr hab. Adam Dziuba, dr Wojciech Frazik,
dr Piotr Grzelczak, Adam Hlebowicz,
dr Kazimierz Krajewski,
dr hab. Mariusz Krzysztofiński,
dr hab. Sebastian Ligarski, dr Marcin Majewski,
dr hab. Filip Musiał, dr Wojciech Muszyński,
dr hab. Piotr Niwiński, Jan M. Ruman,
dr hab. Krzysztof Sychowicz

Redaguje zespół:

Wojciech Butkiewicz – sekretarz redakcji
(tel. 22 5818813, wojciech.butkiewicz@ipn.gov.pl),
Jakub Gołębiowski (jakub.golebiowski@ipn.gov.pl),
Kinga Hałacińska (kinga.halacinska@ipn.gov.pl),
Romuald Niedzielko – zastępca redaktora naczelnego
(romuald.niedzielko@ipn.gov.pl),
Jan M. Ruman – redaktor naczelny
(jan.ruman@ipn.gov.pl),
Anna Zechenter (anna.zechenter@ipn.gov.pl),
Piotr Życieński – fotoreporter

Sekretariat:

Maria Wiśniewska
(tel. 22 5818819, maria.wisniewska@ipn.gov.pl)

Projekt graficzny, projekt okładki i łamanie:

Katarzyna Dziedzic-Boboli

Korekta: Beata Stadryniak-Saracyn

Adres do korespondencji:

ul. Kurtyki 1, 02-676 Warszawa

Druk:

LEGRA Sp. z o.o. ul. Albatrosów 10c,
30-716 Kraków

Na okładce:

Rodzina Ulmów.

Na podstawie fotografii ze zbiorów Mateusza Szpytmy



DARIUSZ WALUSIAK

ULMOWIE – MĘCZENNICZY Z MARKOWEJ

W Markowej na Podkarpaciu 24 marca 1944 r. Niemcy za ratowanie Żydów zamordowali Józefa i Wiktorię Ulmów z siódmką dzieci, z których najstarsze było niespełna ośmioletnie, a najmłodsze wkrótce miało się narodzić. Od tego tragicznego dnia minęło 79 lat i znów powracamy do tej historii. Tym razem powodem jest zakończenie procesu beatyfikacyjnego, który otworzył Ulmom drogę do chwały ołtarzy.

H

istorię rodziny Ulmów poznałem przeszło dziewiętnaście lat temu. Wówczas realizowałem pierwszy film dokumentalny opowiadający o tej tragedii. W 2014 r. nieco go zmodyfikowałem i poszerzyłem o nowe fakty. Nie przypuszczałem, że po raz kolejny powrócę do tego tematu. A jednak. Ponownie odwiedziłem Markową, gdzie wszystko się zaczęło.

Czy wiemy już wystarczająco dużo o tej zbrodni? Na pewno nie. Im większe zainteresowanie Ulmami i tym, co działo się w czasie okupacji w ich rodzinnej wsi, tym częściej ujawniane są nowe fakty.

Ci, którzy chętnie przedstawiają Polaków jako mordujących Żydów w czasie okupacji, z trudem przełknęli rozszerzające się zainteresowanie bohaterским czynem rodziny Ulmów. Fakt ten traktują jednak jak przysłowiowy wyjątek, który nie podważa reguły. Zaangażowanie Polaków ratujących Żydów usiłują sprowadzić do tego rzadkiego aktu miłosierdzia. Świadczy o tym chociażby wypowiedź prof. Jana

■ WIKTORIA ULMA Z NAJSTARSZĄ CÓRKĄ STASIĄ PRZY ODRABIANIU LEKCJI.
FOT. ZE ZBIORÓW MATEUSZA SZPYTMY



**BŁOGOSŁAWIONA
RODZINA ULMÓW**



Grabowskiego z Uniwersytetu w Ottawie, zagorzałego oskarżyciela Polaków o zbrodnie dokonywane na Żydach. Podczas międzynarodowej konferencji naukowej „Wokół pomocy dla Żydów w okupowanej Europie” organizowanej w Warszawie w listopadzie 2014 r. przez ŻiH, PAN i IPN powiedział on: „w dzień po tym, jak Niemcy zamordowali rodzinę Ulmów mieszkańcy tejże wioski wymordowali wszystkich Żydów, których ukrywali dotąd z wielkim poświęceniem, gdyż byli tak przerażeni”. Gdzie prof. Grabowski znalazł taką informację, tego nie chciał ujawnić. Urodzonego w Markowej dr. Mateusza Szpytmę, który od lat zbiera dane o pomocy udzielonej Żydom w jego rodzinnej wsi, prof. Grabowski zbył stwierdzeniem „ujawnię to w odpowiedniej chwili”. Na razie polecił dociekliwemu historykowi, obecnie wiceprezesowi IPN, powściągnąć ciekawość. Do dzisiaj prof. Grabowski nie przedstawił żadnych dowodów na potwierdzenie swoich słów wypowiedzianych publicznie.

W grudniu ubiegłego roku papież Franciszek zgodził się na beatyfikację Ulmów. Nie tylko Józef i Wiktoria, którym w 1995 r. Instytut Yad Vashem z Jerozolimy po-

śmiertnie przyznał tytuł Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, ale także siódemka ich dzieci dostąpi tego zaszczytu. Kościół katolicki 10 września ogłosi całą rodzinę Ulmów, w tym po raz pierwszy w historii dziecko nienarodzone, błogosławnymi męczennikami. Świadkowie, którzy po bestialskiej egzekucji grzebali ciała pomordowanych, mówili, że między udami Wiktorii widoczna była główka i część tułowia dziecka.

Wieść o beatyfikacji wzbudziła duże zainteresowanie już nie tylko w Polsce, ale także daleko poza jej granicami. Na nowo ożyły wspomnienia okupacyjnych lat. Świadków już jednak pozostało niewiele. Sięgnąłem więc do materiałów, które podczas mojego pierwszego wyjazdu do Markowej zarejestrowałem na taśmach filmowych. Wszyscy moi rozmówcy już dawno nie żyją, ich wspomnienia tym bardziej nabierają znaczenia. Teza prof. Grabowskiego całkowicie błędnie wobec tych świadectw. W domu Antoniego i Doroty Szylarów przez rok i siedem miesięcy ukrywała się siedmioosobowa żydowska rodzina Weltzów. Ich córki opowiadały mi o tragicznym poranku 24 marca 1944 r. Kiedy lotem błyskawicy rozeszła się po wsi wieść o zamordowaniu całej rodziny Ulmów wraz z ukrywającymi się u nich Żydami, śmiertelny strach padł na markowian. Ci, którzy znajdowali się w podobnej sytuacji, uzmysłowili sobie, że też mogli być na miejscu Ulmów. Bestialski mord był przestrogą dla całej społeczności wiejskiej. Zrozumiano, że Niemcy nikomu nie darują sprzeciwiania się ich zarządzeniom. Nawet małe dzieci mieszkające pod jednym dachem z ukrywany- mi Żydami były śmiertelnie zagrożone. Na Żydów zapadł wyrok, wszyscy mieli być unicestwieni. Kto mimo ostrzeżeń zdecydował się zmienić ich los, mógł zginąć razem z nimi. Śmierć groziła nie tylko za ukrywanie Żydów, ale także za jakikolwiek wobec nich odruch serca. A tym było chociażby podanie kromki chleba, wody, wskazanie drogi ucieczki, jak również niedoniesienie Niemcom o ukrywanych przez sąsiada Żydach. Od tej okupacyjnej zasady nie było odstępstwa.

Kiedy we wsi padały strzały porannej egzekucji Ulmów i ich niebezpiecznych gości, w kilku domach w Markowej gospodarzy przeszył ogromny strach. Szylarowie byli jednymi z nich. Mord przeraził ich, ale nie zmienił dotychczasowego postępowania. Żydzi nadal pozostali na strychu w specjalnie przygotowanej kryjówce. Piętnastoletnia wówczas Helena Szylar (później Kielar), wspominała tragiczny marcowy poranek: „Wpadłam na strych i chciałam ich wyganiać. Mówiłam, żeby się lepiej ukryli, ale gdzie mieli się ukryć. Potem nadszedł mój tatuś. Oni całowali go po rękach i mówili panie Antoni jakoś przetrwamy. Prosili by ich nie wyrzucać”. Oczekując

dnia wypędzenia Niemców, który nadszedł w lipcu 1944 r., wszyscy gorliwie się modlili. Żydzi poszcząc i wzywając pomocy Boga Najwyższego, a ich wybawcy błagając o ratunek za wstawiennictwem Maryi Nieustającej Pomocy. No i przetrwali. „Kiedy minęło zagrożenie, po raz pierwszy wspólnie zjedliśmy obiad. Śmiało się i płakaliśmy razem”. Przeżywając równie dramatyczne chwile w Markowej, uratowano 21 Żydów. Jak twierdzą historycy, to liczba, którą udało się ustalić. Niewykluczone, że uratowanych Żydów było więcej.

Przez lata w Markowej nie mówiono o tragedii Ulmów, tak samo nie wspomiano o ratowaniu innych Żydów. Nie uważano, że było to coś wyjątkowego. Gest miłosierdzia wobec potrzebujących pomocy zgodny z nauczaniem Kościoła katolickiego. Nie wszyscy jednak posiadali tyle determinacji, by pomagać innym, ryzykując życie własne i najbliższych. Najlepiej było o niczym nie wiedzieć i nie narażać się na represje. W niezwykle trudnej sytuacji był sołtys, który sprawował we wsi władzę. W lipcu 1943 r. funkcję tę objął postawny chłop Teofil Kielar, który zastąpił Andrzeja Kuda sprawującego ją co najmniej od 1939 r. Sołtys odpowiadał przed Niemcami za wszystko, co działo się we wsi. Ktoś może uznać, że piastując takie stanowisko,

■ DZIECI ULMÓW. FOT. ZE ZBIORÓW MATEUSZA SZPYTMY



z pewnością musiał wysługiwać się okupantowi. Nic bardziej mylnego. Po wojnie oskarżono sołtysa Kielara o służalczość wobec Niemców i gorliwe wykonywanie ich poleceń. Trzy miesiące spędził w więzieniu. Usiłowano udowodnić mu zdradę. W końcu zwolniono go z braku dowodów. Nawet zarzuty, że wielokrotnie upijał się z żandarmami, nie były w stanie go obciążyć. Owszem Kielar za każdym razem, kiedy żandarmi pojawiali się we wsi, częstował ich wódką. Było to jednak planowe działanie. Niemcy każdorazowo wizytę w Markowej rozpoczynali od domu sołtysa. Od przewodniczącego wsi bowiem żądali wskazania miejsc, gdzie według nich ukrywano Żydów. Zanim Kielar doprowadził ich do podejrzanych gospodarstw, na stole pojawiała wódka. W tym czasie syn sołtysa zawiadamiał rodzinę będącą celem przyjazdu żandarmów. Ostrzeżeni w porę o niebezpieczeństwie chłopci natychmiast podejmowali działania mające zmniejszyć zagrożenie. Widać, że przygotowani byli dobrze na taką ewentualność. Ukrywających się Żydów przenoszono do innego, bezpieczniejszego miejsca. Jan Niemczak, chrześniak Wiktorii Ulmy, opowiadał mi, jak w takiej sytuacji jego ojciec kierował ukrywających się u nich Żydów do swojej siostry. On sam jako kilkuletni chłopiec prowadził do stojącego na uboczu domu Ulmów trzy lata od siebie młodszego Żyda, by ukryto go tam na czas zagrożenia. Kilka dni po zamordowaniu Ulmów we wsi ponownie pojawili się żandarmi. Zażądali tym razem, by sołtys zaprowadził ich do gospodarzy, których nazwiska znajdowały się w zeszycie znalezionym podczas przeszukania domu Ulmów. Teofil Kielar i tym razem przywitał Niemców suto zakrapianym poczęstunkiem. Libacja alkoholowa zakończyła się z oczekiwanym przez sołtysa skutkiem. Pijani w sztok żołdacy nie spostrzegli, jak Kielar wykradł im niebezpieczny dowód i niezwłocznie spalił go w piecu. Niemcy po wytrzeźwieniu szukali zeszytu, ostatecznie jednak wrócili do Łańcuta.

W zeszycie, o którym mowa, figurowało 337 nazwisk chłopów z Markowej i okolic. Wszyscy oni dopuścili się poważnego przestępstwa wobec III Rzeszy, jakim był nielegalny ubój bydła czy świń. Za taki czyn można było trafić do obozu koncentracyjnego. Józef Ulma w zeszycie zapisywał nazwiska tych, którzy przywozili skóry do garbowania. Wiadomo, że ukrywający się Żydzi pomagali mu w pracy. Jan Jakielaszek z Gaci, wsi sąsiadującej z Markową, z którym rozmawiałem w 2004 r., wspomniał, że także zawoził skóry do Ulmy. Mówił też, że widział Żydów. Wówczas informacja o garbowaniu skór zupełnie mnie nie zainteresowała. Teraz, połączona z tym, co dowiedziałem się o skali garbarskiego procederu, nabiera znaczenia.

Niemcy po egzekucji Ulmów wywieźli z ich domu trzy furmanki pełne skór. Gospodarstwo Józefa Ulmy musiało być często odwiedzane, skoro 337 osób korzystało z jego usług. Chłopi przywozili, a potem odbierali wygarbowane skóry. Z prostego rachunku wynika więc, że w sumie 674 razy odwiedzali stojące na uboczu gospodarstwo. Czy w takiej sytuacji można było ukryć obecność Żydów? Raczej nie. Świadczą o tym także wspomnienia Jana Jakielaszka.

Sołtys Kielar musiał dwoić się i troić, by uchronić markowian przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. Sam też ryzykował własną głową. Kiedy żandarmi zjawili się u niego bezpośrednio po egzekucji, żądając, by pochował zabitych, wyrwany ze snu tak był ponoć przerażony tą wiadomością, że w pośpiechu na kozuch zakładał koszulę. Znał przecież dobrze Ulmów. Z Józefem żył w przyjaźni. Na miejscu zbrodni zobaczył ciała pomordowanych dzieci. Nie zważając na konsekwencje, zapytał dowodzącego akcją Eilerta Diekena: „Czemu zabiliście dzieci?”. Niemiec cynicznie odpowiedział: „Żeby gromada nie miała z nimi problemu”. Sołtys Teofil Kielar prowadził pamięt-

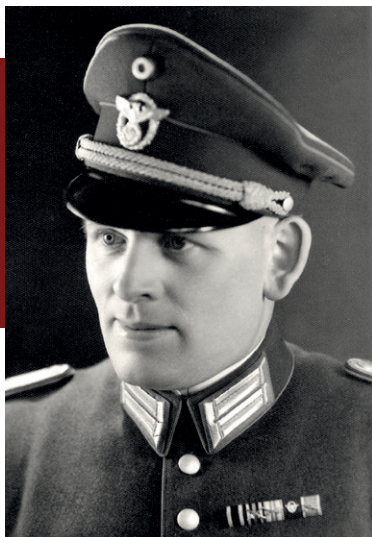
■ GOLDMANOWIE (PRZYDEK SZALLOWIE) PRZY CIĘCIU I RĄBANIU DREWNA NA OPAŁ W OBEJŚCIU ULMÓW, GDZIE SIĘ UKRYWALI, MARKOWA, MIĘDZY 1942 A 1944 R. FOT. ZE ZBIORÓW MATEUSZA SZPYTMY



**BŁOGOSŁAWIONA
RODZINA ULMÓW**

nik, gdzie spisał przytoczone informacje. Dzięki tym zapiskom poznaliśmy kolejną nieznaną okupacyjną historię Markowej.

Dzisiaj wiemy także dużo więcej o sprawcach mordu. Dowódca żandarmerii Eilert Dieken nigdy nie odpowiedział za zbrodnie dokonane na Żydach i Polakach. Nieniepokojoyony przez nikogo spokojnie dożył swoich dni. Kiedy go chowano na miejscowym cmentarzu w Esens, nikomu nawet nie przyszło do głowy, że jest to pogrzeb niemieckiego zbrodniarza, który niejedno życie ma sumieniu. Do okupacyjnych wykonawców rozkazów porucznika Diekena należał Joseph Kokott, czeski folksdojcz. „Diabeł z Łącuta”, jak go zwykli nazywać ci, którzy się go bali. Zabijał bez mrugnięcia oka. Raz podobno grał w karty ze znajomymi. Kiedy przegrał, wściekł się i rzucił kartami o stół. Wyszedł na zewnątrz, by ochłónąć. Zapalił papierosa i wtedy ujrzał Żydówkę. Wyciągnął pistolet i od razu strzelił do niej. Zaraz potem w bramie kamienicy położył trupem jej męża. Kolejna Żydówka, która była świadkiem tego wydarzenia, nie zdążyła w porę uciec. Kula wystrzelona z pistoletu Kokotta i ją dosięgła. Jak twierdzi postulator procesu beatyfikacyjnego ks. dr Witold Burda, który przygotowywał dokumentację dla watykańskiej Dykasterii spraw Kanonizacyjnych, „w kręgach żandarmerii niemieckiej była grupa będąca pod wpływem postawy Heinricha Himmlera głównego szefa policji i SS. Jawnie okultystycznej postaci. Głoszącego antykatolickie, wręcz satanistyczne poglądy. Kokott należał do tego grona”. Kokott, który zastrzelił trójkę albo czwórkę dzieci Ulmów, jako jedyny sprawca mordu stanął przed sądem i za swoje zbrodnie poniósł zasłużoną karę. Po wojnie się ukrywał. I pewnie tak jak jego dowódca Dieken unikałby sprawiedliwości, gdyby nie dziwny zbieg okoliczności. W 1957 r. mieszkańcy Markowej zorganizowali wycieczkę do Czechosłowacji. Podczas podróży zatrzymali się w przydrożnej restauracji na posiłek. Jeden z uczestników wycieczki, który w ostatniej chwili zdecydował się na wyjazd, we właściciela lokalu rozpoznał Josefa Kokotta. Niedługo potem byłego żandarma sprowadzono do Polski. Przed sądem w Rzeszowie świadkowie przypomnieli mu okupacyjne zbrodnie. Kokotta skazano na śmierć, wkrótce karę zamieniono na dożywocie. Dzięki temu zbrodniarz miał kilka lat, by zmierzyć się ze swoją przeszłością. Zmarł w więzieniu w 1980 r. Podobno Kokott po zamordowaniu Ulmów mówił, że gdyby ich dom znajdował się w centrum wsi, żandarmi rozstrzelaliby mieszkańców sąsiednich dziesięciu gospodarstw znajdujących się zarówno z prawej, jak i z lewej strony. Czy tak byłoby, pozostanie już tajemnicą.



■ EILERT DIEKEN.

FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM POLAKÓW
RATUJĄCYCH ŻYDÓW IM. RODZINY
ULMÓW W MARKOWEJ



■ JOSEF KOKOTT. FOT. AIPN

Dieken na terenie, który mu podlegał, czuł się bogiem. Od jego decyzji zależało życie Żydów i Polaków. W lecie 1942 r. Niemcy przystąpili do realizacji akcji „Reinhardt” mającej na celu likwidację wszystkich Żydów. Tych z Markowej wezwano do zgłoszenia się w obozie w Pełkiniach koło Jarosławia. Tam byli mordowani na miejscu lub trafiali do Bełżca, jednego z obozów masowej zagłady.

Tylko nieliczni z markowskich Żydów posłuchali wezwania. Pozostali schronili się w okolicy Markowej w prowizorycznych kryjówkach. Józef Ulma pomagał w ich budowie, dostarczając potrzebnych materiałów. Nocą ukrywający się Żydzi pojawiali się we wsi po prowiant i ciepłą odzież. Kiedy nadeszła jesień i z nią deszczowe zimne dni, dalsze bytowanie w tych warunkach stawało się coraz bardziej uciążliwe. Wtedy Żydzi częściej prosili gospodarzy, by przyszykować im pod swój dach. Markowa była stosunkowo dużą wsią. W czasie okupacji mieszkało tam ok. 4,5 tys. osób. Zgodnie z przeprowadzonym w 1921 r. spisem powszechnym 126 markowian określało się jako Żydzi. Mateusz Szpytma w książce *Sprawiedliwi i ich świat. Markowa w fotografii Józefa Ulmy* (Warszawa 2007, 2015) ustalił, że bezpośrednio przed wojną społeczność ta nieco się zmniejszyła. Niektóre żydowskie rodziny opuściły Polskę. Kamil Kopera, historyk, autor książki *Losy Żydów z Markowej*, ocenia, że ci, którzy wyemigrowali

do Niemiec albo Austrii, byli pierwszymi markowskimi Żydami zamordowanymi z powodu swego pochodzenia.

W Markowej przestrzegania „niemieckiego porządku” pilnowało trzech do pięciu granatowych policjantów. Jeden z nich był szczególnie niebezpieczny. Konstanty Kindler, folksdojcz z Wielkopolski. Marzył o służbie w niemieckiej żandarmerii i dlatego za wszelką cenę chciał się wykazać. Uważał, że do awansu przyczyni się gorliwe wykonywanie obowiązków. Kindler chętnie rozstrzeliwał zatrzymanych. Po rozpoczęciu akcji „Reinhardt” żandarmi częściej pojawiali się w Markowej i okolicy w poszukiwaniu ukrywających się Żydów. W tym czasie sołtysowi Andrzejowi Kudowi polecono organizowanie obław. Zatrzymanych podczas takiej łapanki umieszczano w areszcie gminnym, a po przyjeździe łańcuckich żandarmów – mordowano na tzw. grzebowisku, gdzie wcześniej chowano padłe zwierzęta. Antoni Kuźniar, wówczas kilkuletni chłopiec, z którym rozmawiałem w 2004 r., z ukrycia obserwował taką egzekucję. „Rozstrzeliwani sami musieli wykopać sobie grób. Potem do każdego podchodził żandarm i strzałem w tył głowy pozbawiał życia kolejne ofiary”. Dom Ulmów, gdzie ukrywali się Żydzi, od miejsca egzekucji w prostej linii oddalony był o ok. 500 m. Mordercze strzały z pewnością dobrze było tam słyszeć.

DROGA DO WIEJSKIEJ ZAGRODY.
FOT. ZE ZBIORÓW MATEUSZA SZPYTMY



Ktoś, kto dokładnie nie włąbi się w realia okupacyjnej rzeczywistości, może uznać, że to właśnie chłopci doprowadzali złapanych przez siebie Żydów na miejsce egzekucji. W mojej pracy dokumentalisty słyszę czasem takie oskarżenia. Padają one nie tylko ze strony tych, którzy nie badają zawodowo tego zagadnienia, ale także, co szczególnie niepokoi, ze strony rodzimych historyków. Czasem na podstawie takich niepełnych informacji świadomie wyciąga się daleko idące wnioski obwiniające chłopów o ślepe wykonywanie niemieckich poleceń. Spośród historyków, którzy na tej podstawie oskarżają Polaków o udział w Holokauście warto wymienić wspomnianego wcześniej prof. Jana Grabowskiego. Dlatego winien jestem wyjaśnić tę drażliwą kwestię. Posłużę się tu przykładem Markowej opisanym przez dr. Mateusza Szpytmę w artykule zamieszczonym w „Zeszytach Historycznych WiN-u”¹. Niemcy nie byli w stanie obsadzić swoimi ludźmi całej funkcjonującej przed wojną polskiej administracji. Dlatego też na stanowiskach wójtów czy sołtysów pozostawiono Polaków sprawujących wcześniej tę funkcję. Tak było w Markowej, a także w innych wsiach Generalnego Gubernatorstwa. Okupantowi nie można było odmówić. Za każdy sprzeciw można było narazić się na poważne konsekwencje. Aby bardziej zmotywować do gorliwej służby, stosowano zbiorową odpowiedzialność. Perfidia Niemców polegała na wyznaczeniu zakładników, którzy za wszelkie uchybienia sołtysa odpowiadali własną głową. Wiesz to mała społeczność, z reguły dobrze się znająca, a często także spokrewniona ze sobą. Sołtys, który w ocenie Niemców niezbyt gorliwie wykonywał polecenia, ryzykował życie tych ludzi. Kiedy Niemcy zorientowali się, że Żydzi mogą ukrywać się w lasach, polecili ich wyłapanie. Nie podlegało to żadnej dyskusji. Przeczesywanie lasu musiało także przynieść widoczne efekty. Należało liczyć się z ewentualnym konfidentami, którzy mogli donieść Niemcom o sabotowaniu ich poleceń. Chcąc nie chcąc, sołtys musiał ogłosić i przeprowadzić taką akcję. Uczestniczyli w niej zazwyczaj strażacy, a także wyznaczeni zakładnicy, którzy w przypadku fiaska w poszukiwaniach ryzykowali najwięcej. Mateusz Szpytma ustalił, że spośród rozstrzelanych przez Niemców Żydów 25 zostało ujętych przez mieszkańców Markowej. Trudno oskarżać chłopów o gorliwość w tym zakresie. Wręcz przeciwnie, część z nich starała się uchronić Żydów, których we wsi otoczono opieką. Ratowanie ich narażało także Polaków, o czym informowały

¹ M. Szpytma, *Zbrodnie na ludności żydowskiej w Markowej w 1942 r. w kontekście postępowań karnych z lat 1949–1954*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2014, nr 40 (grudzień).

niemieckie rozporządzenia. Nakaz urządzania „polowania” nie tylko dotyczył Żydów, okupant rozszerzał go także na partyzantów, dla których las był schronieniem. Warto przytoczyć tu fragment jednego z powojennych wyroków dotyczących oskarżenia o ujmowanie ukrywających się ludzi, zaczerpniętego z akt Sądu Okręgowego z Rzeszowa. „W okresie okupacji niemieckiej co najmniej 1/4 ogółu ludności wiejskiej polskiej brała przymusowo udział w obławach [...]. Nieraz cała partyzancka część ludności brała udział w obławach na siebie samych [...]. Często chłopci idący obławą ułatwiali unikanie ukrywającym się ujęcia ich. Wielu ludzi, a w tym i Żydów, zawdzięcza życie temu, że chłopcy polscy ścigali ich lub ujętych już konwojowali w taki sposób, że dopomogli do lepszego ukrycia się lub zbiegnięcia po ujęciu”².

„W męczeństwie poniesionym za wiarę w Chrystusa – mówi ks. dr Witold Burda, postulador – Kościół musi udowodnić, że w trzech aspektach teologii męczeństwa rzeczywiście spełnione są wszystkie warunki. Chodzi o aspekt materialny, a więc w jaki sposób ginęli męczennicy. Najczęściej była to śmierć bardzo brutalna zadana w sposób bezwzględny, bez żadnej możliwości obrony. Tak rzeczywiście było w wypadku rodziny Ulmów. Z drugiej strony mamy aspekt moralny od strony ofiary. Chodzi o wykazanie, czym kierowali się Ulmowie, przyjmując pod swój dach Żydów. [...] nie ma cienia wątpliwości, że jedynym motywem tej decyzji była wiara i płynące z wiary posłuszeństwo ewangelicznemu przykazaniu miłości bliźniego”. Trzeci aspekt określany formalnie od strony prześladowcy w wypadku nazistów niemieckich można sprowadzić do nienawiści do wiary.

Może za sprawą beatyfikacji rodziny Ulmów zmieni się postrzeganie Polaków na świecie, oskarżanych bezpodstawnie o wrodzony antysemityzm i sprzyjanie niemieckim mordom? Ulmowie staną się reprezentantami Polaków, którzy zginęli za ratowanie Żydów. Mam taką nadzieję i dlatego podjąłem się raz jeszcze realizacji filmu dokumentalnego *Ulmowie. Błogosławiona rodzina*.

² *Ibidem*, s. 5.



Dariusz Walusiak (ur. 1963) – historyk, reżyser, publicysta. Autor filmów dokumentalnych: *Sprawiedliwi wśród Narodów Świata* (2004); *Dziedzictwo Sprawiedliwych* (2013); *Ulmowie – świadectwo sprawiedliwych* (2014); *Matusia – siostra Matylda Getter* (2022); *Ulmowie. Błogosławiona rodzina* (2023); oraz książek: *Wdowy smoleńskie* (2011); *Winni. Holokaust i fałszowanie historii* (2016). Organizator Krakowskich Zaduszek za Żołnierzy Wyklętych – Niezłomnych.

CZTERY FILMY DOKUMENTALNE O RODZINIE ULMÓW

KADR Z FILMU MARIUSZA PILISA
HISTORIA JEDNEJ ZBRODNI.

Kiedy dowiedzieli się państwo o tragicznych losach rodziny Ulmów z Markowej i czym ta historia was zainspirowała?

Mariusz Pilis, autor filmu *Historia jednej zbrodni*

Robiłem film przez dziesięć lat, a dowiedziałem się o tej historii oczywiście wcześniej. Wtedy dość ściśle współpracowałem już z ludźmi z krakowskiego IPN. Wiedzieli,





■ KADR Z FILMU MARIUSZA PILISA *HISTORIA JEDNEJ ZBRODNI*.

że zajmuję się robieniem filmów dokumentalnych, i dali mi znać, że pojawił się list z Niemiec, który zaczyna się słowami: „Droga rodzinie Ulmów”. To było dla wszystkich szokujące, bo wiedzieliśmy, że list zaadresowano do rodziny, która już nie żyje. Potem się okazało, że korespondencja pochodziła od córki człowieka, który rozplątał się po wojnie, a właśnie on był sprawcą mordu na Ulmach. Nazywał się Eilert Dieken i był za czasów okupacji niemieckiej komendantem żandarmerii w Łańcucie. Ten list zaskoczył mnie i zainspirował – zająłem się tą historią. Pojechałem z kamerą do Niemiec, spotkałem się z córką tego człowieka.

Dariusz Walusiak, reżyser filmu *Ulmowie. Błogosławiona rodzina*

W 2004 roku Mateusz Szpytma, pracownik krakowskiego IPN, zaproponował mi wyjazd do Markowej, w swoje rodzinne strony, gdzie odsłaniano pomnik Ulmów – rodziny, która zginęła w czasie okupacji za ratowanie Żydów. Historia nieznana, a na

wskroś przejmująca – nie zainteresowała jednak nikogo w ówczesnej TVP. Z pomocą przyszło mi wydawnictwo Rafael. Tak powstał pierwszy w Polsce film o rodzinie Ulmów *Sprawiedliwi wśród Narodów Świata*. Podczas realizacji filmu poznałem w Markowej ocalonego z Holokaustu Abrahama Segala, spotkałem córki Antoniego i Doroty Szylar, w których domu na strychu przez rok i siedem miesięcy ukrywała się siedmioosobowa rodzina Weltzów. Rozmawiałem z bratem Józefa Ulmy Władysławem i innymi świadkami wydarzeń. Później okazało się, że w Markowej nie tylko Ulmowie udzielili pomocy Żydom, że po ich zamordowaniu przez Niemców we wsi ukrywało się i przeżyło jeszcze 21 osób. Udało mi się nagrać dwie godziny niezwykle cennego materiału. W 2014 roku zaktualizowałem film, dodając do niego informacje o najnowszych odkryciach dotyczących rodziny Ulmów. Tę zbrodnię opisałem także w jednym z rozdziałów swojej książki *Winni. Holokaust i fałszowanie historii* w roku 2017. Tak więc dziś, podejmując po raz kolejny ten temat, mam za sobą 19 lat doświadczeń i osobistych przemyśleń.

■ ABP ADAM SZAL W FILMIE DARIUSZA WALUSIAKA *ULMOWIE. BŁOGOSŁAWIONA RODZINA*.



Marta Pietrasiewicz, reżyserka filmu *Przykazanie miłości. Historia rodziny Ulmów*.

Historia tragicznych losów rodziny Ulmów z Markowej była mi znana od wielu lat. Jako dziennikarka zajmuję się m.in. problematyką relacji polsko-żydowskich, dokumentowaniem przykładów bezgranicznej pomocy, którą Polacy w czasie II wojny światowej niesli swoim przyjaciołom, sąsiadom czy zwyczajnie nieznanym innej narodowości lub innego wyznania, a skazanym na zagładę. Polska była jednym z nielicznych krajów w Europie, gdzie za pomoc Żydom groziła śmierć. Wiktor i Józef Ulmowie pomimo to postanowili przyjąć pod swój dach liczną żydowską rodzinę. Zapłacili najwyższą cenę: poświęcili życie swoje i swoich dzieci, w tym nienarodzonego.

Kiedy papież Franciszek ogłosił decyzję o beatyfikacji Wiktorii i Józefa oraz ich dzieci, TVP Polonia, której misją jest opowiadanie widzom na świecie o czynach i dokonaniach Polaków, postanowiła przedstawić historię życia rodziny Ulmów.

■ PLAN ZDJĘCIOWY FILMU MARTY PIETRASIEWICZ *PRZYKAZANIE MIŁOŚCI. HISTORIA RODZINY ULMÓW*.

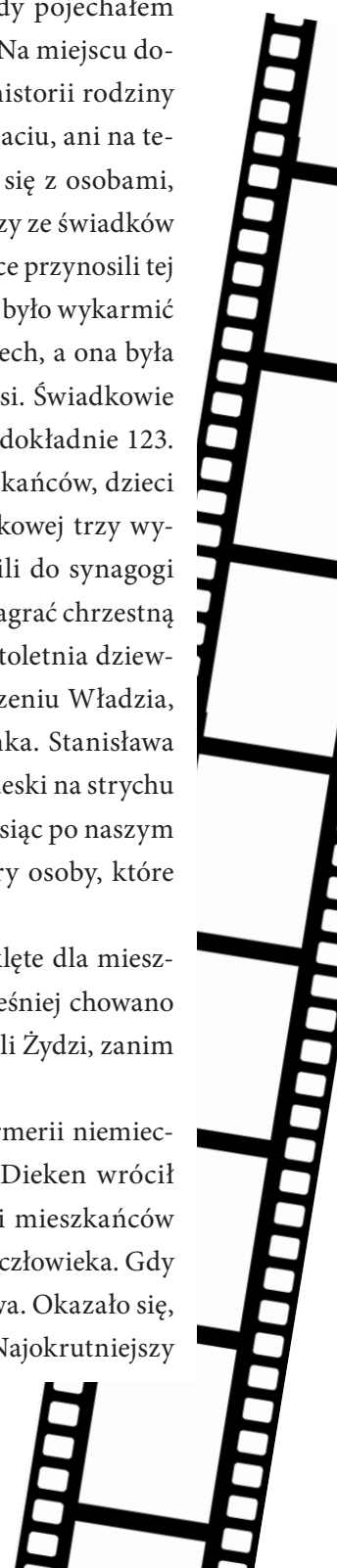


Ks. Józef Brzostowski, reżyser filmu *Porzucone kwiaty*

Spotkałem się z tą historią ponad dwadzieścia lat temu, kiedy pojechałem do Markowej, by sfilmować zabytkowy ołtarz z czarnego dębu. Na miejscu dowiedziałem się o ciekawej, a zarazem dramatycznej i bolesnej historii rodziny Ulmów. Wtedy historia ich życia nie była znana ani na Podkarpaciu, ani na terenie Polski. Gdy przystąpiłem do realizacji filmu, spotkałem się z osobami, które znały tych ludzi osobiście, bywały u nich w domu. Niektórzy ze świadków w młodości bawili się z dziećmi Ulmów. Opowiadali, że ich rodzice przynosili tej rodzinie chleb i mleko, bo przed wojną i w czasie okupacji trudno było wykarmić taką gromadkę. Józef i Wiktoria Ulmowie mieli sześcioro pociech, a ona była w kolejnej ciąży. Żyli bardzo skromnie, mieszkali na uboczu wsi. Świadkowie opowiadali też o Żydach – na terenie Markowej mieszkało ich dokładnie 123. Była to społeczność bardzo dobrze zintegrowana z resztą mieszkańców, dzieci żydowskie chodziły do jednej szkoły z polskimi. Mieli w Markowej trzy wydzielone miejsca na modlitwy, a w najważniejsze święta jeździli do synagogi do oddalonego o kilkanaście kilometrów Łańcuta. Udało mi się nagrać chrzestną małego Władzia Ulmy, panią Stanisławę Kuźniar. Jako trzynastoletnia dziewczynka pomagała Wiktorii w czasie ciężkiego połogu po urodzeniu Władzia, w dowód wdzięczności poprosili ją, aby była chrzestną ich synka. Stanisława była w ich domu niedługo po egzekucji i widziała ściany domu i deski na strychu zbroszone krwią. Opowiedziała to przed kamerą w marcu, a miesiąc po naszym nagraniu, niemal 101-latką zmarła. Obecnie żyją jeszcze cztery osoby, które znały osobiście Ulmów, ale jako dzieci.

W Markowej w czasie okupacji dwa miejsca stały się przeklęte dla mieszkańców, jedno to tzw. okop, gdzie rozstrzeliwano Żydów, a wcześniej chowano tam padłe zwierzęta. Drugim był areszt gminny, gdzie przebywali Żydzi, zanim Niemcy rozstrzelali ich następnego dnia.

Zainteresował mnie też los głównych zbrodniarzy z żandarmerii niemieckiej z Łańcuta; dowodzący akcją mordowania Ulmów Eilert Dieken wrócił po zakończeniu II wojny światowej do Niemiec i tam w opinii mieszkańców i córki uchodził za wspaniałego obywatela, ojca, bardzo dobrego człowieka. Gdy do 86-letniej córki przyjechała ekipa z IPN z Warszawy i Krakowa. Okazało się, że ona nie miała świadomości, że jej ojciec miał krew na rękach. Najokrutniejszy



zbrodniarz Josef Kokott, ten, który osobiście rozstrzelał trójkę małych Ulmów, mówił w procesie sądowym w Rzeszowie, że „on by nie skrzywdził dzieci”. Tymczasem ludzie widzieli na własne oczy, że osobiście to zrobił. Kolejny z morderców został schwytany i rozstrzelany we wrześniu 1944 r. przez żołnierzy AK. Takie traumatyczne wspomnienia pozostały mi ze zbierania materiału do filmu.

Co państwo chcą przekazać widzom przez swoje filmy?

Mariusz Pilis: Chciałbym, aby wszystkie elementy, które miały związek z tą zbrodnią, znalazły się na stole, a nie pod stołem – żeby wyszły na światło dzienne. Ta historia pokazuje wyraźnie, że istnieje pewna nierównowaga pamięci między Polską a Niemcami. Nawet w tej konkretnej sprawie, a co dopiero na wielu poziomach postrzegania w ogóle istoty tego, co robili i czym zajmowali się Niemcy podczas II wojny światowej. U nich sieje się trawę i usuwa się ostatnie elementy, zniknął nawet grób Eilerta Diekena. W tej chwili pamięć II wojny światowej jest dobrze przykryta równo przyszytym trawnikiem niepamięci. Natomiast w Polsce ta historia pnie się do nieba. Wydaje się, że byłoby dobrze, abyśmy w Polsce i w Niemczech w tej jednej historii – choć rozciągam ją definicyjnie na wiele innych obszarów – pamiętali to samo. Aby nazwisko Eilert Dieken było tak samo postrzegane, jak jest postrzegane w Polsce. Żeby Niemcy mieli świadomość, jakich rzeczy dopuścił się ten człowiek, a nie tylko, że był dobrym ojcem, świetnym przyjacielem w pracy i nienagannie pełniącym służbę komisarzem miejscowym w Esens – bo był również niemieckim zbrodniarzem z okresu II wojny światowej. Pamięć o nim w Polsce będzie trwała tak długo, jak długo będzie Muzeum Rodziny Ulmów w Markowej, natomiast w Niemczech tej pamięci w ogóle nie ma. To jest punkt wyjścia do debaty, czym była dla Polaków II wojna światowa – Niemcy o tym nic nie wiedzą. Chodzi o to, żeby pokazać nasz punkt widzenia, bo w takim „ucieraniu się” wiedzy na temat okresu wojny nigdy nie uczestniczyliśmy. Tu powinien być trójkąt: polsko-żydowsko-niemiecki, a pamięć na Zachodzie była kształtowana w dyskursie dwóch stron: Żydów z Niemcami. Polska, narody słowiańskie w tym wszystkim nie istnieją. Te zbrodnie są wyjęte z listy rzeczy, których przeciętni Niemcy mają dzisiaj świadomość. Powinni o tym wiedzieć, o tym jest ten film i takie jest jego przesłanie. Świadomie zostawiłem kwestię beatyfikacji tej rodziny. Ulmowie zachowywali się jak chrześcijanie z najwyższej półki. Ratowali życie drugich i ja nic więcej na ten temat nie muszę mówić.



■ SCENA Z FILMU KS. JÓZEFA BRZOSTOWSKIEGO *PORZUCONE KWIATY*.

Dariusz Walusiak: Zastanawiałem się, jak jeszcze raz opowiedzieć tę historię. Co dziś znaczy ona dla współczesnego człowieka, dla katolika. Zadałem sobie pytanie: dlaczego Józef i Wiktoria Ulmowie zdecydowali się na ten bohaterski czyn, na tak wielkie ryzyko? Odpowiedź okazuje się prosta i piękna zarazem. Ulmowie byli ludźmi głęboko wierzącymi, wiarą katolicką żyli na co dzień, była dla nich oczywistym drogowskazem i sensem życia. Naśladując Jezusa, szli za Nim do końca w myśl słów, że „nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich”. W filmie ich postawa jaskrawo kontrastuje z ideologią nazistowską, którą kierowali się Niemcy. U jej podstaw leżało wyrzeczenie się chrześcijańskiego Boga, tym samym otwarcie się na działanie demoniczne.

Żyjemy w czasach, kiedy atakowane są tradycyjne wartości, niszczone są rodziny, zabijane są miliony dzieci nienarodzonych. Historia rodziny Ulmów wychodzi zatem naprzeciw pytaniom o sens życia ludzkiego, ukazuje heroizm wiary. Patrząc na nią przez pryzmat walki dwóch światów, dobra ze złem. W moim filmie zderzam Boży porządek świata z rewolucyjnym systemem nazistowskich Niemiec. Dzisiaj temat w nowej odsłonie nadal jest aktualny, kolejne ideologie próbują odsunąć człowieka od Boga i go zniewolić.

Marta Pietrasiewicz: Życiorysy zarówno Józefa, jak i Wiktorii są niezwykle ciekawe. Józef – pszczelarz, sadownik, ogrodnik i wreszcie fotograf, Wiktoria – zaangażowana w życie miejscowego teatru i rozwój ruchu Wiciowego na tamtym terenie. Aby o tym

opowiedzieć, zrealizowaliśmy sceny fabularyzowane, które wyreżyserował Piotr Ku-
ciński. Świadkowie życia rodziny opowiadają, co ukształtowało naszych bohaterów,
by potem, w czasie wojny, podjąć decyzję o przyjęciu ośmiu Żydów do swego domu.

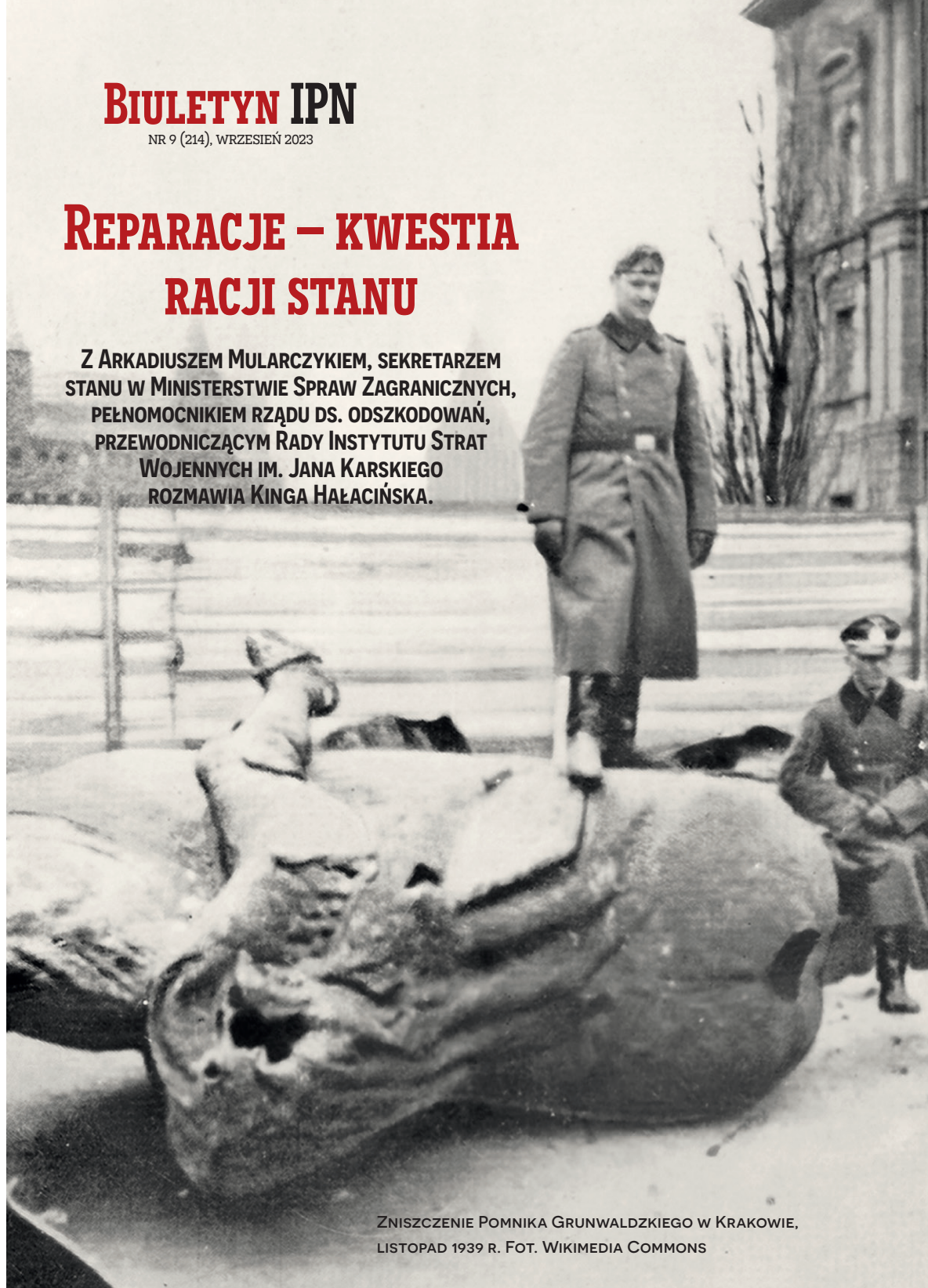
Zdjęcia do filmu realizowane były nie tylko w Markowej, gdzie urodzili się, żyli
Wiktoria i Józef Ulmowie, ale także w Stanach Zjednoczonych, Izraelu i Watykanie.
Kardynał Marcello Semeraro, prefekt Dykasterii spraw Kanonizacyjnych Kurii Rzym-
skiej, opowiada o przebiegu procesu beatyfikacyjnego bohaterów filmów. W USA
żyją potomkinie żydowskich rodzin krewnych Saula Goldmana, który wraz z synami
znalazł schronienie u Ulmów, oraz Weltzów, którzy z kolei ukrywali się w Markowej
u innej polskiej rodziny – Szylarów. Weltzowie słyszeli strzały, a wcześniej przeraża-
jące krzyki mordowanej rodziny. Przedstawiciele społeczności żydowskiej, z którymi
spotkaliśmy się także w Izraelu, potwierdzają, jak niełatwa była decyzja, którą podjęli
Ulmowie. Przypominają o polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Sami
stawiają pytanie: co ja zrobiłbym na ich miejscu? Strach i lęk o najbliższych to uczu-
cia, które miały prawo pojawić się u wielu w tamtych czasach. Dlatego tym bardziej
Wiktoria i Józef zasługują na uznanie.

Ks. Józef Brzostowski: Jego przesłanie jest takie jak tytuł, czyli *Porzucone kwiaty*.
Nawiązuje on do symbolicznej sceny, kiedy ciała rodziców i dzieci zostały odkopane,
bo po egzekucji cała rodzina została wrzucona do wspólnego dołu. Dopiero na czwarty
lub piąty dzień, pod osłoną nocy, mieszkańcy Markowej wydobyli ich ciała i złożyli
do prowizorycznych trumien, a potem z powrotem je zagrzebali. Przesłaniem mojego
filmu jest miłość. Józef Ulma był człowiekiem bardzo religijnym, czytał Pismo Święte,
a jego ulubionym fragmentem była przypowieść o miłosiernym Samarytaninie. Wła-
śnie ten fragment podkreślił własnoręcznie w Biblii, a potem dał świadectwo wiary i za-
ryzykował własne życie, aby dopomóc bliźniemu w potrzebie. Tym bliźnim okazała się
społeczność żydowska przeznaczona przez Niemców na eksterminację. Mimo obawy
o własne życie, Józef i Wiktoria Ulmowie przyjęli pod własny dach ośmioosobową ro-
dzinę żydowską. Józef Ulma kochał swoją rodzinę, Ojczyznę i Boga. Pokazał, że należy
nieść pomoc innym, niezależnie od barier językowych, kulturowych, wyznaniowych,
bo warto pomagać każdemu człowiekowi, niezależnie od tego, kim jest.

Opracowała Kinga Hałacińska

REPARACJE – KWESTIA RACJI STANU

Z ARKADIUSZEM MULARCZYKIEM, SEKRETARZEM
STANU W MINISTERSTWIE SPRAW ZAGRANICZNYCH,
PEŁNOMOCNIKIEM RZĄDU DS. ODSZKODOWAŃ,
PRZEWODNICZĄCYM RADY INSTYTUTU STRAT
WOJENNYCH IM. JANA KARSKIEGO
ROZMAWIA KINGA HAŁACIŃSKA.



ZNISZCZENIE POMNIKA GRUNWALDZKIEGO W KRAKOWIE,
LISTOPAD 1939 R. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Jakie działania podejmował pan po opublikowaniu raportu o stratach wojennych?

Od chwili publikacji raportu i powołania mnie na pełnomocnika rządu ds. odszkodowań moim głównym celem było umiędzynarodowienie problematyki reparacji wojennych dla Polski i wskazanie, że mamy do czynienia z brakiem sprawiedliwości po II wojnie światowej i po konferencji w Poczdamie, ponieważ problematyka odszkodowań, reparacji i restytucji w relacjach polsko-niemieckich nigdy nie została uregulowana. Ważna dla naszych działań jest uchwała sejmowa z 14 września 2022 r., z której wynika, że Polska nigdy się nie zrzekła reparacji i wzywa rząd Niemiec do podjęcia dialogu w tej sprawie. Jest też drugi istotny dokument, który był wynikiem mojej inicjatywy jako pełnomocnika rządu. Rada Ministrów w dniu 22 kwietnia 2023 r. podjęła uchwałę, opublikowaną w Monitorze Polskim, z której wynika, że sprawa reparacji nie została nigdy zamknięta, ponieważ nie ma żadnej umowy w tym przedmiocie. Jest to w pewnym sensie także formalna odpowiedź na notę rządu Niemiec z dnia 3 stycznia. Rząd polski wezwał niemiecki do uregulowania tej sprawy w formie dialogu i negocjacji. To jest w mojej ocenie niezwykle ważny, wręcz milowy krok, ponieważ dokument ten przecina jałową dyskusję toczącą się przez dekady, o rzekomym zrzeczeniu się przez Polskę reparacji. Nic takiego się nie wydarzyło. W ciągu ośmiu miesięcy od opublikowania raportu podjąłem wiele działań w celu umiędzynarodowienia sprawy. Wiązało się to z wystąpieniem do kluczowych organizacji międzynarodowych i poinformowaniem ich o tej problematyce. W ubiegłym roku zapoczątkowałem wysyłanie raportów o stratach wojennych, dołączyłem go do pięćdziesięciu not dyplomatycznych skierowanych do krajów Unii Europejskiej i NATO, wysłałem też listy do UNESCO, do ONZ, zarówno w Nowym Jorku, jak i w Genewie; do OECD, do Unii Europejskiej i wszystkich jej organów, a także wszystkich europosłów oraz do Rady Europy. Istnieje szansa, że w niedługiej perspektywie pojawi się koncepcja rezolucji Rady Europy, między innymi też w tej sprawie. Raport trafił do Kongresu Amerykańskiego, do Senatu i Izby Reprezentantów, do Departamentu Stanu USA – odbyliśmy na ten temat ponad dwadzieścia spotkań z czołowymi kongresmenami i senatorami. Nastąpiła też wysyłka raportu do wszystkich czołowych amerykańskich think tanków – w liczbie kilkudziesięciu.

Dlaczego umiędzynarodowienie tej sprawy jest takie ważne?

Ponieważ wiedza, co działo się na ziemiach polskich w czasie II wojny światowej, jest na świecie niewielka. Nie ma świadomości, jak brutalna była niemiecka okupacja i jakie





■ MIESZKAŃCY WARSZAWY ZAMORDOWANI W 1943 R.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

straty przyniosła państwu i narodowi polskiemu. Polska nadal ponosi konsekwencje tego, co działo się w czasie II wojny, a potem okupacji sowieckiej. Pomimo że żyjemy w świecie, w którym mówi się dużo o prawach człowieka, o moralności, o postrzeganiu prawa międzynarodowego – problem reparacji wojennych został do tej pory nierozwiązany. Stało się tak wskutek uników dyplomacji niemieckiej, co jest nie tylko ogromnym uchybieniem w relacji Niemiec do Polski, ale również naruszeniem praw człowieka. Polskie ofiary nie mają prawa do wysuwania roszczeń w sądach, nie mają prawa do odszkodowań. Są więc dyskryminowane, jeśli porównamy je do ofiar żydowskich, które dostają takie świadczenia co miesiąc od państwa niemieckiego. Bardzo

ważnym elementem naszej polityki międzynarodowej są dziś działania dyplomatyczne. Listy z załączonym do nich raportem zostały już wysłane do wszystkich niemieckich posłów w Bundestagu i w Bundesracie. Planujemy dystrybucję raportów do kolejnych ważnych niemieckich instytucji. Udzieliliśmy dziesiątki wywiadów dla mediów międzynarodowych na całym świecie, byliśmy w mediach brytyjskich, amerykańskich, niemieckich, irlandzkich, greckich. Do tego dochodzi cykl konferencji – OECD w Paryżu, w Atenach czy w Wiedniu. Podejmujemy współpracę z prawnikami greckimi, włoskimi, ze środowiskami, które również się tą problematyką zajmują. Mamy świadomość, jak ważne jest budowanie koalicji krajów like-minded, czyli podobnie myślących, i budowanie grupy osób rozumiejących i popierających tę tematykę.

Nasza delegacja aktywnie brała udział w przygotowaniu deklaracji na szczycie Rady Europy w Reykjavíku, gdzie powstał rejestr strat mający pomóc Ukrainie w oszacowaniu szkód, które Rosja obecnie wyrządza w Ukrainie. W tej deklaracji zawarliśmy taki passus, że zbrodnie wojenne się nie przedawniają. Kraj, który się ich dopuścił, powinien za nie zapłacić, a warunkiem pojednania jest zapłata reparacji wojennych. To bardzo ważny dokument dla Polski i dla wielu krajów; może być podstawą domagania się przez kraje odpowiedzialne – w tym Niemcy – do podjęcia dialogu. Oczywiście sprawa jest również w Trybunale Konstytucyjnym, odbyła się już pierwsza rozprawa. Chodzi o kwestię stwierdzenia, że praktyka sądu, która odrzuca pozwy polskich ofiar wobec państwa niemieckiego z uwagi na immunitet jurysdykcyjny państwa niemieckiego – jest niekonstytucyjna. Ta sprawa się toczy i mam nadzieję,



że w tym roku dojdzie do wydania wyroku. Jest wiele inicjatyw, działań, spotkań w celu propagowania tematyki odszkodowań wojennych. Osiągnęliśmy to w krótkim czasie, bo od publikacji raportu minęło zaledwie osiem miesięcy. Jako pełnomocnik rządu myślę, że w tym obszarze zmieniliśmy nie tylko podejście polskiej opinii publicznej, ale też powoli zmieniamy podejście opinii międzynarodowej, USA, Wielkiej Brytanii, Niemiec. To jest proces, który ma na celu zmianę utrwalonych schematów istniejących w Niemczech i na świecie. Ten schemat zmierza w kierunku bardzo dla nas niekorzystnym. W Niemczech widzimy postępujący proces wypierania ze świadomości odpowiedzialności Niemiec za zbrodnie wojenne, wszak coraz powszechniejsza jest narracja, że również same Niemcy byli ofiarami nazistów.

Kanclerz Olaf Scholz powiedział, że „Niemcy zostali wyzwoleni spod tyranii narodowego socjalizmu”. Co to oznacza?

To w świadomości Niemców staje się powszechne. Niemcy uważają, że podobnie jak inne narody są ofiarami nazistów. Jest takie muzeum w Berlinie – „Cisi Bohaterowie”, gdzie opowiada się o Grafie von Stauffenbergu i o innych ludziach, którzy sprzeciwiali się nazistom. Placówka jest ogromna, z setkami publikacji. Myślę, że warto, by również polscy historycy zainteresowali się tą tematyką, bo jest to obecnie pewien element budowania narracji historycznej w Niemczech. W niemieckich podręcznikach zamieszczana jest tylko krótka notka o rozpoczęciu wojny z Polską, a potem praktycznie nie ma żadnych informacji, jak wyglądała okupacja. To celowy proces wymazywania brutalności dzia-

RYNEK STAREGO MIASTA, SIERPIEŃ 1944 R.

FOT. EWA FARYASZEWSKA (1920–1944) / WIKIMEDIA COMMONS



łania Niemców w Polsce i generalnie na wschodzie Europy. Budowanie narracji o Niemcach ofiarach jest dla nas niebezpieczne, bo w przyszłości może obudzić w Niemczech potrzebę rewizjonizmu. Wszak utracili ziemie, które im niesłusznie odebrano.

Badania pokazują, że 75 proc. Niemców uważa, że za II wojnę światową nic się już Polakom nie należy...

No właśnie. To pokazuje, że ten proces musimy monitorować. Prowadzić różnego rodzaju analizy i badania historyczne i socjologiczne – jak Niemcy fałszowali i nadal fałszują historię. Trzeba jasno podkreślić, że Niemcy w dużej mierze skolonizowały polską i europejską naukę, narzucając swoją narrację. Dziś już mało kto mówi czy pisze o odpowiedzialności samych Niemiec, przerzuca się ją na nazistów. W wielu miejscach nietaktem jest przypominać o ich odpowiedzialności za zbrodnie II wojny światowej. Większość naukowców nie zajmuje się już tą problematyką. Na palcach można wyliczyć polskich historyków, którzy są specjalistami od II wojny światowej, a takich, którzy publikują w języku angielskim lub niemieckim, jest raptem kilku. To się dzieje nie tylko w Polsce, ale też w wielu innych krajach.

Natomiast druga strona jest niezwykle aktywna na tym polu. Przypomnę tylko, że w maju tego roku Niemiecki Instytut Historyczny zorganizował skandaliczny wykład Jana Grabowskiego na temat polskich prób fałszowania historii Holocaustu.

To chyba naturalne, że każdy naród buduje taką wizję swojej historii, która przedstawia go w korzystnym świetle. Francuzi od lat uważają się za wojennych bohaterów, nie dostrzegają różnicy, że okupacja w Polsce wyglądała inaczej niż w ich kraju. Włosi natomiast występują do sądów, by uzyskać reparacje od Niemiec.

Istnieje pewne nieformalne porozumienie części środowisk żydowskich z Niemcami. Mają silne związki gospodarcze, ekonomiczne, militarne z Izraelem, ale również płacą świadczenia kompensacyjne organizacjom żydowskim. Dlatego podnoszenie tej tematyki spotyka się z brakiem akceptacji, zrozumienia części środowisk żydowskich, które uważają, że Polska jako ofiara wojny staje się konkurencją. Prezentując nasze straty i roszczenia, tak jesteśmy czasem postrzegani.

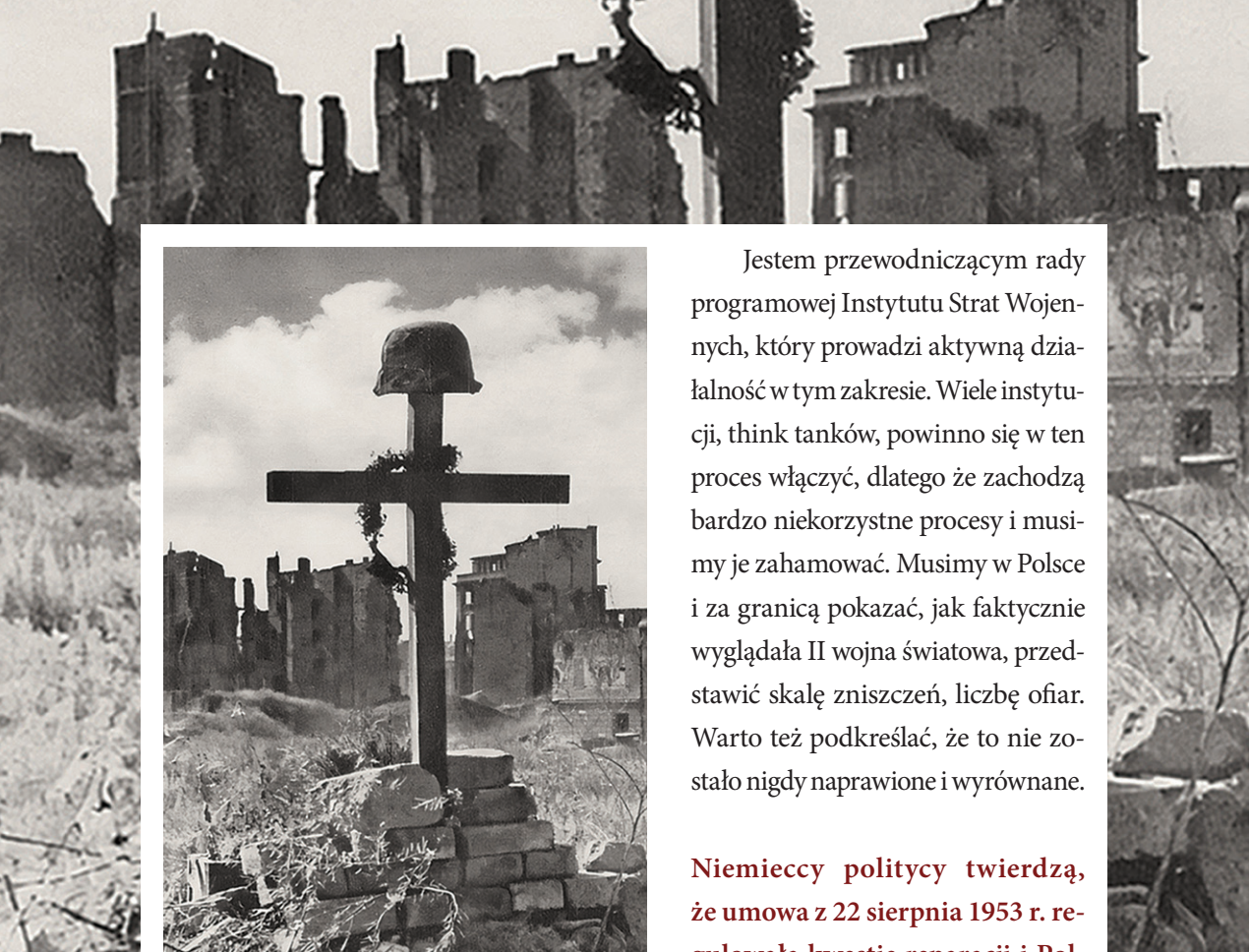
Historyczka Deborah Lipstadt, która jest amerykańskim pełnomocnikiem ds. antysemityzmu, już zapowiedziała, że wybierze się do Polski, aby zobaczyć



■ PAŁAC SASKI W WARSZAWIE WYSADZONY W POWIETRZE PRZEZ NIEMCÓW W GRUDNIU 1944 R.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

raport i przekonać się, czy Polska chce otrzymać pieniądze za wymordowanych Żydów.

W samym Izraelu powszechne jest przekonanie, że Polacy są współodpowiedzialni za Holokaust. To są efekty, które wynikają z wywieszenia białej flagi przez kolejne polskie rządy w sprawie opisywania II wojny światowej w kategoriach skali strat wojennych Polski. Uwierzyliśmy, że mamy jakieś pojednanie polsko-niemieckie, i tego tematu nie wolno było w debacie publicznej podnosić – dlatego skutki tego są opłakane dla Polski. Niemcy stają się ofiarami nazistów na równi z Polakami, a dla środowisk żydowskich Polacy stają się współodpowiedzialni za Holokaust wraz z nazistami. To są procesy, które już nastąpiły, i ważne, aby takie instytucje jak IPN prowadziły bardzo aktywną działalność w kraju i za granicą, aby to kłamstwo odkręcać. To będzie długi proces, ale powinien być priorytetem dla instytucji państwowych. Polskie ambasady na świecie mają zadanie, aby zwalczać takie zjawiska i promować polski punkt widzenia.



Jestem przewodniczącym rady programowej Instytutu Strat Wojennych, który prowadzi aktywną działalność w tym zakresie. Wiele instytucji, think tanków, powinno się w ten proces włączyć, dlatego że zachodzą bardzo niekorzystne procesy i musimy je zahamować. Musimy w Polsce i za granicą pokazać, jak faktycznie wyglądała II wojna światowa, przedstawić skalę zniszczeń, liczbę ofiar. Warto też podkreślać, że to nie zostało nigdy naprawione i wyrównane.

Niemieccy politycy twierdzą, że umowa z 22 sierpnia 1953 r. regulowała kwestię reparacji i Polska się ich zrzekła.

Tyle że to ZSRS zawarł z Niemiecką Republiką Demokratyczną umowę dotyczącą zamknięcia kwestii reparacyjnych.

To jest wielki sukces niemieckiej dyplomacji, że oni kupili sobie grupę prawników czy historyków, których większość była gdzieś na stypendiach niemieckich, a oni potem wmówili Polakom, że sprawa jest zamknięta. Nikt nie pokusił się o wszechstronne analizy tego rzekomego zrzeczenia się. Nie tylko od strony prawnej, ale ze strony administracyjnej czy historycznej. Nikt tego rzetelnie nie zbadał i to rzekome zrzeczenie się przyjęto jako jakiś pewnik.

Minister spraw zagranicznych Niemiec, Annalena Baerbock, jasno i wyraźnie powiedziała w Grecji, że jeśli chodzi o reparacje, to nie ma takiej możliwości. To samo powtórzył podczas wizyty w Polsce Friedrich Merz, lider opozycyjnej CDU.

To jest proces, on musi trwać. Presja, którą państwo polskie wywiera na Niemcy i opinię międzynarodową, jest dla naszego zachodniego sąsiada niezwykle bole-

sna w sensie wizerunku, rujnująca ich obraz jako państwa praworządnego. A oni właśnie tak chcą być postrzegani i usilnie nad tym pracują. Myślę, że nasza aktywność międzynarodowa jest dla nich bardzo niewygodna, bo podważa ich status.

Za naszą wschodnią granicą toczy się kolejna wojna. Mordowani są ludzie, na miasta spadają bomby, więc temat zniszczeń wojennych jest obecny w mediach, w świadomości ludzi. Czyli wojna w Ukrainie sprawiła, że poruszanie tematu reparacji wojennych przestało być elementem przeszłości, znów jest częścią teraźniejszości?

Zdecydowanie tak, bo my dzisiaj porównujemy te kwestie. I pokazujemy, że brak reparacji, ukarania zbrodniarzy, powoduje, że zbrodnicze państwo utwierdza się w swoim przekonaniu, że zbrodnie i grabieże popłacają i nie zostaną ukarane. Tak się dzieje w przypadku Rosji, która nie została nigdy potępiona, ukarana, rozliczona – a to doprowadziło do kolejnej wojny imperialnej. Trzeba powiedzieć sobie jasno, że musimy się domagać reparacji dla swojego bezpieczeństwa, bo społeczeństwo niemieckie już wyparło swoją odpowiedzialność za II wojnę światową. Młode pokolenia niewiele wiedzą o przeszłości i niestety mogą w przyszłości popełniać te same błędy co ich przodkowie. Może nie za rok, dwa, trzy, ale za dwadzieścia lat... Wszystko jest możliwe.

Suma 1,3 biliona euro, której domagamy się od Niemiec, to dużo czy mało?

Wszystkie wyliczenia strat są zaprezentowane w raporcie, a końcowy rachunek ekonomiczny jest, jak mówią ekonomiści, „konserwatywny”, obejmuje straty ludzkie, które wynikają ze śmierci, kalectwa czy inwalidztwa, ale też jest szacunek strat materialnych. Strat materialne, co należy podkreślić, obejmują jednak tylko obszar tzw. ziem dawnych, czyli bez Kresów. Metody ekonomiczne szacunku strat oraz ich waloryzacji w czasie, które przyjęliśmy w raporcie, opisują straty w ich dolnych granicach. Przy innych metodologicznych założeniach, innej waloryzacji strat kwoty końcowe mogłyby być kilkakrotnie większe. Dwu-, trzy-, dziesięciokrotnie – i każda z tych kwot by się obroniła.

Lepiej późno niż wcale, choć po publikacji wydawało się, że nawet w naszym kraju nie wszyscy panu kibicują. Raport jednak trochę zamieszał...

Nie spotkałem się z żadną merytoryczną krytyką, ale oczywiście raport zamieszał bardzo. I Niemcom, i środowiskom żydowskim. Nie oszukujmy się – historia

II wojny światowej została napisana za nas. Została już zaklepana, opisana, i nie było tam głosu dla Polski. Stał się on kłopotliwy dla wielu, bo przewraca utarte schematy, które obowiązywały w USA, Izraelu i wreszcie w samych Niemczech. Raport jest dla nich kłopotliwy, niezręczny, bo pokazuje, że ta historia, której oni przez tyle lat uczyli innych, jest historią z wielkimi białymi plamami.

Polska nie ma innej drogi, musi bardzo konsekwentnie ten temat na różnych agendach międzynarodowych podnosić. Musimy działać wielopłaszczyznowo – dyplomatycznie, politycznie, prawnie. Liczą się również działania informacyjne i edukacyjne – to musi być cały proces działań państwa, do którego zresztą upoważnia i obliguje uchwała Rady Ministrów z dnia 18 kwietnia 2023 r. Czyli będą to działania mające podstawę prawną w uchwale sejmowej i w uchwale Rady Ministrów.

Pozostaje życzyć sukcesu.

Nam wszystkim trzeba życzyć sukcesu, bo jest to w interesie naszego kraju, żeby tę sprawę z Niemcami uregulować. To w mojej ocenie także może zahamować pewne procesy rewizjonistyczne w samych Niemczech. Dziś Polska stawia polityków niemieckich, którzy stosują wobec Polski często różne nieczyste metody walki politycznej, w trudnej i niezręcznej pozycji. Reparacje i kwestia odszkodowania za wojnę są ważnym elementem polskiej polityki historycznej i polityki międzynarodowej. Podnoszenie tych spraw to niewątpliwie ważny element polskiej racji stanu.



Arkadiusz Mularczyk (ur. 1971) – adwokat, sekretarz stanu ds. polityki europejskiej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Od 2005 r. poseł na Sejm RP, od 2021 r. wiceprzewodniczący Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy w Strasburgu. Od 2017 r. przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Oszacowania Wysokości Odszkodowań Należnych Polsce od Niemiec za Szkody Wyrządzone w trakcie II Wojny Światowej. Od 2022 r. przewodniczący Rady Instytutu Strat Wojennych im. Jana Karskiego. Współautor książki: *Raport o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej 1939–1945*, [t. 1:] *Opracowanie* (2022).



TOMASZ PANFIL

POWOJENNE NIEMCY WOBEĆ PRZESZŁOŚCI

Niemcy aspirują dziś do przywództwa w Europie. Są z pewnością potęgą gospodarczą. Jak do tego doszły? Czy potrafiły dokonać politycznego i społecznego oczyszczenia, potrafiły w pełni rozliczyć się z ludobójczą przeszłością, wyznały winy i zadośćuczyniły skrzywdzonym?



snutych przez polityków, politologów, socjologów i ekonomistów refleksjach nad teraźniejszością i przyszłością Europy konsekwentnie przewija się koncepcja, że Republika Federalna Niemiec winna odgrywać w Unii Europejskiej i na całym Starym



Kontynencie rolę lidera, przewodnika, hegemonu nawet. Mniemanie to oparte jest na trzech głównych przesłankach. Pierwsza z nich to fakt, że Niemcy są europejską i światową potęgą gospodarczą. Przesłanka druga wskazuje, że Niemcy to państwo chlubiące się stabilnym ustrojem politycznym – demokracją silną, bo wykształconą po wywołanej przez Niemcy w 1939 r. wojnie światowej, która zakończyła się ich klęską i bezwarunkową kapitulacją w maju 1945 r. Przesłanka ta powiązana jest immanentnie z trzecią: przeświadczeniem, że Niemcy umiały nie tylko podnieść się ekonomicznie po zniszczeniach wojennych, lecz także dokonały politycznego i społecznego katharsis, że odrzuciły złowrogie dziedzictwo lat 1933–1945, dokonały pełnego rozliczenia z ludobójczą przeszłością, wyznały winy i zadośćuczyniły skrzywdzonym. Przeświadczenie to – tak przecież popularne w światowej opinii publicznej – jest jednak w większym stopniu efektem zabiegów propagandowych niż konkluzją wynikającą z analizy faktów historycznych. Co ważne – coraz częściej mówią o tym historycy niemieccy.

DENAZYFIKACJA À L'ALLEMANDE

Mit założycielski powstałej w 1949 r. RFN opiera się na twierdzeniu, że w pierwszych latach powojennych Niemcy dokonały denazyfikacji, czyli przebudowy świadomości społecznej. Komponentami denazyfikacji były odrzucenie teorii rasowych jako fundamentu relacji Niemców z innymi narodami, wyrzeczenie się koncepcji, że prawo jest pochodną siły, oraz uznanie, że godność człowieka jest wartością nadrzędną w stosunku do interesu państwa. Oczywiście Niemcy przyznają, że przebudowa ta została dokonana pod presją zwycięskich mocarstw alianckich, które na konferencji pocz-



■ MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH RZESZY WILHELM FRICK (W PIERWSZYM RZĘDZIE, TRZECI OD LEWEJ), ZA NIM (W DRUGIM RZĘDZIE W ŚRODKU) HANS GLOBKE, BRATYSŁAWA, 1941 R. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

damskiej przyjęły uchwałę „O Niemczech”. We wstępie tej uchwały stwierdzono, że „[...] naród niemiecki musi spłacić dług za straszliwe zbrodnie popełnione pod kierunkiem tych, których uczynki otwarcie aprobował i którym był ślepo posłuszny”. Denazyfikacji miały towarzyszyć następne „D” – demilitaryzacja, decentralizacja, dekartelizacja i demokratyzacja. Choć napięcia między aliantami zachodnimi a Związkiem Sowieckim narastały praktycznie od zakończenia działań militarnych jesienią 1945 r., to w sprawie niemieckiej współpraca istniała – choć coraz bardziej podejrzliwa – praktycznie do 1948 r. Gdy stało się jasne, że postulat utrzymania jednych Niemiec jest dla ZSRS wybiegiem umożliwiającym przesunięcie strefy wpływów komunistycznych aż po Ren, alianci zachodni uznali, że korzystnym politycznie i militarnie rozwiązaniem będzie powołanie do istnienia Niemiec Zachodnich złożonych ze stref okupacyjnych amerykańskiej, brytyjskiej i francuskiej (konferencja londyńska w czerwcu 1948 r.). W następnych miesiącach przedstawiciele niemieckich rządów krajowych powołali Konwent Konstytucyjny, a następnie Radę Parlamentarną, która opracowała projekt ustawy zasadniczej (Grundgesetz),

przyjęty 24 maja 1949 r. Zwierzchnią kontrolę nad funkcjonowaniem państwa zachodnioniemieckiego miała sprawować Wysoka Komisja Aliancka.

Jednak szybki rozwój Niemiec Zachodnich umożliwiły nie tylko uzgodnienia polityczne, lecz otwarta konfrontacja militarna koalicji państw demokratycznych z blokiem komunistycznym. Doszło do niej w czerwcu 1950 r., gdy wojska komunistycznej Korei Północnej przekroczyły 38 równoleżnik, atakując Koreę Południową. W nowej sytuacji geopolitycznej państwo zachodnioniemieckie stało się cennym sprzymierzeńcem – początkowo głównie gospodarczym – powołanej do życia w kwietniu 1949 r. Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego. Ta zmiana statusu doprowadziła do zaniechania, a nawet w wielu wypadkach cofnięcia procesów związanych z realizacją zasady „pięciu D”. Niezakłócenie przebiegała tylko demokratyzacja, choć – jak zobaczymy – przestała być ona ustrojem „jednoznacznie dobrych”, przyjmując wiele odcieni szarości. Powróciły też barwy kojarzone z okresem III Rzeszy.

WYWABIANIE BRUNATNYCH PLAM

O powierzchowności procesów denazyfikacyjnych i przemijalności aprobującego je nastawienia społeczeństwa niemieckiego świadczyły wyniki badań społecznych. O ile w 1946 r. poparcie dla działań sądzącego w Norymberdze największych zbrodniarzy niemieckich Międzynarodowego Trybunału Wojskowego wyraziło 78 proc. Niemców, o tyle w 1951 r. odsetek ten spadł do zaledwie 10 proc. Coraz powszechniejszy stawał się pogląd o równoważności cierpień, które sprowadzili na narody europejskie Niemcy w latach wojny, z tymi, które dotknęły ich samych po zakończeniu działań zbrojnych. „Można każdej popełnionej przez Niemców potworności przeciwstawić podobne, dokonane angielskimi, francuskimi, amerykańskimi czy rosyjskimi rękoma” – pisał w 1949 r. ceniony przez aliantów i Konrada Adenauera pastor Theophil Wurm, przełożony Kościoła Ewangelickiego w Niemczech (od 1945 r.). Dobitym dowodem – jeśli nie na aprobatę, to przynajmniej społeczne usprawiedliwianie zbrodni niemieckich – był fakt, że ok. 20 tys. funkcjonariuszy aparatu terroru III Rzeszy żyło w Niemczech Zachodnich (pod zmienionymi nazwiskami) i żaden z nich nie został zadenuncjowany przez osoby cywilne.

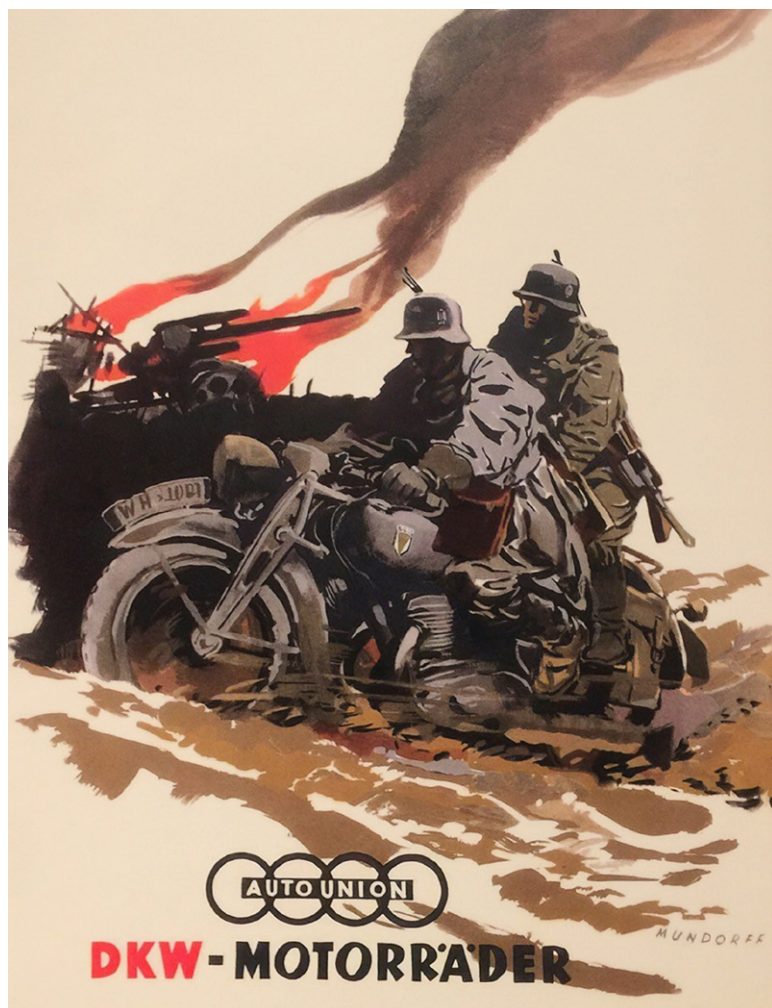
Niemieccy specjaliści od gospodarki wojennej (Wehrwirtschaft), dzięki którym III Rzesza była w stanie przez sześć lat toczyć wojnę kosztującą życie 50 mln ludzi, stali się po zakończeniu działań pożądanymi zarówno przez Amerykanów, jak i przez

Sowietów fachowcami. Kwalifikacje funkcjonariuszy byłej III Rzeszy doceniał Konrad Adenauer. Niegdyś członek opozycji antyhitlerowskiej, od 1947 r. przewodniczący Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej Niemiec (CDU), przewodniczący Rady Parlamentarnej, po pierwszych wyborach do Bundestagu w sierpniu 1949 r. został Adenauer pierwszym kanclerzem RFN (urząd ten sprawował do 1963 r.). Adenauer postawił sobie za zadanie odbudowę znaczenia politycznego i potęgi gospodarczej Niemiec. Ponieważ aliancka kontrola ograniczała suwerenność polityczną RFN, Adenauer skupił się na odbudowie gospodarki. W tym celu konsekwentnie dążył do ochrony fachowców-zbrodniarzy wojennych przed sprawiedliwym rozliczeniem czynów popełnionych w latach 1933–1945. Adenauer przyczynił się do wprowadzenia do Ustawy Zasadniczej Republiki Federalnej Niemiec (Grundgesetz für die Bundesrepublik Deutschland) artykułu 16., który w punkcie 2. stanowi: „Żaden Niemiec nie może być wydany innemu państwu”. W artykule 102. znoszono karę śmierci.

Jednym z pierwszych głosów ostrzegających opinię publiczną Niemiec Zachodnich przed rehabilitowaniem czy wręcz promowaniem członków NSDAP i funkcjonariuszy reżimu była wystawa przygotowana w 1959 r. przez Reinharda Streckera. Ukazywała ona nazistowską przeszłość sędziów RFN: „Adenauer nie był nazistą, ale po 1945 roku otoczył się nazistami. Wychodził im naprzeciw, za wszelką cenę nie chciał dopuścić do procesów hitlerowskich zbrodniarzy przed niemieckimi sądami”. Większość ludobójców skazanych w trzynastu procesach norymberskich wyszła na wolność do połowy lat pięćdziesiątych. „Po przejęciu przez Niemców osądów zbrodni popełnianych w okresie istnienia III Rzeszy nastąpiła gorączka ułaskawień tych, którzy zostali skazani na karę więzienia lub śmierci” – podkreślał prof. Witold Kulesza.

POBŁAŻLIWOŚĆ I ZANIECHANIA

Masowe mordy na ludności cywilnej, rzeź na Woli, gwałty i nieopisane okrucieństwa, rabunek i planowe niszczenie Warszawy w sierpniu i wrześniu 1944 r. – wszystko to łączy się z nazwiskiem SS-Gruppenführera i generała-porucznika Waffen-SS Heinza Reinefartha (z zawodu prawnika). Po wojnie Polska zażądała wydania zbrodniarza, jednak Anglosasi odmówili. Wprawdzie Reinefarth stanął przed sądem, ale był to sąd niemiecki, który kata wciąż leżącej w gruzach Warszawy uniewinnił. Z braku dowodów. Mógł więc esesman przebrany w garnitur „dobrego Niemca” włączyć się w budowę nowych, powojennych Niemiec. W 1951 r. został burmistrzem miasta



■ REKLAMA POJAZDÓW WOJSKOWYCH KONCERNU AUTO UNION (PO WOJNIE AUDI), 1939 R. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Westerland na położonej w pobliżu granicy z Danią wyspie Sylt. Urząd ten pełnił przez następnych osiemnaście lat, będąc jednocześnie od 1958 r. posłem do Landtagu kraju związkowego Szlezwik-Holsztyn. Kolejne wnioski Polski o wydanie zbrodniarza były odrzucane przez władze Niemiec¹, które w 1967 r. przyznały Reinefarthowi generalską emeryturę.

¹ W Grundgesetz (ustawa zasadnicza, czyli niemiecka konstytucja z 1949 r.) wpisano artykuł 16., który wyklucza ekstradycję Niemców; chronił on niemieckich zbrodniarzy przed skazaniem za zbrodnie dokonane poza terytorium Niemiec.

Innym przykładowym obywatelem RFN był Eilert Dieken. Porucznik Dieken rozkazał zamordować we wsi Markowa członków żydowskich rodzin Goldmanów, Didnerów i Gruenfeldów oraz ukrywających ich Józefa i Wiktorię Ulmów wraz z siedmiorgiem ich dzieci. Po wojnie leutnant Dieken był przez wiele lat komendantem policji w miasteczku Esens nad Morzem Północnym. Rodzinie opowiadał, jak w okropnych „czasach nazistowskich” pomagał Polakom i Żydom. Nikt nigdy go nie niepokoił przypominaniem prawdy.

Znacznie więcej przykładów pobłażliwości niemieckich sądów oraz instytucji powojennego państwa niemieckiego wobec zbrodniarzy przytaczają Klaus-Michael Mallmann i Andrej Angrick w książce *Gestapo po roku 1945. Kariery, konflikty, konteksty*. Obliczają oni, że w tworzonej pod patronatem CIA w Niemczech Zachodnich agencji wywiadowczej ok. 30 proc. pracowników należało do NSDAP, a 10 proc. stanowili byli funkcjonariusze Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (Reichssicherheitshauptamt, RSHA), w skład którego wchodziły gestapo, kripo i sipo. Szefem organizacji był Reinhard Gehlen – były generał-major, szef wywiadu Sztabu Generalnego Wehrmachtu na wschód. W 1956 r. Organization Gehlen została przejęta przez RFN i przyjęła nazwę Bundesnachrichtendienst (BND). Jeszcze na początku lat siedemdziesiątych co czwarty pracownik BND legitymował się stażem w strukturach wojskowych i policyjnych III Rzeszy.

Szczególnie łaskawy dla nazistowskich zbrodniarzy był kraj związkowy Szlezwik-Holsztyn: tam pracowali burmistrz Reinefarth i komisarz Dieken. Tamtejsza policja kryminalna w 1950 r. w 100 proc. składała się z funkcjonariuszy RSHA.

Co pewien czas opinię publiczną w Niemczech, w Izraelu lub innych państwach bulwersowały ujawniane fakty z przeszłości, przypominane zbrodnie, których sprawcy nie ponieśli kary. Polityka zamilczania brunatnej przeszłości ustępowała miejsca polityce rozliczeń. Często były to rozliczenia minimalne, obliczone na uspokojenie nastrojów społecznych. W 1958 r. powołano Centralę Badania Zbrodni Narodowosocjalistycznych z siedzibą w Ludwigsburgu, która przekazywała dochodzenia do prokuratur. Efekty? Ocenia się, że III Rzesza doprowadziła do śmierci 13 mln ludzi (nie licząc żołnierzy poległych na frontach), za co odpowiedzialnych było ok. 200 tys. funkcjonariuszy reżimu – policjantów, prokuratorów, sędziów, urzędników. Niemieckie prokuratury w RFN wszczęły śledztwo wobec 87 tys. osób, skazano 6456, w tym 182 na dożywocie. Zestawienie jest porażające: 13 mln

ofiar – 182 osoby skazane na dożywocie. Największą skuteczność Centrala w Ludwigsburgu wykazała w zaprzepaszczaniu przekazywanych jej z Polski oryginalnych dokumentów dotyczących zbrodni niemieckich: ponad 200 tys. jednostek archiwalnych wysłanych do Ludwigsburga przepadło bezpowrotnie. Śledztwo w tej sprawie prowadzone przez prokuraturę warszawską zostało w 2010 r. umorzone z powodu „przedawnienia karalności czynu”.

MUNDURY NA GARNITURY

Parasol ochronny nad pomniejszych zbrodniarzami roztaczali ci dawni towarzysze narodowi, którzy objęli w RFN najwyższe stanowiska państwowe. Sekretarzem stanu i szarą eminencją u kanclerza Adenauera był Hans Globke, współtwórca osławionych norymberskich „ustaw rasowych”, które dały podstawę najpierw do represji, potem Holokaustu Żydów europejskich. W 1938 r. Globke objął stanowisko kierownika w Urzędzie ds. Żydowskich Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rzeszy, gdzie przygotował zarządzenie zmuszające żydowskich mężczyzn do przyjęcia drugiego imienia Izrael, a żydowskich kobiet – Sara. Chodziło o szybką identyfikację. W 1941 r. opracował ustawę pozbawiającą Żydów na terenach okupowanych państwowości i mienia. Globkemu przypisuje się również autorstwo raportu dotyczącego Francji, w którym ubolewał nad obecnością „kolorowej krwi w Europie” i wzywał do „eliminacji jej wpływów”. Ani te fakty, ani związek Globkego z wysłaniem 20 tys. greckich Żydów do obozów zagłady, ani protesty CIA nie powstrzymały Adenauera przed powierzeniem Globkemu stanowiska najpierw podsekretarza, a potem sekretarza stanu w kancelarii państwa. Stanowisko to Globke piastował do 1963 r.

Obok Adenauera na piedestale wybitnych mężów stanu pierwszych lat istnienia RFN stawiany jest Ludwig Erhard: w latach 1949–1963 minister gospodarki, zastąpił potem Adenauera na stanowisku kanclerza. Obwołany autorem niemieckiego „cudu gospodarczego” (Wirtschaftswunder) przedstawiał się Erhard jako apolityczny profesor ekonomii, którego władze III Rzeszy represjonowały za niezależność poglądów, odmawiając mu habilitacji. Jak się jednak okazało, dysertacja Erharda była po prostu bardzo słaba, zaś jej autor zarabiał potężne pieniądze, pisząc ekspertyzy ekonomiczne dla wysoko postawionych członków NSDAP i administracji okupacyjnych. Od 1940 r. Erhard pracował dla Głównego Urzędu Powierniczego Wschód. Haupttreuhandstelle Ost działał na ziemiach polskich wcielonych do Rzeszy i zaj-

mował się konfiskatami polskiego mienia – od wielkich zakładów przemysłowych po małe, prywatne sklepiki. Przyszły kanclerz RFN stykał się oczywiście z Polakami. To dwie z jego opinii: „Polski robotnik okazał się być chętny i pracowity, chociaż jego osiągnięcia nie spełniają wymagań stawianych Niemcom z Rzeszy. To wynik braków w wychowaniu i cech wynikających z uwarunkowań rasowych”; „Naród polski nie posiada mocy kształtowania (rzeczywistości), która pozwoliłaby mu na osiągnięcie prawdziwie kulturalnych wartości”.

W 1962 r. stanowisko prokuratora generalnego RFN objął Wolfgang Fränkel. W okresie III Rzeszy skazał na śmierć co najmniej trzydzieści osób, w tym Polaka, który ośmielił się nie zgodzić z opinią, że Hitler opanuje całą Europę. Dopiero po ujawnieniu zbrodniczej przeszłości, Fränkel został poproszony o rezygnację z zajmowanego stanowiska.

W 1955 r. alianci zgodzili się na reaktywację Lufthansy, niemieckich linii lotniczych. Lufthansę odbudowywali m.in. Kurt Weigelt, członek NSDAP od 1937 r., który planował dla reżimu hitlerowskiego nową politykę kolonialną. Po wojnie uznany za zbrodniarza wojennego, od 1952 r. pracował w Deutsche Banku, potem przewodniczył Radzie Nadzorczej Deutsche Lufthansa AG. Obok niego nad odbudową linii lotniczych pracował Kurt Knipfer, protegowany Hermanna Göringa, dyrektor w Ministerstwie Lotnictwa Rzeszy i członek Naczelnego Dowództwa Sił Powietrznych. W 1951 r. został szefem Departamentu Lotnictwa Federalnego Ministerstwa Transportu. Obaj zostali odznaczeni Wielkim Federalnym Krzyżem Zasługi z Gwiazdą.

I wróćmy jeszcze do Szlezwiку-Holsztynu. Doktor Carl-Anton Schäfer członkiem NSDAP został w 1934 r., do września 1939 r. był dyrektorem Bank von Danzig, następnie organizował Reichkreditkasse we wcielonej do Rzeszy Łodzi. W 1940 r. został komisarzem Banque de France, instytucji, przy pomocy której Niemcy przeprowadzali wyzysk fiskalny i handlowy okupowanej Francji. W 1945 r. minister finansów wyzwolonej Francji oszacował, że Niemcy wyprowadziły łącznie 900 mld franków, czyli 45 mld reichsmarek, co można przeliczyć na 450 mld euro. Schäfer trafił na krótko do francuskiego więzienia. Opuścił je w 1948 r., a trybunał niemiecki uznał go wyłącznie za „sympatyka” nazizmu. W listopadzie 1953 r. Schäfer został ministrem finansów i ministrem sprawiedliwości w rządzie kraju związkowego Szlezwiку-Holsztynu. Po roku zrezygnował z funkcji ministra sprawiedliwości, zatrzymując tekę ministra finansów. Od października 1957 do października 1958 r.

był także wicepremierem. W listopadzie 1961 r., skończywszy siedemdziesiąt lat, Schäfer opuścił rząd krajowy i przeszedł na emeryturę.

BIAŁE KOŁNIERZYKI

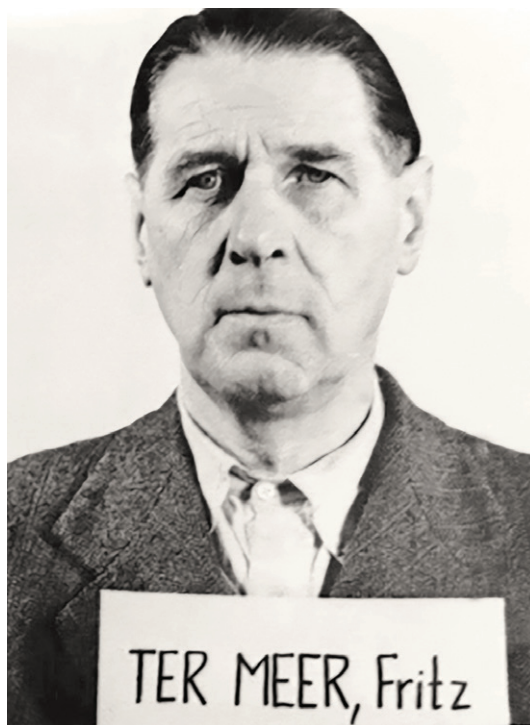
Męstwo i poziom wyszkolenia żołnierzy Wehrmachtu doceniali wszyscy przeciwnicy Niemiec. Podobnie jak nowatorstwo i zaawansowanie technologiczne uzbrojenia. Lecz najistotniejszym czynnikiem, który pozwolił III Rzeszy przez lata prowadzić wojnę przeciwko potężnej koalicji, a NSDAP utrzymywać nieprawdopodobnie wysoki poziom poparcia społecznego, była niemiecka gospodarka. Wehrwirtschaft swą wydajność i odporność na potężne uderzenia lotnicze zawdzięczała w znacznej mierze wykorzystywaniu pracy przymusowej i niewolniczej ludności krajów okupowanych oraz planowej, bezprzykładnej grabieży zajętych terytoriów. Niemiecki przemysł wspierał wysiłek wojenny III Rzeszy, czerpiąc z niego gigantyczne dochody.

Do najważniejszych firm należał syndykat IG Farben utworzony w 1925 r. przez sześć niemieckich firm chemicznych, w tym Bayer, AGFA i BASF. Jacy ludzie tam pracowali, może świadczyć Helmuth Vetter, pracownik Bayer AG z Leverkusen. Gdy otrzymał pracę w obozie w Dachau, był wręcz zachwycony perspektywami. Pisał o tym w liście do kolegów z firmy: „Możecie sobie wyobrazić, z jakim zapałem rzuciłem się w wir nowych obowiązków, zwłaszcza że mam możliwość praktycznego wypróbowania także naszych preparatów. [...] Gdy porównuję to wszystko z poprzednim okresem, wydaje mi się, że trafiłem do raju”.

IG Farben było właścicielem 42,5 proc. akcji firmy Degesch produkującej środek insektobójczy Zyklon B, za pomocą którego w komorach gazowych niemieckich obozów zagłady uśmiercono miliony ludzi. Następne 42,5 proc. udziałów firmy Degesch było własnością przedsiębiorstwa Degussa GmbH. Nazwa Degussa to skrót od Deutsche Gold- und Silber-Scheideanstalt. W swoich produktach Degussa wykorzystywała rabowane przez Niemcy złoto, w tym złote zęby i koronki zabierane w obozach zamordowanym więźniom. Degussa funkcjonowała do 2003 r., w roku 2007 stała się częścią koncernu Evonik Industries, niemieckiej spółki giełdowej, drugiego co do wielkości niemieckiego przedsiębiorstwa z branży chemicznej. Rok 2003 jest datą istotną – Degussa otrzymała wówczas zamówienie na wykonanie powłoki ochronnej Pomnika Pomordowanych Żydów Europy w Berlinie. Degussa, mimo protestów, zlecenie dokończyła, po czym rozpoczęła serię przekształceń i zmian nazwy.

■ FRITZ TER MEER.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Proces pracowników IG Farben był szóstym z kolei procesem norymberskim. Najwyższe wyroki otrzymali w nim ci z kierownictwa syndykatu, którzy zaangażowani byli w działalność Werk Auschwitz – wytwórni kauczuku i paliwa na terenie Monowic, wsi niedaleko Oświęcimia. Fabrykę – finansowaną przez Deutsche Bank – budowali więźniowie Auschwitz, oni także w niej pracowali. Około 10 tys. zmarło z wyczerpania i głodu



bądź zostali zagazowani lub zastrzeleni. Najwyższy wyrok – osiem lat – otrzymał Otto Ambros, na siedem lat skazano Fritza ter Meera. Otto Ambros szybko opuścił więzienie i został doradcą kanclerza Adenauera i pracownikiem amerykańskiej firmy Dow Chemicals. Fritz ter Meer zaś po odsiedzeniu wyroku wrócił w 1956 r. na stanowisko szefa Bayer AG, na którym pozostawał do 1964 r.; pracował również w zarządach innych firm, m.in. Commerzbanku i Bundesverband Deutscher Banken. Carl Wurster, inny pracownik IG Farben, w 1939 r. przejmował na rzecz syndykatu polskie zakłady chemiczne, w 1941 r. jako Wehrwirtschaftsführer (lider gospodarki wojennej) został członkiem Rady Gospodarki Wojskowej Izby Gospodarczej Rzeszy, a w 1943 r. odznaczono go Krzyżem Zasługi Wojennej I klasy. Od 1952 r. był szefem firmy BASF, potem członkiem zarządu Deutsche Banku.

Wartość przedsiębiorstw należących dziś do rodziny Quandt szacowana jest na 6 mld euro (w tym 30 proc. udziałów BMW). Twórcą potęgi rodziny był Günther Quandt. W III Rzeszy w fabrykach jego firmy AFA w oparach kwasów, w nieustannym kontakcie z ołowiem, tysiące robotników przymusowych i więźniów obozów produkowało akumulatory do U-Bootów i baterie do różnego typu broni, w tym pocisków V-1 i rakiet V-2. Quandt miał też udziały w Continentalu. Po woj-



■ HUGO BOSS.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

nie firmę przejęli synowie Harald (pasierb Goebbelsa) i Herbert. Od 1962 r. AFA nosi nazwę VARTA.

Rudolf August Oetker, ochotniczy członek SS, odbył staż w Dachau. Był dostawcą produktów żywnościowych dla Wehrmachtu, a jego fabryka wykorzystywała pracę robotników przymusowych.

O swojej przeszłości nie chciał rozmawiać nawet z dziećmi. Prezesem firmy był do 1981 r., funkcję doradcy sprawował w niej do śmierci w 2007 r.

Hugo Ferdinand Boss, od 1924 r. właściciel firmy odzieżowej z Mentzingen, nazistą był z przekonania – do Narodowosocjalistycznej Partii Robotników Niemiec wstąpił w 1931 r. Okres prosperity dla jego firmy nastąpił w momencie otrzymania zamówienia na szycie mundurów: początkowo brązowych, dla członków NSDAP i partyjnych bojówek SA (Sturmabteilung), potem czarnych dla SS (Schutzstaffel) oraz czarnobrunatnych dla Hitlerjugend. Od 1938 r. Hugo Boss szył również mundury dla Wehrmachtu. Zamówienia od partii i armii sprawiły, że kulejąca wcześniej firma weszła w okres intensywnego rozwoju: w 1932 r. Boss sprzedał towary za 38 260 reichsmarek, a w roku 1941 już za ponad 3 mln 300 tys. RM. W zakładach Hugo Bossa pracowało co najmniej 140 polskich robotników przymusowych – głównie kobiety – oraz 40 francuskich jeńców wojennych.

W 2021 r. sprzedaż produktów Hugo Boss AG osiągnęła wartość 2,8 mld euro, zysk netto zaś – 144 mln euro.

Reimannowie, ojciec i syn, byli gorącymi zwolennikami Hitlera. Albert junior w 1937 r. napisał do Himmlera: „Jesteśmy czysto aryjską firmą rodzinną, która ma ponad sto lat. Właściciele są bezwarunkowymi zwolennikami teorii rasowej”. W czasie wojny Reimannowie potroili majątek, wykorzystując pracę niewolniczą i przymusową. Albert Reimann stał na czele firmy do 1984 r., honorowany najwyższymi odznaczeniami RFN. Należący do Reimannów holding inwestycyjny JAB

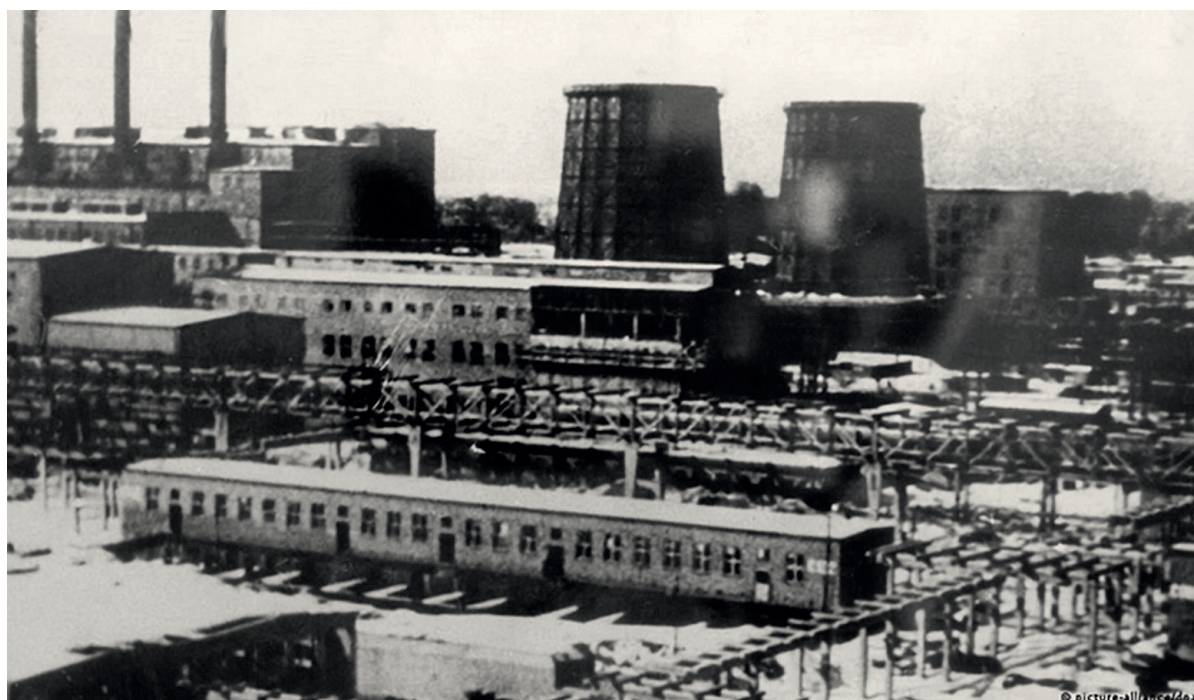
ma dzisiaj znaczące udziały w wielu światowych markach, m.in. w Jacobs Douwe Egberts oraz Coty Inc., a majątek rodziny Reimannów szacowany jest na 33 mld euro.

Firma Continental z opracowanych przez siebie mieszanek gum produkowała podeszwy doświadczalnych butów. Do chodzenia w nich zmuszano więźniów obozu w Sachsenhausen. Więźniowie ze specjalnej drużyny Schuhläufer-Kommando marszerowali więc setki, tysiące kilometrów, aż do wyczerpania sił, a często do śmierci. Z wyników testów korzystały również firmy Salamander, UHU, Deutsche Linoleum-Werke AG (obecnie Gerflor DLW GmbH).

Członkami NSDAP byli bracia Adolf i Rudolf Dassler, założyciele dwóch innych firm obuwniczych: Adolf stworzył Adidasa, Rudolf zaś Pumę – obaj swoje listy biznesowe kończyli formułą „Heil Hitler”.

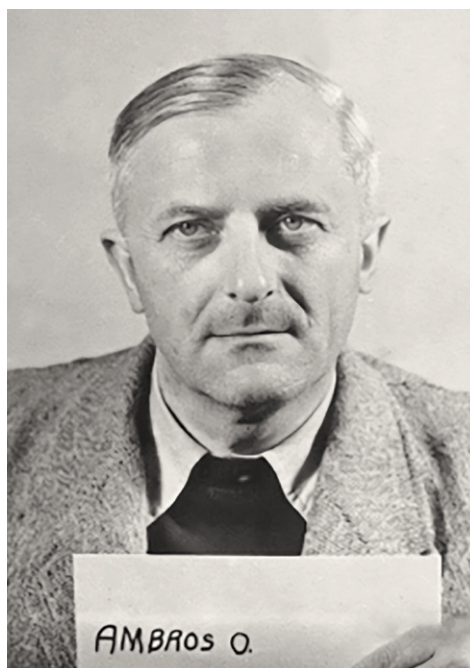
Warto przyrzeć się nieco bliżej losom Ottona Ambrosa i niemieckiej firmy farmaceutycznej, w której pracował. Z wiedzy i umiejętności, które Ambros zdobył, służąc niemieckiemu przemysłowi śmierci, korzystali Amerykanie – zatrudnili zbrodniarza w US Chemical Corps. W 1952 r. Ambros został zaproszony do udziału w pracach rodzinnej firmy Chemie Grünenthal. Przedsiębiorstwo prowadzili dwaj bracia Wirtz – Hermann i Alfred. Obaj należeli do NSDAP, zatrudniali robotni-

■ WIDOK NA NALEŻĄCĄ DO IG FARBEN WYTWÓRNIĘ SYNTETYCZNEGO KAUCZUKU W MONOWITZ, NIEDALEKO AUSCHWITZ (MONOWITZ-BUNA, AUSCHWITZ III). FOT. DOMENA PUBLICZNA



ków przymusowych, korzystając z programu aryacji, przejęli dwie firmy należące do niemieckich Żydów. Bracia nazisci utworzyli Chemie Grünenthal w 1946 r., chcąc wejść na gwałtownie rozwijający się rynek farmaceutyczny. Na początku lat pięćdziesiątych przedsiębiorstwo stało się azylem dla byłych SS-lekarzy i hitlerowskich „naukowców” z obozów koncentracyjnych. W Chemie Grünenthal zatrudnienie znalazł Martin Staemmler, jeden z gorących orędowników niemieckiego programu „higieny rasowej”. W okupowanej Polsce współpracował z SS w dziedzinie „polityki ludnościowej”, czyli przy wyniszczaniu narodu polskiego. W Chemie Grünenthal czuwał nad pionem patologicznym. Bracia Wirtz zatrudnili też dr. Ernsta-Günthera Schencka. Jako inspektor żywienia SS, opracowaną przez siebie „kielbasę białkową” testował na 370 więźniach obozów koncentracyjnych. Wielu z nich nie przeżyło. I jeszcze Heinz Baumkötter, hauptsturmführer SS, naczelnny lekarz obozów koncentracyjnych w Mauthausen, Natzweiler-Struthof i Sachsenhausen. W 1956 r. wrócił wraz ze Schenckiem ze Związku Sowieckiego (byli skazani na dożywocie) i znalazł pracę u Wirtzów w Chemie Grünenthal. Otto Ambros był przewodniczącym komitetu doradczego Grünenthala i zasiadał w zarządzie firmy.

Takie oto grono lekarzy i naukowców pracowało w Chemie Grünenthal, gdy



firma wypuściła na rynek Contergan, innowacyjny lek przeciwko nudnościom, nasenny i przeciwbólowy, który mógł być – jak twierdziła firma „podawany z całkowitym bezpieczeństwem kobietom w ciąży i matkom karmiącym bez negatywnego wpływu na matkę i dziecko”. Kierownikiem programu rozwoju leku Wirtz już w 1946 r. uczynił chemika Heinricha Mücktera, ze względu na jego doświadczenie w badaniach i produkcji szczepionki przeciwtyfusowej

■ OTTO AMBROS.
FOT. DOMENA PUBLICZNA



■ KURT KNIPFER.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

dla nazistowskich Niemiec. Mückter pracował w okupowanej Polsce, w krakowskim oddziale lwowskiego Instytutu Badań nad Tyfusem Plamistym i Wirusami, potem w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie eksperymentował na więźniach. Aresztowany po wojnie w Polsce, oskarżony o prowadzenie eksperymentów medycznych na więźniach, zbiegł z aresztu do Niemiec Zachodnich.

Contergan zawierający talidomid w końcu lat pięćdziesiątych trafił na rynki 46 państw, mimo że władze Chemie Grünenthal ukryły kluczowe informacje o procesie badawczym i kłamały na temat potencjalnych skutków ubocznych. W efekcie zażywania przez przyszłe matki talidomidu (który ma silne działanie teratogenne, czyli powodujące uszkodzenia płodu, zwłaszcza w pierwszych pięćdziesięciu dniach ciąży) narodziło się ok. 12 tys. dzieci z ciężkimi wadami rozwojowym. Około 4 tys. dzieci zmarło krótko po urodzeniu, pozostałych 8 tys., najczęściej pozbawionych nóg lub rąk, żyło w cierpieniu przez wiele lat.

Jak napisał William L. Shirer w *Powstaniu i upadku III Rzeszy*: „[...] setki niemieckich urzędników całymi dniami i miesiącami siedziały za biurkami w miłym świetle wiosennego słońca, sumując liczby i formułując memoranda, w których z zimną krwią rachowały masakrę milionów”. Po wojnie w Republice Federalnej Niemiec ci sami skrupulatni niemieccy urzędnicy siedzieli za biurkami, rachując miliardowe zyski niemieckich globalnych firm.



Tomasz Panfil (ur. 1962) – historyk, dr hab., pracownik Samodzielnej Sekcji Programowej IPN. Autor książek: *Lingua symbolica. O pochodzeniu i znaczeniach najstarszych symboli heraldycznych w Polsce* (2002); *Tyle we mnie siły. Opowieść o życiu księdza infulata generała brygady Witolda Kiedrowskiego (1912–2012) z wyborem tekstów* (2016); *Polonia. Ta, co nie zginie*, rozmawiał Mirosław Kokoszkiwicz (2017); *Ignacy Daszyński 1866–1936* (2018) i in.



DR MARIA WIELOCH ZE STOWARZYSZENIA RODZINA PONARSKA, WARSZAWA, 5 GRUDNIA 2022 R. FOT. IPN

KINGA HAŁACIŃSKA

RODZINA PONARSKA WALCZY O PAMIĘĆ

W podwileńskich lasach w czasie okupacji niemieckiej zamordowano w okrutny sposób dziesiątki tysięcy osób. Trwa walka, by świadectwo tej straszliwej, latami przemilczanej zbrodni trafiło do szkolnych podręczników.

„Lipiec 1941 r. 11 VII. Pogoda dosyć ładna, ciepło, białe obłoki, wiatr, od lasu jakieś strzały. Prawdopodobnie ćwiczenia, bo w lesie stoi jakiś obóz amunicyjny, na drodze do wsi Nowosiółki” – zanotował wilnianin Kazimierz Sakowicz. Było około szesnastej, a strzały nie milkły, zaniepokoiło go to, więc poszedł sprawdzić, co się dzieje. „Na »grodzieńce« (szosa łącząca Wilno z Grodnem – przyp. red.) dowiaduję się, że do lasu przypędzili dużo Żydów. I raptem do nich strzelają. [...] Wrażenie przygnębiające. Strzały ucichły po godzinie 8 wieczorem, potem trwały nie salwy, lecz pojedyncze. Na »grodzieńce« posterunek litewski (wojskowy). Legitymuje przechodzących” – dokończył wieczorem zapis. Odtąd wszystko,

co zdołał podpatrzeć, utrwał na kartkach z zeszytu, wąskich karteczkach z notesu, na marginesie kartek z kalendarza. Dzień po dniu, aż do 6 listopada 1943 r. opisywał momenty egzekucji, notował oznaczenia wagonów i numery rejestracyjne samochodów przewożących skazańców, starał się zdobyć informacje od innych świadków. Kreślone w pośpiechu zapiski wkładał do butelek po wodzie sodowej i pod osłoną nocy zakopywał w przydomowym ogrodzie. Wiedział, że w razie ich odnalezienia grozi mu kara śmierci.

Kazimierz Sakowicz (1894–1944), dziennikarz, oficer Wojska Polskiego, był właścicielem i wydawcą wileńskiego „Przeglądu Handlowo-Gospodarczego”. Gdy 17 września do Polski weszły wojska sowieckie, zatrudnił się w przedsiębiorstwie skupującym bydlęce skóry i przeniósł się do Ponar. Dojeżdżał do pracy 10 km rowerem, ale piękno tej trasy wynagradzało mu wszystko. Ponary, ulubione lotnisko mieszkańców Wilna, pachniały wrzosowiskami i lasem porośłym na piaszczystych pagórkach. Wybuch II wojny światowej odmienił lotnisko. Okupujący Wileńszczyznę w pierwszych miesiącach wojny Sowieci rozpoczęli tam budowę składnicy paliw dla pobliskich lotnisk w Chazbijewiczach i Porubanku. Miejsce było świetnie skomunikowane z okolicą – w pobliżu przebiegały szosa do Grodna, tory kolejowe. Ściągnięto więc robotników i w odległości 3 km od stacji kazano im kopać doły na zbiorniki. Było ich dziewięć, największy, około czterdziestometrowy miał głębokość 5–6 m. Jednak paliwo przeznaczone dla lotnisk nigdy się tam nie znalazło.

22 czerwca 1941 r. Niemcy zaatakowały ZSRS, a na Litwie wybuchło antysowieckie powstanie. Okupant z Zachodu był gorąco witany przez ludność litewską. Niemców wsparli szaulisi (lit. šaulis – strzelec), członkowie litewskiej nacjonalistycznej organizacji strzeleckiej, którzy prowadzili akcje dywersyjne organizowane przez Front Litewskich Aktywistów (Lietuvių Aktyvistų Frontas). Mieli wrogie nastawienie do Polaków i Żydów, marzyli o niepodległej Litwie wolnej od mniejszości. Niemcy z oficerów i żołnierzy z oddziałów aktywistów tworzyli jednostki pomocnicze policji porządkowej (Hilfspolizeitruppe). Jej posterunki powstawały w każdym mieście i miasteczku okręgu wileńskiego. Przy wileńskiej ekspozyturze policji bezpieczeństwa i SD powstało też Sonderkommando der Sipo und des SD (oddział specjalny policji bezpieczeństwa i SD). Na jego czele stał Hauptscharführer SS Martin Weiss, ale w jego skład, poza szeregowcami, wchodziło kilkunastu podoficerów i dwóch oficerów armii litewskiej. Na początku nosili oni mundury wojska litewskiego z Pogonią na czapkach,



■ STANISŁAW WIELOCH
„RYSZARD” Z ŻONĄ I CÓRKĄ
KRYSZYNĄ, LATA MIĘDZYWOJENNE.
FOT. ZE ZBIORÓW MARII WIELOCH

wkrótce jednak zamienili je na umundurowanie SD, bez naszywek, bo te przysługiwały tylko Niemcom. Podpisywali też zobowiązanie do zachowania tajemnicy na temat działalności oddziału – za którego złamanie groził im wojenny sąd polowy i rozstrzelanie. Zasłynęli z niebywałego okrucieństwa i w Wilnie nazwano ich „Strzelcami Ponarskimi”.

Niemcy postanowili oczyścić miasto z Żydów, szukano tylko miejsca egzekucji – Ponary nadawały się do tego idealnie. Doły były już wykopane, las tłumiał odgłosy strzałów, szosa i kolej zapewniały dogodny transport skazańców. Wystawiono stałe posterunki 10–12 funkcjonariuszy Sonderkommando i tablice zakazujące zbliżania się do tego miejsca pod karą śmierci.

Pierwsza egzekucja wileńskich Żydów odbyła się 4 lipca 1941 r., kolejne – 5 i 8 lipca. Trzy dni później odgłos strzałów usłyszał Kazimierz Sakowicz. Tego popołudnia rozstrzelano 348 osób – jeńców sowieckich z wileńskiego więzienia na Łukiszkach oraz Żydów. Machina eksterminacji ruszyła. Początkowo rozstrzeliwało Einsatzgruppen (grupa operacyjna niemieckiej policji bezpieczeństwa – za jedno z głównych zadań miała eksterminację Żydów), jednak szybko Niemców zastąpili litewscy ochotnicy. Pod koniec lipca 1941 r. mieszkańcy Ponar wiedzieli już, że tzw. baza jest miejscem straceń.

„Od domu, w którym mieszkał Sakowicz, było około 50 m do miejsca kaźni. Przez lornetkę widział wszystko dokładnie, nawet rysy twarzy niektórych ofiar i oprawców, rozpoznawał ich. [...] Wiedział, że jeżeli ma możliwość obserwacji egzekucji, to musi to szczegółowo opisać, bo takie jest jego posłannictwo” – opowiadała w 2000 r. Elwi-



■ KAZIMIERZ SAKOWICZ (PIERWSZY Z PRAWEJ) I MARIA SAKOWICZ, LATA TRZDZIESTE.
FOT. ZE ZBIORÓW MARII WIELOCH

ra Samulik, kuzynka Sakowicza. Pierwszy transport z wileńskiego getta, w którym oprócz mężczyzn były też kobiety, dzieci i starcy, przybył do Ponar 16 sierpnia 1941 r. Początkowo Żydzi nie chcieli wierzyć, że Niemcy zamierzają ich wszystkich wymordować. Gdy do szpitala żydowskiego na furmankach pod sianem przywieziono ranne kobiety, które wypełzły spod ciał rozstrzelanych, lekarze nie uwierzyli ich słowom, podejrzewali, że „zwariowały ze strachu”¹. Było to po największej egzekucji, która miała miejsce 2 września, zabito wówczas 3700 Żydów. Kolumna ofiar prowadzonych do Ponar ciągnęła się 3–4 km. Niemcy nazwali to akcją specjalną, przeprowadzoną w odwecie za strzelanie przez ludność żydowską do niemieckich żołnierzy. Stawiali skazańców na skraju jamy i puszczali serię z karabinów maszynowych. „Nie gwarantowało to jednak śmierci wszystkich ofiar. Zdarzało się, że ranne osoby wydostawały się z dołów i uciekały. Poza tym metoda ta pochłaniała zdaniem oprawców zbyt dużą ilość amunicji” – tłumaczy prof. Piotr Niwiński, historyk z IPN. Postanowili zmienić system. Jednorazowo przyprowadzano dziesięć osób, przed którymi stawiano tyle

¹ R. Margolis, *Wspomnienia wileńskie*, Warszawa 2005, s. 42.

samo żołnierzy. „Większe dzieci stawiano w szeregu z dorosłymi, a małe były trzymane przez matki na rękach. W tym drugim przypadku jeden strzelec przypadał na matkę, drugi na dziecko” – opisywał Sakowicz. Ofiary stały plecami do plutonu egzekucyjnego, patrzyły w dół na ciała zabitych, padały na nie. Po 6–8 minutach następowały kolejne salwy. Małe dzieci Litwini rzucali żywe do dołu lub zabijali uderzeniem kolbą w głowę. Gdy matki rzucały się, by je bronić, zabijano je na miejscu, a wówczas starsze dzieci musiały rodzicielkę dociągnąć do dołu, zanim same zginęły. Rozstrzeliwania ciągnęły się godzinami, czasem dniami, zależnie od wielkości transportu.

DOŁY ŚMIERCI

Mordowano głównie Żydów, potem Polaków: kapłanów, oficerów Wojska Polskiego, działaczy podziemia niepodległościowego, naukowców, artystów, osoby zatrzymane podczas łapanek ulicznych. Polski ruch oporu Niemcy oceniali jako szczególnie niebezpieczny. Szukając powiązań środowiska wileńskiego z konspiracją w Generalnym Gubernatorstwie, policja aresztowała jesienią 1941 r. setki osób. Wśród nich byli absolwenci gimnazjów im. Zygmunta Augusta i Adama Mickiewicza, którzy razem z byłym kuratorem Wileńskiego Okręgu Szkolnego, Stanisławem Rymińskim, utworzyli w roku 1939 Związek Wolnych Polaków. Na jego czele stał Jan Mackiewicz. Wielu z nich rozstrzelano w Ponarach w maju 1942 r., jak ks. Romualda Świrkowski, przedstawiciela Episkopatu w Radzie Wojewódzkiej ZWZ-AK, który trafił do „bazy” 5 maja 1942 r. Obserwujący kolejne egzekucje Sakowicz zauważył postępującą demoralizację oprawców: „Wkrótce ciężarówka mija przejazd; z tyłu widać, jak Litwini oglądają rzeczy skazańców [...]. Bowiem wprowadzono zasadę, że skazańcy rozbierają się w tym samym aucie i dopiero rozebrani idą na śmierć. Po pewnym czasie z bazy wracają 2 szaulisi. Zaczyna się rozmowa. Cóż, okazuje się, że strzelali polskich adwokatów i doktorów. Strzelano po dwóch naraz, rozebranych. Trzymali się fajnie, nie płakali i nie prosili, tylko żegnali się z sobą i przeżegnawszy się – szli” – zanotował. W meldunkach polskiego podziemia pod datą 17 września 1943 r. jest adnotacja, że tego dnia zamordowano dziesięciu zakładników spośród inteligencji wileńskiej. Egzekucja była odwetem za wykonanie wyroku przez AK na Marijonasie Podabasie, inspektorze litewskich oddziałów policyjnych, agencie gestapo. Sakowicz odnotowuje, że szaulisi, którzy przyszli na zmianę warty, wciąż opowiadają, że zakładnicy, a w ogóle i wszyscy

Polacy, trzymają się bardzo „honorowo”, śpiewają pieśni patriotyczne, nie płaczą jak Żydzi, którzy całują nogi i proszą o darowanie życia. Komendantka grupy łączniczek AK Maria Tomkiewicz „Grażyna” zginęła z okrzykiem: „Niech żyje wolna Polska!”. Egzekucję dziesięciu oficerów i podoficerów 5 Pułku Piechoty Legionów i handel ich ubraniami Sakowicz odnotował następująco: „Wkrótce w budce kolejowej zjawia się Litwin Władysław Klukas [...] w ręce trzyma buty (polskie saperki) – chce 4 tys. R [rubli]. Buty jeszcze ciepłe. Opowiada, że mężczyźni strzelali Niemcy pojedynczo z pistoletu”. Sakowicz starał się dowiedzieć jak najwięcej, zasięgał języka nawet u spotkanych w drodze do pracy morderców, podczas pogaduszek wyciągał od nich szczegóły zbrodni. „Ofiary rozebrały się w aucie i nago do jamy. Litwini zaś z góry strzelali, jak do bażantów. Koło jamy stoi teraz beczka z chlorkiem, z której chlorkiem zaraz posypuje się zastrzelonych. Teraz beczka stoi zawsze na pogotowiu. Ciężko rannych, udających zabitych, też naturalnie posypują chlorkiem. Litwini mówią, że Żydzi często zaczynają w jamie skakać, gdy na nich sypią łopatą chlorek. Ale tych co »skaczą« nie dobijają” – zapisuje relacje z tych rozmów. Rozstrzeliwanie na skraju dołów nie pozwalało Niemcom wypełniać ich równomiernie ciałami. Wtedy konstruowano specjalne trampoliny rozpięte nad morzem zwłok. Ofiary wchodziły na nie i były zabijane, gdy znalazły się w odpowiednim miejscu. Po zakończeniu egzekucji kilku więźniów przysypywało trupy warstwą wapna i piasku, po czym i oni byli likwidowani.

Polacy zamieszkujący Ponary nie mogli zapomnieć widoków, jakich byli świadkami w okresie trzech lat okupacji. Ludzi oczekujących w długich kolejkach katowano gumowymi pałkami i bito po głowach. Zdarzało się, że Litwini znudzeni rutyną rozstrzeliwania wskakiwali na brzuchy ciężarnych kobiet, a małe dzieci brali za nóżki i rozbijali im głowy o pnie sosen. Szczuli też ofiary wygłodniałymi psami. Zwierzęta rwały ich ciała, a oprawcy „tak się śmiali jak maszynowe karabiny”. „Rola Niemców ograniczała się do nadzorowania eksterminacji. Aby w Litwinach zabić wyrzuty sumienia, naziści przywozili na miejsce egzekucji wódkę – mówi prof. Niwiński. – Czasami Litwini załamywali się psychicznie i odmawiali zabijania. Kara była surowa – opornych także mordowano. Jednak takie przypadki były rzadkie. W jednostce Ypatingasis Būrys (litewska nazwa Sonderkommando der Sipo und SD) służyło chętnie ze względu na korzyści materialne. Oprócz mieszkania na pierwszym piętrze, deputatów żywieniowych, żołnierze otrzymywali wódkę.

Pili ją po egzekucjach lub w czasie ich trwania. Mieli prawo okradania skazanych z ubrań i kosztowności, wyrywano złote zęby”. Sakowicz był świadkiem takiej sceny: „Żydówka mówi do żołnierza: »Oddałam panu wszystkie pieniądze, pan obiecał mnie i dziecko puścić, a teraz prowadzi na śmierć«. Żołnierz śmieje się”.

Większość egzekucji miało charakter masowy. Żydów przywożono na egzekucję tysiącami osób, tych z tzw. Wschodniej Litwy wagonami sypialnymi. Pijani oprawcy potrafili się zabawiać w sposób drastyczny. „Pewnego razu wśród przyjeżdżających wagonami była grupa około trzydziścioro dzieci w wieku 5–6 lat, którym po wyprowadzeniu kazano biec wzdłuż torów, a gdy dobiegły do pewnego miejsca, szaulisi otworzyli do nich ogień z broni maszynowej” – opowiadał Józef Waniewski. Też starał się zapamiętać szczegóły zbrodni. Z okien swojego sąsiada obserwował drugą bramę wjazdową do „bazy” i dzielił się swoimi spostrzeżeniami z Sakowiczem. Udało mu się przeżyć okupację i to właśnie on po wojnie sporządził dokładny szkic sytuacyjny miejsca straceń.

ŚWIADKOWIE ZBRODNI

Świadkiem jednej z egzekucji stał się wileński dziennikarz Józef Mackiewicz, który był przypadkowo przy torach kolejowych w Ponarach, gdy nadjechał kolejny transport. Obserwował czekających w pociągu na bocznicy ludzi i nagle znalazł się w centrum piekła. Jego tekst *Ponary – baza* opublikowany po wojnie na emigracji to relacja człowieka, który przed oczami wciąż miał kaźń przerażonych rodzin, dzieci krzyczących w objęciach konających matek. „Oto zeskakuje ta młoda Żydówka, płowe jej włosy rozwiane, twarz wykrzywiona w nieludzkim strachu, z ucha, na kosmyku zwiesza się grzebyk, chwyta córeczkę... Nie mogę patrzeć. Powietrze rozdziera taki jazgot straszliwy mordowanych ludzi, a jednak rozróżnić w nim można głosy dzieci o kilka tonów wyższe, właśnie takie jak płacz-wycie kota w nocy. Nie powtórzy tego żadna litera wymyślona przez ludzi!... Żydówka pada najpierw na twarz, później się przerzuca na wznak i zataczając ręką w powietrzu, szuka rączki swego dziecka. Ja nie słyszę, ale widzę z ułożenia ust małej, że woła ona: »mame!«... Na głowie jej dygoce wstążeczka z łachmanka i nachylona ku przodowi chwyta matkę za włosy”.

Kiedy zbliżał się front wschodni do granic III Rzeszy, Niemcy i ich litewscy wspólnicy zdali sobie sprawę, że nie unikną odpowiedzialności za zbrodnie, i zaczęli

przygotowywać się do zacierania śladów. Już w październiku 1943 r. okolicznych mieszkańców wysiedlono, a pociągami towarowymi sprowadzano wapno chlorowane. Wykopywanie i palenie zwłok trwało od listopada 1943 do czerwca 1944 r. Według świadka Abrahama Blazera, który pracował w Ponarach od 27 listopada 1943 do 15 marca 1944 r., w tym czasie z ośmiu dołów egzekucyjnych wydobyto i spalono 68 tys. ciał. „Jedni leżą na drugich, ręce, nogi, głowy, wszystko splątane [...]. Ręce najczęściej związane za plecami. Niektóre twarze przykryte. [...] Niektóre ciała cienkie jak karton. Część jeszcze nie w stanie rozkładu i jeszcze można rozpoznać podczas wyciągania” – zeznawał w latach siedemdziesiątych przed Komisją Badania Zbrodni Niemieckich na Litwie Konstanty Patanino. Więźniowie pracujący przy paleniu zwłok układali stosy po 3,5 tys. ciał. Paliły się po kilka dni, nad okolicą unosiła się ciemnofioletowa łuna i roznosił się upiorny fetor. Więźniowie-palacze mieli świadomość, co ich czeka po skończeniu pracy, dlatego przygotowali plan ucieczki. Z bunkra, w którym nocowali przez 2,5 miesiąca, wykopali trzydziestometrowy tunel. Był gotowy 15 kwietnia 1944 r. i o 21.30 część z nich podkopem wydostała się na zewnątrz. Strażnicy zauważyli ucieczkę i zaczęli strzelać, jednak kilkunastu więźniów zdołało uciec. Właśnie oni zaświadczyli po wojnie na procesie norymberskim o skali zbrodni, bowiem w „bazie” zostały tylko ciała ofiar z czerwca 1944 r. i z 3–4 lipca 1944 r., kiedy to dokonano ostatniej egzekucji. Zabito wówczas ok. 4 tys. osób przywiezionych z więzienia na Łukiszkach i z aresztu przy ul. Ofiarnej w Wilnie. Plutonu egzekucyjnego nie było, użyto broni automatycznej.

Kazimierz Sakowicz prowadził swoje zapiski do 5 lipca 1944 r., do momentu, kiedy został zastrzelony prawdopodobnie przez Litwina z pobliskiej wsi. Tak zeznał 4 maja 1973 r. na posterunku Milicji Obywatelskiej w Giżycku mieszkający tam po wojnie Jan Sakowicz. Mówił, że nieznany mu rolnik z wioski Ponary przywiózł do niego w lipcu 1944 r. na wozie postrzelonego brata. Kazimierz miał kilka ran postrzałowych w brzuch, więc od razu odwiózł go do wileńskiego szpitala św. Jakuba. „Tego samego dnia brat zmarł” – opisał Jan. Próbował sprawdzić, co się stało w dniu 5 lipca. „Dowiedziałem się, że brata zabił pewien mieszkaniec z jednej z wiosek pobliskich. Od Waniewskiego dowiedziałem się nazwiska bandyty, ale obecnie uszło mi z głowy” – Jan Sakowicz zeznawał funkcjonariuszowi MO. Kazimierz został pochowany na wileńskiej Rossie w kwaterze żołnierzy Armii Krajowej, w sąsiedztwie grobu matki Józefa Piłsudskiego. Na jego tajne notatki

natrafił po wojnie okoliczny mieszkaniec szukający zakopanych kosztowności. Natknął się nie na złoto, ale na... butelki po wodzie sodowej. Odkopana dokumentacja została przekazana do Muzeum Rewolucji, z którego trafiła do Litewskiego Muzeum Narodowego w Wilnie, gdzie przechowywana jest do dziś. Przez wiele lat służyła jako ważny materiał dowodowy w procesach prowadzonych przeciwko zbrodniarzom niemieckim. Nie była jednak kompletna, ktoś wykopał część zapisków obejmujących wydarzenia od 6 listopada 1943 r. i prawdopodobnie zniszczył. Maria Sakowicz była pewna, że mąż prowadził je do dnia, w którym został zamordowany.

Zapomnieniu miało ulec też i to, co ocalało. Dokumentacja zbrodni została w archiwach opatrzona adnotacją – „nieczytelne”. Nad karteczkami z butelek pochyliła się w 1998 r. dr Rachela Margolis (zmarła w 2015 r.), kierowniczka działu historii Państwowego Muzeum Żydowskiego na Litwie im. Gaona z Wilna. Z uporem godnym Syzyfa rozszyfrowała rękopis i z pożółkłych kartek wydobyła koszmar minionych dni. Jak pisała, kiedy przeniosła się już do Izraela, wyjmowała ukradkiem notatki, a na ich miejsce wkładała strzępki papieru. Odczytywała je po nocach w swoim domu. Miała do tych zapisków stosunek szczególny – wszyscy jej bliscy, rodzice i brat zostali zamordowani w Ponarach. Dzięki niej *Dziennik pisany w Ponarach od 11 lipca 1941 r. do 6 listopada 1943 r.* Kazimierza Sakowicza został wydany przez bydgoski Oddział Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej w 1999 r. Napisała do niego przedmowę. Dziennik przetłumaczono na angielski, niemiecki, włoski i litewski.

Miejsce eksterminacji było po wojnie całkowicie zaniedbane. Pierwszy pomnik postawiono w 1948 r. staraniem Żydów ocalałych z Holokaustu. Władze sowieckie rozebrały go i wystawiły obelisk z napisem w językach litewskim i rosyjskim: „Ofiarom terroru faszystowskiego 1941–1944”. W 1952 r. polska ludność wileńska postawiła w miejscu egzekucji drewniany krzyż, który szybko został usunięty. Dziesięć lat później Ponarskie Muzeum Pamięci zostało oddziałem Muzeum Historii Rewolucji ZSRR. W 1985 r. otwarto tam Zespół Pomnikowy. Przy wejściu do dawnej „bazy” umieszczono tablice po litewsku i rosyjsku: „Tu w ponarskim lesie od lipca 1941 do lipca 1944 hitlerowcy rozstrzelali ponad 100 tysięcy obywateli sowieckich”. Pięć lat później Litwa odzyskała niepodległość i nad dołami śmierci postawiono pionową tablicę z czarnego granitu z wyrytą gwiazdą



■ JEDEN Z SZEŚCIU DOŁÓW W PONARACH – MIEJSC MORDÓW, W KTÓRYCH ROZSTRZELIWANO OFIARY, LIPIEC 1941 R. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Dawida i napisami w językach hebrajskim, rosyjskim i litewskim. Polacy długo walczyli o upamiętnienie swoich rodaków.

Dzięki zeznaniom świadków próbowano oszacować liczbę ofiar. Początkowo sądzono, że było ich ok. 100 tys. Wiedzano, że w Ponarach od lipca 1941 do lipca 1944 r. życie stracili nie tylko Żydzi i Polacy, ale także przedstawiciele innych narodowości, m.in. Rosjanie, Białorusini i Romowie. Monika Tomkiewicz, autorka wydanej przez Instytut Pamięci Narodowej w 2022 r. wznowionej i uzupełnionej monografii na temat zbrodni ponarskiej, ocenia, że liczba zamordowanych sięgała 80 tys. osób, w tym 72 tys. Żydów i od 1,5 do 2 tys. Polaków. Badaniu zbrodni w Ponarach dr Tomkiewicz poświęciła 22 lata życia zawodowego. Wykonała gigantyczną kwerendę w archiwach polskich, niemieckich, litewskich, łotewskich, rosyjskich, izraelskich, austriackich i amerykańskich. „Tematem eksterminacji obywateli polskich zamieszkujących Ziemię Wileńską zainteresowałam się w 2001 r., kiedy to po raz pierwszy, jako młody historyk, pojechałam do Wilna z prowadzącą śledztwo z ramienia gdańskiej Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu prokurator Elżbietą Rojowską. Wraz z dr hab. Jarosławem Wołkonowskim pracowaliśmy wówczas intensywnie przez trzy tygodnie, kom-

pletując przyszłą dokumentację procesową sporządzoną w językach polskim, niemieckim, litewskim i rosyjskim. Później jeszcze wielokrotnie pracowałyśmy w litewskich i niemieckich archiwach nad tematem zbrodni w Ponarach. Przed nami z perspektywy polskiej archiwalia te przeglądała jedynie prezes Stowarzyszenia Rodzina Ponarska Helena Pasierbska” – opowiada. Po napisaniu pierwszej monografii *Zbrodnia w Ponarach 1941–1944*, kompletowała dalszą dokumentację. W 2020 r. uznała, że dysponuje nowymi wątkami badawczymi i postanowiła podzielić się nimi z czytelnikami. „Wyniki moich badań są również uznawane przez historyków litewskich. W opublikowanej na Litwie książce *The Traces of Crimes do Not Disappeart Mass Killings in the Paneriai Forest 1941–1944* jest wiele cytowań z moich publikacji. Wymieniamy się też dokumentacją i doświadczeniami z naukowcami z Muzeum Żydowskiego im. Gaona w Wilnie, z Litewskim Instytutem Historii w Wilnie czy Centrum Badania Ludobójstwa i Ruchu Oporu Mieszkańców Litwy. W promocji przygotowywanych przeze mnie w różnych językach publikacji bardzo wspiera mnie Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej” – podkreśla.

PAMIĘĆ PRZETRWAŁA

W polskiej kwaterze w Ponarach na granitowej tablicy można przeczytać: „1941-1944. Pamięci wielu tysięcy Polaków zamordowanych w Ponarach. W hołdzie Rodacy Ziemi Wileńskiej. Wieczny odpoczynek racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci”. Od 2000 r. jest tu też pomnik w kształcie ołtarza otoczonego rotundą poświęcony żołnierzom Armii Krajowej, Polskiego Państwa Podziemnego, polskiej inteligencji i młodzieży, którzy oddali życie za wolność ojczyzny. Są też tablice z nazwiskami 329 osób zamordowanych w tym miejscu. W Ponarach od kilku lat prowadzone są badania geofizyczne, podczas których uaktualniono mapę z lokalizacją: miejsca mordu, rampy kolejowe, pozostałości stosów całopalnych, posterunki strażników oraz miejsca, gdzie stały budynki.

Zbrodnia w Ponarach powoli przebija się do świadomości Polaków. „Po 1990 r. wiedza o losach polskich patriotów na Wileńszczyźnie była w naszym kraju niewielka. Ponary to nazwa, która brzmiała złowroźnie tylko dla dawnych i obecnych mieszkańców tego regionu” – przyznaje Adam Hlebowicz, dyrektor Biura Edukacji Narodowej IPN. Propagowanie wiedzy na temat strasznych wydarzeń w podwileń-

skich lasach obrała za swój cel śp. Helena Pasierbska, która w czasie okupacji wraz z grupą młodzieży i swoimi nauczycielami została przez kilka miesięcy uwięziona na Łukiszkach. Była harcerką i żołnierzem AK. Obiecała sobie, że jeśli przeżyje, to zrobi wszystko, żeby opowiedzieć światu o tym, co się działo w areszcie gestapo przy ul. Ofiarnej w Wilnie, w więzieniu, gdzie przebywała, i w okrytych najgorszą sławą Ponarach. Po wojnie osiadła w Gdańsku, pracowała jako nauczycielka. Po przejściu na emeryturę przez dwadzieścia lat propagowała wiedzę o zbrodni. W 1994 r. założyła Stowarzyszenie Rodzina Ponarska, którego celem jest „upowszechnianie i utrwalenie pamięci o Polakach, którzy w walce o wolność ojczyzny ponieśli męczeńską śmierć w Ponarach”. Wydała kilka książek, m.in. *Ponary – wileńska Głgota* (1993), *Wileńskie Łukiszki na tle wydarzeń lat wojny 1939–1944* (2002 i 2015), *Ponary i inne miejsca męczeństwa Polaków z Wileńszczyzny w latach 1941–1944* (2005 i 2015). Publikowała artykuły, udzielała wywiadów. Zgromadziła wokół siebie ludzi, którzy albo stracili swoich bliskich w tym miejscu, albo przerażeni ogromem zbrodni postanowili głośno o niej mówić. Obecną prezes Rodziny Ponarskiej jest dr Maria Wieloch, która przechowuje niewielkie bibułki papierowe wypełnione drobnym pismem swojego taty. Stanisław Wieloch „Ryszard”, żołnierz AK, działał w wywiadzie organizacji dywersyjnej „Wachlarz”. Pracę podziemną, wymagającą kontaktów z różnymi nieznаныmi osobami, mistyfikował, handlując artykułami spożywczymi. Mieszkał z żoną i starszą córką w Wilnie. W sierpniu 1942 r. gestapo zabrało go prosto z łóżka, trafił do aresztu na Ofiarną, a potem do więzienia na Łukiszkach. Stamtąd wysyłał grypsy do ciężarnej żony – każda wiadomość to kilkanaście zdań skreślonych w pośpiechu na bibułce od papierosa. „Mama przemyślała listy zapieczone w plackach oraz w woreczkach z ubraniami, które trafiały do aresztu. Tata później wkręcał grypsy w środek sznurka, którym ściągnięty był woreczek. Wierzył, że wyjdzie z więzienia, że będzie mógł prowadzić normalne, szczęśliwe życie” – opowiada córka. „Nasza miłość wcieliła się w Dwidzi i Duszka, jest tym bardziej mocna” – pisał Stanisław w jednym z siedemnastu listów. „Dwidzi to moja dwuletnia wówczas siostra Krystyna. Duszek to ja. Byłam wtedy w brzuchu u mamy” – wyjaśnia Maria Wieloch. 18 lutego 1943 r. nie przyjęto kolejnej paczki. Stanisław z katowni gestapo trafił do Ponar, gdzie razem z dwudziestoma innymi więźniami politycznymi został rozstrzelany. Maria urodziła się półtora miesiąca po śmierci ojca. „Ponary to miejsce ludobójstwa, które przez lata nie funkcjonowało

w świadomości Polaków. Z powodu poprawności politycznej było i wciąż jest spychane do niepamięci w przeciwieństwie do miejsc równie wielkich tragedii, jak Katyni czy Treblinka” – uważa pani prezes. Stowarzyszenie gromadzi dane ofiar, honoruje pomordowanych poprzez pamiątkowe obeliski i tablice, prowadzi stronę internetową, wydaje kolejne publikacje, organizuje konferencje. „Przez wiele lat »historia« zaciera ślady zbrodni wykonywanych na Polakach. Po wojnie rodziny ofiar z różnych względów o zbrodni tej nie mówiły, obowiązywała poprawność polityczna wobec ZSRS, wobec Litwinów, wobec Żydów. Więcej się o niej mówiło w Polsce niż na Litwie (dawna republika ZSRS). Tam dotychczas mimo naszej stałej obecności i kontaktów z Polakami docieramy do niewielkiej grupy, która chce o tym mówić. Trzyma ich nadal poprawność polityczna – wiedzą, ale nie mówią, milczą i... upamiętniają... Wszyscy pierwsi członkowie naszego stowarzyszenia mówili różnie o 30 tys., 25 tys., 20 tys. ofiar, ale nigdy wielkość pomordowanych nie spadła do skali kilku tysięcy” – tłumaczy dr Maria Wieloch. Podkreśla, że po wojnie zacierano ślady zbrodni. Droga z Wilna do Ponar została zaorana i obsadzona drzewami. Teren mordów, tzw. bazy, został zagospodarowany przez kolej, drogi i zakłady przemysłowe. „Podobnie życiorysy naszych bohaterów Kazimierza i Marii Sakowiczów zostały zakłamane, pominięta jest zwłaszcza ona, jej życie jest dla nas zagadką” – tłumaczą członkowie stowarzyszenia. Proszą o pomoc, udało się im ustalić, że Maria Sakowicz urodziła się 1 listopada 1903 r., a zmarła w Warszawie 18 stycznia 1970 r. (akt zgonu Warszawa Wola III 131/70), z domu Piasecka, ojciec Witold, matka Aleksandra. Wiedzą, że do pracy dojeżdżała do Warszawy do jakiejś redakcji. Mieszkała w malutkim domku w Mińsku Mazowieckim, na ul. Polowej 3. Państwo Sakowiczowie nie mieli dzieci. „Dotarliśmy do dalekiej rodziny Pani Marii, która po wojnie po prostu się ukrywała, nikomu nie mówiła o swojej historii. Kilka zdjęć świadczy o szerokich horyzontach i wielkiej wiedzy państwa Sakowiczów. W Wilnie w 1935 r. prowadzili »Przegląd Ziemi Północno-Wschodnich«, »Przegląd Handlowo-Gospodarczy«, »Przegląd Drzewny«” – opowiada Anna Bach, skarbnik Rodziny Ponarskiej. Po śmierci męża Maria została sama, siostra pochowała ją na warszawskich Powązkach.

Zarówno ona, jak i wielu Polaków z Wileńszczyzny przez lata milczało o tym, czego byli świadkami. „Politycy litewscy nawet w oficjalnych przemówieniach nie mówią często o udziale swoich rodaków w zbrodni ponarskiej – twierdzi

dr Maria Wieloch. – Nie chodzi o szukanie zemsty ani o eskalowanie konfliktu z naszym sąsiadem. Chciałabym jedynie usłyszeć od władz litewskich słowa: »przepraszamy za Ponary« – podkreśla. Często obecność ich stowarzyszenia na ziemi wileńskiej jest znakiem, że Polacy domagają się prawdy o tym miejscu – że to nie tylko miejsce Holokaustu Żydów, ale też Polaków, likwidowanych za walkę o wolną Ojczyznę. Muzeum Okupacji i Walk o Wolność w Wilnie wciąż niewiele wspomina o Polakach, są jedynie trzy małe biogramy. Ale kropla drąży skałę i pamięć powoli ożywa. Pomniki ponarskie są na cmentarzach w Szczecinie (Centralny) i w Warszawie (Powązki). W maju mieszkańcy Gdańska czczą pamięć ofiar. W centrum cmentarza Łostowickiego, 100 m od pomnika Golgoty Wschodu, stoi pomnik Ponarski. Odsłonięto go 10 maja 2018 r. W jego cokół wmurowano akt erekcyjny i urnę z ziemią z Ponar. Do niedawna obowiązywała tzw. poprawność polityczna. Dla dobra stosunków z państwem litewskim o Ponarach się nie mówiło ani w rocznicę

Sprawa Ponar została zaakcentowana w procesie w Norymberdze. W późniejszym okresie sowieckie służby sądownicze osądziły kilkudziesięciu sprawców z Ypatingasis Būrys. Zapadło wiele wyroków śmierci i kar długoletniej pracy katorżniczej w obozach na Syberii. Sądownictwo niemieckie było stosunkowo najłagodniejsze wobec sprawców kierowniczych zbrodni w Ponarach. Dowódca wileńskiego oddziału specjalnego Martin Weiss został skazany przez Sąd w Würzburgu na dożywocie, jednak w drodze łaski opuścił więzienie już w 1977 r. Ponarami zajmowała się też Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, jednak poza zebraniem szczątkowych informacji nie udało się jej osiągnąć większego przełomu w śledztwie. W latach siedemdziesiątych zdołano jedynie wykryć i skazać pięciu członków oddziału strzelców ponarskich, mieszkających do tego czasu bezpiecznie w Polsce. Także prowadzone po roku 2000 śledztwo Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Gdańsku zostało umorzone ze względu na brak możliwości wykrycia sprawców. Jednak wielkim walorem tego postępowania jest skompletowanie ogromnej ilości dokumentacji archiwalnej i przesłuchań świadków, które ukazują mechanizm tej zbrodni.



■ UROCZYSTA GALA WRĘCZANIA NAGRÓD INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ „SEMPER FIDELIS”,
WARSZAWA, 5 GRUDNIA 2022 R. FOT. IPN

wybuchu II wojny światowej, ani jej zakończenia. Teraz to się zmienia. „Duża w tym zasługa Rodziny Ponarskiej. Działają od lat w sposób usystematyzowany, skuteczny i nowoczesny. Nie tylko jeżdżą na Litwę, ale też trafiają tam ze swoim przekazem do młodzieży. Zapraszają szkoły polskie i litewskie. Jest szansa, że między innymi dzięki nim kolejne pokolenia przejmą to dziedzictwo” – uzasadnia Adam Hlebowicz decyzję o przyznaniu w tym roku Rodzinie Ponarskiej nagrody Semper Fidelis. To honorowe wyróżnienie IPN otrzymują osoby, instytucje i organizacje społeczne za szczególnie aktywny udział w upamiętnianiu dziedzictwa polskich Kresów Wschodnich na terenie Rzeczypospolitej Polskiej oraz poza jej granicami. A członkowie Rodziny Ponarskiej w ostatnim roku zrobili naprawdę dużo. By uświadomić młodzieży z Wileńszczyzny okrucieństwo dawnych zbrodni – dali im do rąk zdjęcia rówieśników, którzy zginęli osiemdziesiąt lat temu. Jak co roku rozdali wolontariuszom i sympatykom przeszło 2 tys. broszur, książek i pamią-

tek patriotycznych. W ramach Uroczystości Ponarskich zorganizowali konkurs rozreklamowany poprzez plakaty, pendrive'y i mailowo w polskich szkołach. Nawiązali też współpracę z parafią w Wojdatach (parafia obejmująca teren Ponar), gdzie ks. Daniel Dzikiewicz prowadzi Kółko Historyczne dla dzieci i młodzieży polsko-litewskiej. Przekazali parafii książki i gry planszowe. Są niestrudzeni. „Przez wiele lat mówimy o konieczności przeprowadzenie kwerendy w archiwach niemieckich, litewskich, łotewskich, białoruskich, rosyjskich i polskich, a następnie kompleksowe opracowanie całego materiału. Bez realizacji takiego projektu będziemy nadal w wielu kwestiach opierać się na przypuszczeniach i domysłach, a co gorsze, nie poznamy nazwisk naszych bohaterów, którzy tam zginęli. Uważamy, że śledztwo, wynikiem którego jest praca Pani Moniki Tomkiewicz pt. *Zbrodnia w Ponarach 1941–1944* oraz drugiego wydania *Zbrodni ponarskiej 1941–1944*, powinno być początkiem zmierzenia się z tematem imiennej listy polskich ofiar Ponar” – podkreślają.

„Wileńskie Ponary – to coś nieporównywalnie gorszego od Oświęcimia i każdego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, bo z Ponar nikt nie wychodził. Były one miejscem śmierci każdego tu skierowanego. O Oświęcimiu wiedzą chyba wszyscy Polacy. Miejsce to znane jest także w całej Europie i w wielu krajach świata, ale nasza wiedza o Ponarach jest więcej niż uboga” – powiedział Henryk Sobolewski, żołnierz AK Okręgu Wileńskiego, wiceprezes ZG Stowarzyszenia Łagierników-Żołnierzy AK i Oddziału Gdańskiego Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej.



Kinga Hałacińska (ur. 1967) – dziennikarz, redaktor „Biuletynu IPN”; do 1997 roku asystent w Instytucie Studiów Politycznych PAN. Współpracowała z „Business Weekiem”, „Tygodnikiem Powszechnym”, „Rzeczpospolitą”, „Kombatantem” i „Dobrym Tygodniem”. Członek Warszawskiej Rodziny Katyńskiej oraz Stowarzyszenia Pokoleń Legionowych i Katyńskich.



EKSHUMACJE ZWŁOK POMORDOWANYCH W PIAŚNICY, 1946. FOT. AIPN

TOMASZ CERAN

ZBRODNIĄ POMORSKA 1939

„Pomorzę znalazło się wśród ziem polskich najwcześniej zajętych przez armię niemiecką. W okresie od września do grudnia 1939 r. skąpane zostało we krwi tak obficie, że nie można go właściwie porównywać w tym względzie z innymi obszarami okupowanymi”¹ – Czesław Madajczyk.

„ARTYKUŁ PIERWSZEJ POTRZEBY”

W 1772 r. w wyniku I rozbioru Polski obszar Pomorza Gdańskiego (Prusy Królewskie) z tzw. pasem nadnoteckim oraz Warmią zostały przyłączone do Królestwa Pruskiego. Prusy szczególne znaczenie przypisywały aneksji polskiego Pomorza, co pozwoliło połączyć terytorialnie Księstwo Pruskie ze stolicą w Królewcu

¹ Cz. Madajczyk, *Polityka narodowościowa władz hitlerowskich na Pomorzu*, „Najnowsze Dzieje Polski” 1965, t. IX, s. 5.

z marchią brandenburską ze stolicą w Berlinie. Zachowanie tej całości stanie się dla państwa pruskiego, a później niemieckiego – priorytetem. Pruski generał August Neidhardt von Gneisenau uznał przyłączenie do Prus polskiego Pomorza za „artykuł pierwszej potrzeby”². Od końca XVIII w. Prusy, a później Niemcy, uznały przynależność terytorialną Pomorza Gdańskiego – nazwanego Prusami Zachodnimi (Westpreussen) – do państwa niemieckiego za warunek konieczny do jego rozwoju, a nawet przetrwania. Od rozbiorów Rzeczypospolitej pod koniec XVIII w. do odrodzenia się państwa polskiego w 1918 r. trwała pruska (niemiecka) wojna kulturowa przeciwko Polsce. Poczucie wyższości cywilizacyjnej Niemców wobec Polaków było częścią stereotypu „cywilizowanego Zachodu” i „barbarzyńskiego Wschodu”. Szerzenie niemieckiej misji kulturowej na Wschodzie miało usprawiedliwiać jego podbój. Celem polityki niemieckiej w zaborze pruskim było cywilizowanie Polaków poprzez ich wynarodowienie. Theodor von Schön, pruski zwierzchnik administracji w Prusach Zachodnich i Wschodnich, zamierzał z polskich mieszkańców Pomorza, czyli „z byłych niewolników i Słowian”, uczynić – „Niemców i ludzi”³.

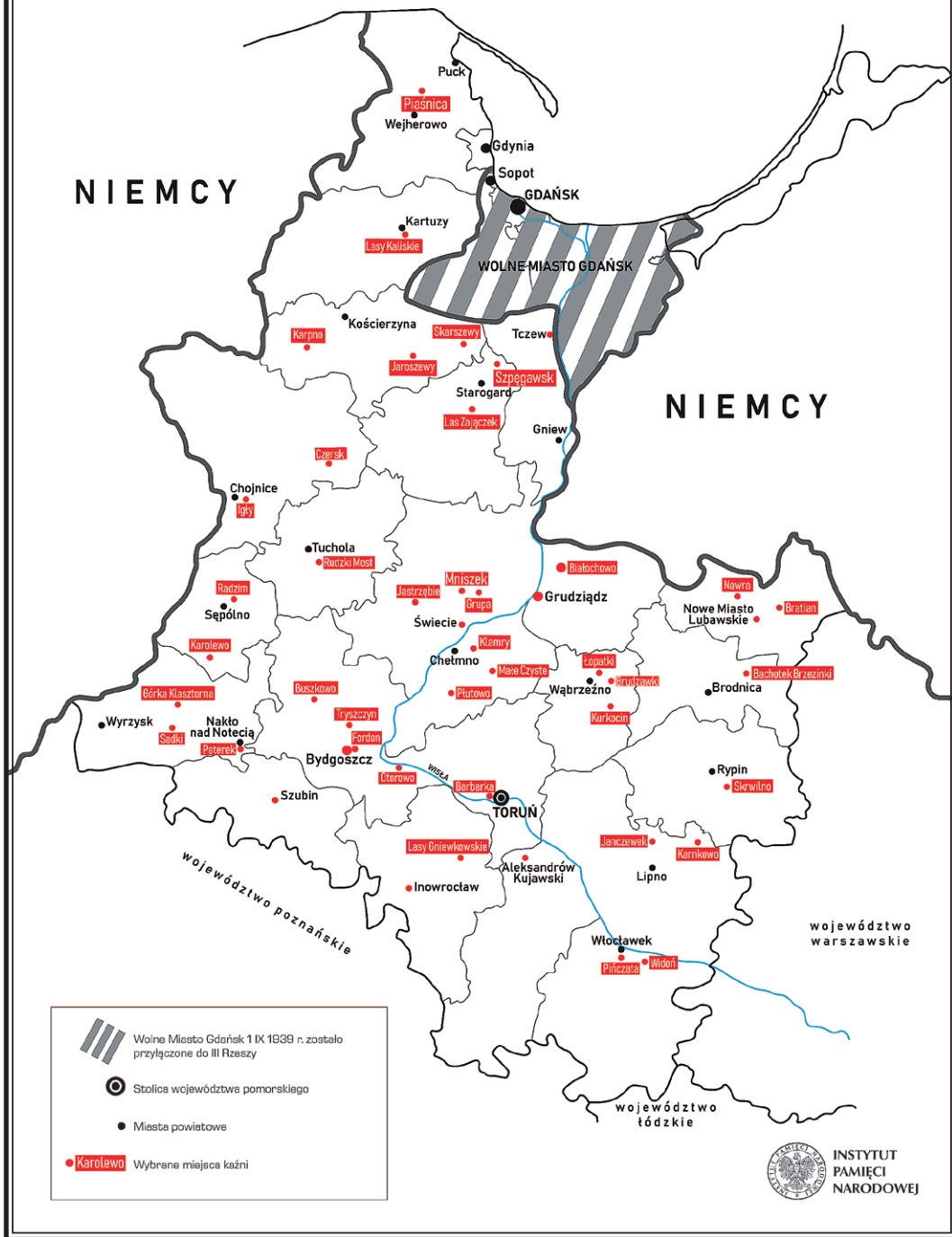
WOJEWÓDZTWO POMORSKIE VS „KORYTARZ POMORSKI”

Niemiecka polityka wynarodowienia Polaków w zaborze pruskim poniosła porażkę i przyczyniła się do rozwoju polskiej tożsamości narodowej. Po I wojnie światowej odrodziło się państwo polskie, którego częścią stało się polskie Pomorze. W wyniku postanowień traktatu wersalskiego 1 sierpnia 1919 r. utworzono województwo pomorskie, które było drugim najmniejszym województwem II RP. Jednak jego znaczenie dla Polski miało charakter geopolityczny i symboliczny. Polacy nie wyobrażali sobie niepodległej Polski bez tego terytorium. Kiedy Józef Haller dokonał 10 lutego 1920 r. w Pucku symbolicznych zaślubin Polski z morzem, marszałek sejmu Wojciech Trąmpczyński powiedział: „Na tym pomorskim skrawku ziemi, na tej wąskiej tamie [...] stoi przyszłość nasza. Bez owych płuc, otwierających się na wolne morze, państwo nasze mogłoby egzystować, lecz żyć by nie mogło, bo pozostawałoby zawsze w zależności od sąsiadów”. Niemcy utracili

² S. Salmonowicz, *Prusy. Dzieje państwa i społeczeństwa*, Warszawa 2004, s. 212.

³ Zob. G. Kucharczyk, *Długi kulturkampf. Pruskie i niemieckie wojny kulturowe przeciw Polsce w latach 1795–1918*, Warszawa 2020.

NIEMCY



swój „artykuł pierwszej potrzeby”, teren, który najdłużej ze wszystkich ziem byłej Rzeczypospolitej znajdował się pod ich rządami. Państwo niemieckie i niemieccy mieszkańcy Pomorza nigdy się z tym nie pogodzili. Województwo pomorskie nazywali „korytarzem pomorskim”. Termin ten miał podkreślać tymczasowy charakter przyłączenia Pomorza do Polski, podobnie jak całej II Rzeczypospolitej nazywanej „państwem sezonowym”. Józef Beck, w przemówieniu w Sejmie II RP, 5 maja 1939 r. powiedział: „Nalegam na to słowo »województwo pomorskie«. Słowo »korytarz« jest sztucznym wymysłem, chodzi tu bowiem o odwieczną polską ziemię, mającą znikomą procent osadników niemieckich”. Adolf Hitler z kolei w przemówieniu w Reichstagu 1 września 1939 r. podkreślał: „Korytarz był i jest niemiecki. Wszystkie te tereny zawdzięczają swój rozwój kulturalny wyłącznie niemieckiemu narodowi, bez którego obecności panowałoby na tych wschodnich terenach krańcowe barbarzyństwo”.

GERMANIZACJA POPRZEZ EKSTERMINACJĘ

Nazistowskie Niemcy nie chciały powielać pruskich metod germanizacji Polaków, które okazały się nieskuteczne. Decyzję o wojnie z Polską Hitler podjął już w lutym 1939 r. Pod koniec marca 1939 r. został opracowany plan ataku na Polskę (*Fall Weiss*), zakładający m.in. uzyskanie połączenia lądowego z Prusami Wschodnimi przez polskie Pomorze. Od maja przygotowywano listy z nazwiskami Polaków, którzy mieli być zatrzymani po wkroczeniu armii niemieckiej do Polski. W końcu sierpnia 1939 r. sformowano grupy operacyjne Służby i Policji Bezpieczeństwa (*Einsatzgruppen*), które liczyły ok. 3 tys. członków. Ich zadaniem była eksterminacja polskich elit. Na Pomorze skierowano *Einsatzgruppen* IV i V, jednostkę szturmowo-wartowniczą SS-Wachsturmbann „Eimann”, a także utworzone 12 września 1939 r. *Einsatzkommando* 16.

„POLSKIE BESTIE”

Szczególną rolę w aparacie terroru na Pomorzu Gdańskim odegrali miejscowi Niemcy działający pod nadzorem SS. Na początku września zaczęły tam powstawać lokalne oddziały niemieckiej straży obywatelskiej złożone z folksdojczów. Tylko formalnie miały charakter obronny, a de facto służyły do załatwiania osobistych porachunków z polskimi sąsiadami. 3 września w Bydgoszcy doszło



do dywersji niemieckiej. Miejscowi Niemcy zaczęli strzelać do wycofujących się żołnierzy Wojska Polskiego. Dzięki pomocy mieszkańców miasta udało się opanować sytuację. Aresztowania i rozstrzeliwania rzeczywistych oraz rzekomych dywersantów trwały do następnego dnia. Ustalono liczbę 365 ofiar wydarzeń z 3 i 4 września (katolików i ewangelików). Dywersja najprawdopodobniej nie była centralnie inspirowana. Doszło do samosądów, których ofiarami byli też niewinni Niemcy. Propaganda nazistowska wydarzenia bydgoskie nazwała „bydgoską krwawą niedzielą” – barbarzyństwem dokonany przez Polaków na miejscowych Niemcach. „Bydgoska krwawa niedziela” i „marsz do Łowicza” (ewakuacja Niemców działających na szkodę państwa polskiego z terenów przygranicznych w głąb Polski) zostały odpowiednio wykorzystane do uzasadnienia wcześniej zaplanowanej eksterminacji ludności polskiej na całym Pomorzu Gdańskim.

SELBSTSCHUTZ WESTPREUSSEN

Na początku września Adolf Hitler z Heinrichem Himmlerem podjęli decyzję o powołaniu w okupowanej Polsce organizacji Volksdeutscher Selbstschutz (Samoobrona Etnicznych Niemców), składającej się z obywateli niemieckich pochodzenia polskiego. Oficjalnym celem organizacji była obrona przed „polskim terrorem”, rzeczywistym – eksterminacja polskiej ludności cywilnej. Do Selbstschutzu wstąpiło ponad 120 tys. etnicznych Niemców, w tym ponad 38 tys. na Pomorzu i Kujawach (niemal wszyscy mężczyźni w wieku od 17 do 45 lat). W żadnym innym regionie okupowanej Polski członkowie Selbstschutzu nie odegrali tak wielkiej roli w eksterminacji swoich polskich sąsiadów. Jego dowódca Ludolf von Alvensleben zabijanie polskiej ludności cywilnej traktował jako kontynuację realizacji niemieckiej misji cywilizacyjnej na Wschodzie i walkę „nordyckiego nadczłowieka” ze „słowiańskimi podludźmi”. Do swoich podwładnych



■ KADRA KIEROWNICZA SELBSTSCHUTZU WESTPREUSSEN, 1939 R. FOT. AIPN

zwracał się następującymi słowami: „Honorem będzie dla każdego Polaka, by jego ścierwem nawieźć niemiecką ziemię”⁴.

DOŁY ŚMIERCI

Niemiecka technika zabijania ludności cywilnej polegała na uwięzieniu Polaków w aresztach i punktach zbiorczych. We wszystkich tych miejscach następowała selekcja zatrzymanych, bito ich i torturowano. Zbierała się tam komisja przez Niemców nazywana „sądem ludowym”, przez Polaków zaś *Mordkommission*, która decydowała o losie zatrzymanych. Następnie wybierano miejsca na egzekucję (lasy, żwirownie, doliny, rowy przeciwartyleryjskie, okopy strzeleckie, cmentarze i strzelnice). Potem zatrzymani byli transportowani na miejsca kaźni i rozstrzeliwani przez plutony egzekucyjne. Na końcu sprawcy maskowali miejsca zbrodni. Większość ofiar zbrodni pomorskiej 1939 r. zginęła od kul wystrzelonych z karabinów i karabinów maszynowych. Osoby ranne dobijano strzałami z pistoletu. Jednak nawet

⁴ Zob. *W cieniu Einsatzgruppen. Volksdeutscher Selbstschutz w okupowanej Polsce 1939–1940*, red. I. Mazanowska, T. Ceran, M. Przeglądka, Warszawa 2021.



■ ANTONI OLEJNIK I MEDARD MĘCZYKOWSKI, NAUCZYCIELE GIMNAZJUM IM. KOPERNIKA W BYD-GOSZCZY, PRZED ROZSTRZELANIEM W DOLINIE ŚMIERCI W FORDONIE, 31 PAŹDZIERNIKA 1939 R. FOT. AIPN

co trzecia ofiara została zakatowana tępym narzędziem, łopatą lub kolbą karabinu. Część ofiar została ranna i udusiła się, przysypana innymi zwłokami i ziemią. W protokole ekshumacyjnym z „Doliny śmierci” w Fordonie z 28 kwietnia 1947 r. napisano: „Zwłoki nr 501: przy tych zwłokach znaleziono także drobne szczątki ludzkie przemawiające za tym, iż owa kobieta musiała być w ciąży”. [...] Zwłoki nr 502: „Czaszka dziecięcia całkowicie rozbita. Włot z prawej strony kości ciemieniowej. Przy zwłokach znaleziono obuwie dziecięce dla dziecka w wieku 3–5 lat”.

POLSKIE WARSTWY PRZYWÓDCZE

Eksterminacja polskiej warstwy przywódczej była dla niemieckiego okupanta warunkiem niezbędnym dla trwałej germanizacji Pomorza i Kujaw. W Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie na 634 posługujących przed wojną duchownych zginęło 323 (51 proc.) – najwięcej ze wszystkich ziem wcielonych do Rzeszy. Wśród nich aż 214 kapłanów diecezji chełmińskiej zostało rozstrzelanych jesienią 1939 r. Na 6244 pedagogów z województwa pomorskiego zginęło 1079, aż 877 to ofiary zbrodni pomorskiej 1939 r. Zabito także co najmniej 85 polskich policjantów i 76 leśników. Rozstrzeliwano również polskich urzędników państwowych, parlamentarzystów, prezydentów i burmistrzów miast, starostów, wójtów, sołtysów, sędziów, adwokatów, notariuszy, lekarzy, inżynierów i kupców. Zbrodnicza działalność pomorskiego Selbstschutzu doprowadziła do śmierci wielu robotników i rolników⁵.

„ŻYCIE NIEWARTE ŻYCIA”

W nazistowskich Niemczech eksterminację osób chorych psychicznie uzasadniano głównie względami ekonomicznymi. W Piaśnicy zamordowano co najmniej 1200 chorych przywiezionych m.in. z Rzeszy. W Szpęgawsku rozstrzelano co najmniej 1689 pacjentów szpitala psychiatrycznego w Kocborowie. Na terenie powiatu świeckiego zamordowano ok. 700 pacjentów ze szpitala psychiatrycznego w Świeciu. Razem z nimi zginął dyrektor szpitala dr Józef Bednarz, który nie opuścił swoich pacjentów. W Chojnicach rozstrzelano 218 pacjentów. Zwłoki 102 osób chorych psychicznie ekshumowano także nad jeziorem Borówno w powiecie bydgoskim. Kurt Eimann po wojnie w następujący sposób opisał zabijanie chorych psychicznie: „Dwójka SS-manów zabierała jednego chorego na skraj grobu, zaś trzeci SS-man strzelał do niego z pistoletu w potylicę, tak żeby zwłoki wpadły do rowu. Taka sytuacja powtarzała się z każdym chorym. Komanda złożone z trzech SS-manów ciągle się zmieniały [...]. Chorzy słyszeli naturalnie odgłosy strzałów, ale nie wiedzieli do końca, co się dzieje”.

⁵ Zob. *Rozstrzelana niepodległość. Ofiary zbrodni pomorskiej 1939. Materiały XXIX sesji naukowej w Toruniu z 22 listopada 2019 roku*, Toruń 2020.

POCZĄTEK HOLOKAUSTU

Celem okupacji niemieckiej na Pomorzu i Kujawach było nie tylko „odpolszczenie” tego terenu, ale także usunięcie z niego wszystkich obywateli polskich narodowości żydowskiej. W północnych powiatach, gdzie Żydów było niewielu, wszyscy zostali rozstrzelani, także kobiety i małe dzieci. Zamordowano od 600 do 2 tys. pomorskich Żydów. W południowych częściach województwa pomorskiego, gdzie Żydów było więcej, zostali oni wysiedleni do Generalnego Gubernatorstwa. Już pod koniec 1939 r. Pomorze zostało ogłoszone przez Niemców jako teren wolny od Żydów. W protokole ekshumacji i oględzin 83 zwłok na cmentarzu żydowskim w Świeciu nad Wisłą, z 8 listopada 1945 r. napisano m.in.: „Dwoje dzieci, matki trzymały w swych objęciach przytulone do piersi i przygniecione swym ciężarem. [...] U dzieci, które matki trzymały w swych objęciach a będących w wieku od 3 do 4 lat nie stwierdzono żadnych uszkodzeń na ciele wskutek czego zachodzi podejrzenie, że dzieci te zostały uduszone pod ciężarem zwłok swych matek”.

„INNI NIEMCY”

Nie wszyscy miejscowi Niemcy wzięli udział w eksterminacji polskich sąsiadów. Niektórzy z nich starali się Polakom pomóc. Ostrzegali ich przed zatrzymaniem, próbowali doprowadzić do ich zwolnienia z obozów, wykreślali nazwiska Polaków z listy osób przeznaczonych do eksterminacji, umożliwiali ucieczkę w czasie transportu, doprowadzali do przerwania egzekucji, odmawiali rozstrzelania, ukrywali zbiegłych Polaków, protestowali i informowali rodziny o losie osób zatrzymanych/rozstrzelanych czy wreszcie wzywali do ukarania sprawców zbrodni i apelowali o godny pochówek ofiar. Czasami więzi lokalne i zwykła ludzka przyzwoitość okazywały się silniejsze niż propaganda i demoralizacja wojenna. Choć były to przypadki nieliczne, należy o nich pamiętać.

AKCJA 1005

Gdy niemiecka ofensywa została zatrzymana pod Moskwą, Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy wydał rozkaz o przeprowadzeniu akcji 1005 nazywanej „akcją ekshumacyjną”. Polegała ona na zacieraniu śladów niemieckich zbrodni w Europie Środkowo-Wschodniej poprzez wydobywanie i niszczenie zwłok zamordowanych. Na Pomorzu Gdańskim akcję ekshumacyjną realizowano latem i jesienią 1944 r.

Wydobyto i spalono wtedy zwłoki z co najmniej trzydziestu masowych miejsc kaźni z 1939 r., w tym z trzech największych: Piaśnicy, Szpęgawska i Mniszka.

WYMIAR (NIE)SPRAWIEDLIWOŚCI

Część sprawców zbrodni pomorskiej 1939 r., którzy po wojnie przebywali na terenie Polski, zostało sprawiedliwie osądzonych. Albert Forster został skazany na karę śmierci. Ponadto skazano co najmniej 83 członków Selbstschutzu Westpreussen. W Niemieckiej Republice Demokratycznej przed sądami stanęło ok. 20 sprawców. Inaczej było w przypadku postępowań w Republice Federalnej Niemiec. Wykryto tam 1701 sprawców. Wszczęto 258 postępowań, z czego 233 umorzono. Skazano tylko 10 osób. Większość sprawców twierdziło, że wykonywało tylko rozkazy, niektórzy tłumaczyli, że co prawda oddawali strzały, ale celowo nie trafiali do ofiar. Kurta Eimanna za zabójstwo 1200 osób chorych psychicznie skazano zaledwie na cztery lata więzienia. Odbył tylko połowę kary. Zdecydowana większość sprawców uniknęła odpowiedzialności karnej. Ludolf von Alvensleben zmarł w 1970 r. w Argentynie.

■ EKSHUMACJA ZWŁOK POMORDOWANYCH Z CHOJNIC, 1945 R. FOT. AIPN



BILANS ZBRODNI

Zbrodnia pomorska 1939 r. to eksterminacja przez Niemców na terenie przedwojennego województwa pomorskiego w ponad czterystu miejscowościach: polskiej ludności cywilnej (głównie inteligencji, ale także rolników i robotników), osób chorych psychicznie, a także – w pierwszych miesiącach okupacji – pomorskich Żydów. Zbrodnia pomorska 1939 r. stanowi przykład zbrodni sąsiedzkiej – jej głównymi sprawcami byli miejscowi Niemcy, członkowie Selbstschutzu Westpreussen. W wyniku zniszczenia dokumentacji i spalenia przez sprawców zwłok niemożliwe jest określenie całkowitej liczby ofiar. Na podstawie dokumentacji ekshumacyjnej i imiennych list ustalono ok. 16 tys. ofiar. Nie jest to liczba pełna, lecz jedynie „najmniejsza z możliwych”. W żadnym innym regionie okupowanej Polski w 1939 r. terror niemiecki nie był aż tak wielki.

SCALONA PAMIĘĆ

W październiku 2018 r. w centrum Torunia, stolicy przedwojennego województwa pomorskiego, otwarto Park Pamięci Ofiar Zbrodni Pomorskiej 1939. Odsłonięto w nim pomnik symbolizujący opuszczony dom zatopiony w ołowiu, do którego już nikt nie wróci. Na pomniku wyryto blisko czterysta nazw miejscowości – miejsc egzekucji. Od czasu odsłonięcia pomnika, 2 października – rocznica urodzin dr. Józefa Bednarza – obchodzony jest jako dzień pamięci ofiar zbrodni pomorskiej. W 2023 r. Sejm RP ustanowił 2 października Narodowym Dniem Pamięci Ofiar Niemieckiej Zbrodni Pomorskiej 1939 r.

W październiku 2023 r. Delegatura IPN w Bydgoszczy zaprezentuje wystawę: „Zbrodnia pomorska 1939. Początek ludobójstwa niemieckiego w okupowanej Polsce”.



Tomasz Ceran (ur. 1983) – historyk, dr, kierownik Referatu Badań Historycznych Delegatury IPN w Bydgoszczy. Autor książek: *Thatcheryzm jako doktryna społeczno-polityczna* (2008); *Świat idei Jacka Kuronia* (Warszawa 2010); „Szmalcówka”. *Historia niemieckiego obozu w Toruniu na tle ideologii nazistowskiej* (2011); *Paterek 1939. Zbrodnia i pamięć* (2018); *Zbrodnia pomorska 1939. Esej nauczycieli* (2019); (z M. Sprengerem) *Zbrodnia pomorska 1939. Materiały edukacyjne dla uczniów szkół ponadpodstawowych* (2019); *Zbrodnia pomorska 1939. Początek ludobójstwa niemieckiego w okupowanej Polsce* (w przygotowaniu) i in.



DOM PRADZIADKÓW PRZY UL. CZERNIAKOWSKIEJ 71 RÓG UL. CHEŁMSKIEJ. WRZESIEŃ 1939 R.,
WIDOCZNE USZKODZENIA ELEWACJI POCISKAMI ORAZ NIEMIECCY ŻOŁNIERZE. FOT. FOTOPOLSKA.EU

TOMASZ SIKORSKI

DOM UTRACONY

Moja babcia ze strony mamy dobrze wyszła za mąż. Dziadek był obrotnym, pracowitym handlowcem. Dorobił się kilku nieruchomości mieszkalnych i użytkowych, w kilku salonach prowadził sprzedaż luksusowych mebli oraz „towarów kolonialnych” – delikatesów i win. Podczas Powstania Warszawskiego dziadkowie stracili wszystkie nieruchomości i ruchomości. Z dużego na tamte czasy majątku ocalało zaledwie kilka przedmiotów cudem uratowanych przez babcię.

M

oi pradiadkowie Helena z d. Kugler i Feliks Gadziński, rodzice babci Ireny, według przekazów rodzinnych raczej nie byli bardzo zamożni, jednak w akcie zgonu z 1938 r. Feliks podany został jako handlowiec. Przy zbiegu dzisiejszych ulic Czerniakowskiej i Chełmskiej, wówczas wylotowym na południe przedmieściu Warszawy, mieli działkę o powierzchni 7,5 tys. mkw. W XIX w. obecna ul. Czerniakowska nazywała się Drogą Księżącą i łączyła folwark Sielce z wsią Mokotów. Działka pradiadków zarejestrowana była hipotecznie jako osada kolonialna nr 1 w Sielcach w gminie Mokotów. Później nadano jej adres ul. Czerniakowska 71. Na działce posadowiony był przy samej ulicy dom mieszkalny wybudowany z czerwonej, otynkowanej cegły: „w parterze,



■ PRADZIADKOWIE
HELENA (1882–1968) I FELIKS
(1876–1938) GADZIŃSCY,
ZDJĘCIE Z OK. 1910 R.
FOT. ZBIORY AUTORA

piętrze i mieszkaniach poddaszowych, w części z piwnicami sklepieniowymi, pokryty cynkiem”. Zabudowania gospodarcze stanowiły wybudowane z drewna i posadowione na podmurówkach: stajnia i stodoła pokryte „gontem dubeltowym”, wozownia i komórka po-

kryte gontem oraz wygódka i śmietnik również pokryte gontem. Całość gospodarstwa otoczona była drewnianym płotem. Pradziadkowie mieszkali wcześniej w Warszawie przy ul. Mokotowskiej 63. Nieruchomość w osadzie Sielce nabyli od poprzedniego właściciela w lutym 1918 r. za kwotę 78 tys. marek polskich. Zachował się carski „Szacunek Hypoteczny” z 1875 r. wystawiony na wartość 11 798 rubli, z czego wynika, że pradziadkowie jednak byli majętni¹.

KARCZMA NA WÓJTÓWCE

Początkowo, kiedy osada Sielce miała jeszcze charakter wiejski, pradziadkowie utrzymywali się głównie z prowadzenia zajazdu, wzmiankowanego w literaturze jako „karczma ludowa”. Oferowali w niej przejezdny proste jadalnię, wódkę i piwa oraz noclegi. Osada została przyłączona do Warszawy w 1916 r., a rejon skrzyżo-

¹ Jako próbę odniesienia tej wartości do ówczesnych realiów można przytoczyć zachowany w zbiorze prywatnym notarialny akt zakupu 9 mórg ziemi w Księstwie Łowickim w 1897 r. za cenę 200 rubli. Polska 1 morga odpowiadała 0,56 ara, czyli było to ok. 5 ha. O ile transakcja ta była reprezentatywna, proporcjonalnie za 11 798 rubli można by wówczas nabyć 295 ha.

wania Czerniakowskiej i Chełmskiej otrzymał nieoficjalną nazwę Wójtówka i był tzw. szemraną częścią Czerniakowa. Tam wśród „charakternych chłopaków” wychowywał się przysły „bard dzielnicy” Stanisław Grzesiuk. Jako dwudziestolatek bywał on stałym gościem w „gastronomii” pradziadków, której przystający do okolicy charakter opisał potem cierpko w jednej ze swoich książek jako „dwudziestą kategorię z dwudziestu”². W bardziej przyjaznym, i chyba prawdziwszym duchu,

pisała o karczmie ówczesna prasa: „Znacie »Wójtówkę«, piwiarnię nie mniej popularną wśród co sławniejszych pijaków, niż niejeden lokal śródmieścia? Podrzędny bar, het na Czerniakowskiej ulicy, odwiedzany równie chętnie przez robotników, jak i ministrów, szefów i arystokratów? Największa atrakcja »Wójtówki« to jej wła-

W 1938 r. pradiadkowie swoją nieruchomość za dożywotnią rentę w kwocie 400 zł przekazali jako darowiznę w równych częściach na rzecz czworga swoich dzieci: Stefana, Zofii, Henryki i Cecylii. Moja babcia jako mężatka została pominięta, natomiast rodzeństwo spłaciło ją w kwocie 25 tys. zł. Wartość całej nieruchomości w akcie darowizny oszacowana została na 100 tys. zł. Podczas walk Powstania Warszawskiego dom i gospodarstwo pradiadków zostały zrównane z ziemią. Pradiadek Feliks już nie żył, zmarł w 1938 r. Jego żonę Helenę, razem z córkami Zofią i Henryką Niemcy wygnali z Warszawy. Przez obóz Dulag 121 w Pruszkowie trafiły do Krakowa, w którym zamieszkały już na stałe.

ściciel: nowoczesny Zagłoba, rubaszny, dowcipny, z brzuchem tak potężnym jak antałki piwa w jego bufecie”³. Pradiadek piękny i młody na zdjęciu ślubnym, z czasem faktycznie zmienił się nie do poznania...

Pradiadkowie mieli sześcioro dzieci, z których jedno wcześniej zmarło. Moja babcia Irena, urodzona w 1906 r., kiedy miała około dwudziestu lat, jako pierwsza opuściła dom rodzinny, wychodząc za mąż.

² S. Grzesiuk, *Boso, ale w ostrogach*, Warszawa 2013, s. 122–123, 137–138. Autor z kolegami nazywali właściciela lokalu „Bandytą”. W tym wydaniu książki w niepaginowanej wklejce znajduje się zdjęcie domu pradiadków. W podpisie do kolejnego zdjęcia nazwa lokalu podana jest jako „U Bandyty”.

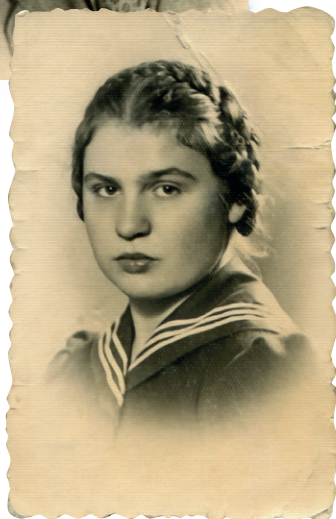
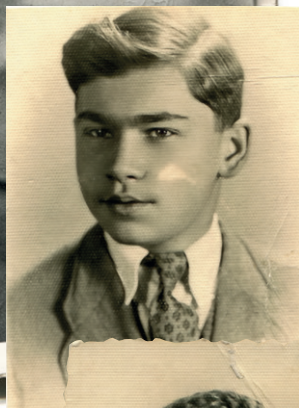
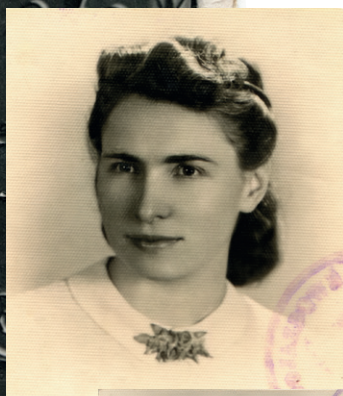
³ A. Orzechowska, *Wódka, taniec i... „biologia”*. Karnawał na przedmieściach Warszawy, „ABC. Nowiny Codzienne”, 2 lutego 1937.

PRZEDWOJENNA PROSPERITY DZIADKÓW

Babcia Irena od 1926 r. prowadziła kancelarię Związku Restauratorów w Warszawie. W 1928 r. wyszła za mąż za warszawskiego handlowca Jana Ziółkowskiego, poznanego w pracy wdowca po Anieli z d. Gałczyńskiej, wychowującego córkę Zofię, urodzoną w 1923 r., i starszego syna Janusza, urodzonego w 1914 r. Zamieszkali razem najpierw we własnej kamienicy przy ul. Puławskiej róg Dolnej, a potem w prestiżowym miejscu Warszawy, w luksusowej kamienicy przy ul. Marszałkowskiej 48, róg z ul. Koszykową 34, m. 5, na trzecim piętrze, w ogromnym mieszkaniu wynajmowanym od właściciela kamienicy Adama Pawelka, Żyda, doktora praw, który miał mieszkanie frontowe na drugim piętrze. W latach 1929 i 1936 kolejno przyszły na świat ich dzieci – Zbigniew Anatol i moja mama Małgorzata Irena. Dziadek prowadził liczne interesy w zakresie handlu luksusowymi meblami i towarami winno-kolonialnymi. Z racji tej drugiej aktywności był kiperem win, a co za tym idzie – dla zachowania „precyzji smaku” – nie pił wódki.

Na zlecenie poprzedniego właściciela Karola Albrechta, znanego przemysłowca, właściciela restauracji „Ziemiańska”, mieszkanie przy ul. Marszałkowskiej zostało luksusowo zaprojektowane i przez mniej więcej trzy lata wykańczane było dla jego żony, aktorki Kazimierzy Skalskiej, późniejszej żony Jerzego Szapiry, dziennikarza i działacza PPS. Ściany pokoi obito drogimi materiałami, adamaszkami, pluszami, ramy obrazów obstalowano w jednym stylu. Moja mama w chwili wybuchu Powstania Warszawskiego ośmioletnia, tak zapamiętała dom swojego dzieciństwa: „Szkoda wielka, że nie zachowały się bodaj zdjęcia. Nawet klatka schodowa była niczym pałac, cała marmurowa, piękne kute ozdobne poręcze i okna ogromne zadziwiające urodą. Mieszkanie ośmiopokojowe, salon o pięciu oknach, 120 m², fortepian, komplet mebli Ludwik XVI, sofa, przepastne korytarze, łazienka z oknem, białe kafle lśniące, wbudowana wanna, bidety w WC i łazience oddzielnie. Kuchnia, po której mogłam jeździć na rowerze. Pokój tzw. służbowy i schody, po których wchodziło do domu zaopatrzenie oraz węgiel. Salon o pięciu oknach zajmujący cały front domu przyglądał się ulicy Marszałkowskiej. Właśnie z tych okien widziałam rannych i zabitych 1 sierpnia 1944 r.”.

W narożniku kamienicy na parterze znajdował się sklep dziadka „Jan Ziółkowski – Handel win, wódek i towarów kolonialnych”. Na pierwszym piętrze frontem do ul. Marszałkowskiej był jego magazyn luksusowych „mebli pokazowych” i miesz-



■ MAMA MAŁGORZATA IRENA ZIOŁKOWSKA (1936–2021),
ZAM. SIKORSKA, ZE SWOIM PIERWSZYM PSEM,
MARSZAŁKOWSKA 48, BALKON STOŁOWEGO.

■ BABCIA IRENA MARTA ZIOŁKOWSKA (1906–1988),
ZDJĘCIE OKUPACYJNE. FOT. ZBIORY AUTORA

■ DZIADEK JAN STANISŁAW ZIOŁKOWSKI (1894–1946), ZDJĘCIE Z „AUSWEISU”
WYSTAWIONEGO PRZEZ NIEMCÓW W LUTYM 1944 R. FOT. ZBIORY AUTORA

■ BRAT MAMY ZBIGNIEW ANATOL ZIOŁKOWSKI (1929–1996),
ZDJĘCIE OKUPACYJNE. FOT. ZBIORY AUTORA

■ ZOFIA JULIA ZIOŁKOWSKA (1923–1959), CÓRKA JANA Z PIERWSZEGO
MAŁŻEŃSTWA, ZDJĘCIE Z OK. 1939 R. FOT. ZBIORY AUTORA

kanie Stefana Radelickiego⁴, który prowadząc interes, jednocześnie tam zamieszkiwał wraz z żoną Zofią z d. Arens, matką chrzestną mojej mamy, i trzema córkami: Danutą, Barbarą i Hanną⁵. W kamienicy dziadkowie mieli też luksusowy gabinet kosmetyczny, którego lokalizacji nie znam. W oficynie na czwartym piętrze przez całą okupację mieszkał Stefan Rachon, znany skrzypek i dyrygent. Kamienica funkcjonowała w „doborowym towarzystwie”. Zaraz za rogiem, wchodząc w ul. Koszykową, najpierw mieścił się elegancki zakład fryzjera, który mieszkał w kopule zwieńczającej kamienicę, a za nim był sklep „Kucharski – Obuwie wytworne”. Po drugiej stronie ul. Koszykowej, przy ul. Marszałkowskiej pod nr. 46, był wykwintny sklep ze słodyczami wiodącej w tej branży firmy „Fuchs – Cukry”⁶. Naprzeciwko, po drugiej stronie ul. Marszałkowskiej na jednym rogu ul. Koszykowej, miał cukiernię Jan Gajewski, a na drugim były delikatesy braci Pakulskich. Po prawej stronie ul. Śniadeckich, kończącej się na skrzyżowaniu ulic Marszałkowskiej i Koszykowej, prowadził sklep jubiler Spaliński.

Dziadek miał też salon meblowy na pl. Teatralnym, podobno w miejscu, gdzie dzisiaj jest Teatr Narodowy. Jeszcze przed wojną lub już w czasie okupacji zaczął go prowadzić jego syn – Janusz Ziółkowski, przyrodni brat mojej mamy. Najprawdopodobniej przy ul. Bielańskiej mieścił się sklep z drogimi alkoholami, którego właścicielem był dziadek. Na rogu ulic Nowy Świat i Pierackiego⁷, dzisiejszej Foksał, na trzecim piętrze kamienicy dziadek miał salon meblowy, który prowadził Stanisław Radelicki⁸. Przy ul. Wilczej, w sześciopokojowym mieszkaniu, działała należąca do dziadka pracownia stolarska i politurnicza. Przy ul. Miedzianej dziadek miał sklep winno-kolonialny, który prowadził ojciec chrzestny mojej mamy Józef Arens – brat Zofii Radelickiej. Przy ul. Puławskiej, na rogu z ul. Dolną, miał dziadek czteropiętrowy dom czynszowy.

⁴ Według przekazu rodzinnego był adiutantem kpt. Leona Berbeckiego w I Brygadzie Legionów Polskich, późniejszego generała broni WP.

⁵ Rodzicami Zofii byli siostra mojego dziadka Jana Ziółkowskiego i Franciszek Arens, warszawski wykonawca, sprzedawca i konserwator luksusowych mebli. Córka Radelickich Barbara walczyła w Powstaniu Warszawskim w pułku AK „Baszta”.

⁶ Podczas Powstania Warszawskiego na ul. Marszałkowską 46 przysła odpocząć walcząca na Starówce najstarsza córka zaprzyjaźnionych z dziadkami pp. Dypczyńskich. W „bezpiecznym Śródmieściu” zginęła razem z dwoma młodszymi siostrami w wieku 6 i 15 lat, kiedy w kamienicę uderzył ciężki pocisk artyleryjski.

⁷ W 1934 r. nazwę ulicy Foksał zmieniono na taką dla upamiętnienia ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego zamordowanego na niej przez ukraińskich nacjonalistów.

⁸ W 1939 r. zginęła tam od pocisku artyleryjskiego Janina Arens, żona Franciszka Arensa.



■ RÓG UL. MARSZAŃKOWSKIEJ 48 I UL. KOSZYKOWEJ 34 W 1945 R. FINALNY EFEKT NIEMIECKIEGO BARBARZYŃSTWA. FOT. FOTOPOLSKA.EU

WARSZAWSKA APOKALIPSA

Kamienica przy ul. Marszałkowskiej doznała uszkodzeń już podczas obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. W czasie Powstania Warszawskiego ciężki pocisk artyleryjski, zawsze słyszałem w domu, że z moździerza Berta, uderzył w fundament i znaczna część kamienicy runęła. Na szczęście babcia, mama, siostra przyrodnia mamy Zofia i gospoia były wówczas w jednej z piwnic. Kiedy babcia z mamą, 5 października 1944 r. wygnane z Warszawy przez filię obozu Duląg 121 w Ursusie, już w styczniu czy lutym 1945 r. wróciły z Charsznicy pod Krakowem na ul. Marszałkowską, na resztkach ściany szczytowej pokoju stołowego na trzecim piętrze wisiał jedynie kaflowy piec⁹. Tyle zostało po ośmiopokojowym mieszkaniu. W miejscu pięknej, dostojnej kamienicy stały resztki ruin. Dom na ul. Puławskiej został zbombardowany już w 1939 r. Z salonu meblowego i sklepu na pl. Teatralnym i ul. Bielańskiej zostały jedynie kupy gruzów. Podobnie miała się reszta

⁹ Dziadek jeszcze przed wybuchem wojny albo już w czasie okupacji zamieszkał osobno. Po powstaniu ze swoim synem Januszem został wygnany do Dulagu 121, skąd uciekł i dotarł do Gdańska, gdzie próbował rozpocząć handel tym, na czym się znał. Zmarł tam w 1946 r. Janusz dotarł do Podkowy Leśnej. Prababcie z dwiema córkami Niemcy wygnali z Czerniakowa do tego samego dulagu.

nieruchomości rodzinnych. Czego nie zburzyli w Powstaniu Warszawskim i nie dopalili po jego zakończeniu Niemcy, zostało rozkradzione.

BILANS STRAT

Już w 1945 r., w imieniu swoim i nieobecnego dziadka, babcia wypełniła dla Dzielnicowego Biura Rejestracji Strat Wojennych „Kwestionariusz A w sprawie szkód wojennych”, co było wówczas traktowane nie tylko jako prywatne roszczenie odszkodowawcze, ale też „spełnienie obowiązku wobec Państwa”. W nielicznych dokumentach po babci zachował się egzemplarz kwestionariusza, wypełnionego ze skreśleniami i poprawkami, który zapewne stanowił brudnopis do drugiego, złożonego w urzędzie. Z analizy wpisów wynika, że wymieniając szkody wojenne, babcia ograniczyła się tylko do tego, co było związane z kamienicą przy ul. Marszałkowskiej 48. Najpierw podała fakt zarekwirowania przez Niemców w 1942 r. wraz z towarami sklepu winno-kolonialnego na parterze, potem zniszczenia w trakcie Powstania Warszawskiego, całkowite spalenie przez Niemców 7 października luksusowo wyposażonego mieszkania i wreszcie rozszabrowanie cennego dobytku z ocalałych piwnic.

W dziale formularza „Szkody niematerialne”, w części „Straty moralne” jako osoby zaginione babcia wymieniła swoją pasierbicę Zofię Julię Ziółkowską, z którą została rozdzielona w Dulagu 121, oraz syna Zbigniewa Anatola Ziółkowskiego, który walczył w Powstaniu Warszawskim jako łącznik i pomimo wieku piętnastu lat wyszedł honorowo do niewoli razem z wojskiem¹⁰.

Analiza wpisów w dziale „Szkody materialne” jest niezwykle cenna, zarówno dla poznania statusu majątkowego dziadków i poziomu ich życia, jak i uzyskania wiedzy o ogromie ich strat w ruchomościach, będących przykładem, jak wyglądały straty setek czy tysięcy warszawskich rodzin posiadających podobne zasoby. Wymienię tylko ważniejsze: „całkowicie spalone osiem pokoi, komplet stołowy w stylu barok angielski, kompletny gabinet w stylu empire, cztery komplety mebli salonowych w stylu Ludwik XV i XVI, (do czterech salonów), tapczany i sofę, serwantki złożone Ludwik XV, serwantka

¹⁰ Zofia trafiła do obozu pracy na terenie Niemiec i w 1945 r. została wyzwolona przez jednostki Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Wraz z wojskiem dotarła potem do Włoch. Zbigniew, w powstaniu ps. „Rydzyna”, walczył w Śródmieściu w zgrupowaniu Sławbor, batalionie Miłosz, kompanii Ziuka. Został jeńcem nr 223272 Stalagu XB Sandbostel. Po wyzwoleniu obozu pełnił służbę w amerykańskich kompaniach wartowniczych. W 1947 r. wrócił do Polski.

orzechowa inkrustowana Ludwik Filip, dziewięć dywanów perskich i innych najwyższej klasy, luksusowe na tamten czas »automatyczne« radio Telefunken z adapterem i kolekcją 125 płyt polskich z przebojami i 60 angielskich, 75 płyt z muzyką klasyczną, fortepian tzw. krzyżowy »Lipsk«, radio Philips, telefon na nr 81923 i aparat dodatkowy, kosztowne drobiazgi, porcelana, maszyna do pisania, obrazy wg odrębnego wykazu, 26 wazonów kryształowych, 9 garniturów męskich, 12 sukienek damskich, 2 garnitury chłopięce, 14 sukienek dziecięcych, 2 futra męskie, 3 futra damskie, biblioteka ok. 180 tomów klasyki literatury polskiej oprawionych w tłoczoną i złożoną skórę (m.in. Mickiewicz, Słowacki, Reymont, Kossak-Szczucka), 35 podobnie oprawionych tomów literatury francuskiej, 3 rowery damskie, 2 rowery męskie, angielski rower dziecięcy, 2 aparaty fotograficzne, sprzęt kuchenny, dwie kuchnie elektryczne, serwis srebrny na 12 osób, platerowy na 12 osób, empire na 18 osób, zbiory znaczków pocztowych syna, biblioteka córki» itd. Poza tym babcia wymieniła obfite zapasy spożywcze: słoiki konfitur i grzybów, cukier, kasze, masło topione, tony węgla i drewna, a w piwniczce: okazowe wina węgierskie z 1860 r. 70 but., likiery zagraniczne z metrykami 90 but., koniaki, gin i whisky razem ok. 100 but. Wpisała też 8 królików angerek. Odrębnie wymienione zostało wyposażenie i zaopatrzenie sklepu winno-kolonialnego: „szafy i kontuary orzechowe, nowoczesne, neonowe oświetlenia i reklama nad sklepem, neon, koniaki, wina, wódki, towary zagraniczne i krajowe, konserwy, kawa, herbata, oliwa, owoce zagraniczne (rodzynki, śliwki, migdały, itp.)” oraz wyposażenie gabinetu kosmetycznego z poczekalnią.

Według cen na 1 września 1939 r., bo tak stanowiła instrukcja formularza, utracony majątek ruchomy babcia wyceniła na 395 510 zł. Był to jedynie szacunek strat na Marszałkowskiej 48 i nie obejmował on wartości kamienicy na Puławskiej oraz utraty mebli i artykułów winno-kolonialnych we wszystkich pozostałych sklepach, które dziadek najprawdopodobniej wynajmował. Aby zrozumieć podaną wartość: przedwojenna gaża podpułkownikowska mojego drugiego dziadka wynosiła ok. 600 zł i była zbliżona do górnego uposażenia średniego szczebla pracownika państwowego. Szacunek babci stanowił równowartość takich poborów za 55 lat pracy¹¹. W przypadku urzędnika klasy niskiej byłyby to pobory za... dwieście lat. Była to też wartość zakupu 2,5 tys. rowerów turystycznych produkowanych przed wojną przez Fabrykę Broni w Radomiu.

¹¹ *Mały rocznik statystyczny 1937*, Warszawa 1937, s. 259.

MIASTO ST. WARSZAWA

82432

Kwestionariusz A w sprawie szkód wojennych

1. POSZKODOWANY

- a) Nazwisko i imię Jona Marta Liwickowska
- b) Przynależność państwowa polska
- c) Narodowość polska
- d) Data i miejsce urodzenia Płońsk d. 14 X 1906 r.
- e) Miejsce zamieszkania przed 1.IX 1939 r. Warszawa Chłaskowska 48-5
- f) Miejsce zamieszkania obecne
- g) Zawód wykonywany przed 1.IX 1939 r. Właścicielka sklepu winiokolarni
- h) Zawód obecny Ładacz
- i) Stan cywilny Samotna
- j) Ilość, wiek dzieci i innych osób pozostających na utrzymaniu poszkodowanego

ZARZĄD MIEJSKI
W M. STOL. WARSZAWIE

Warszawa, dnia 22/XII 1945 r.

WYDZIAŁ STRAT WOJENNYCH

PÓTWIERDZENIE

przyjęcia wniosku w sprawie rejestracji szkód wojennych

Niniejszym stwierdza się, że ob. Liwickowska Jona Marta
zamieszkała w Warszawa Reja 50 n 25
złożyła dnia 22/XII 1945 roku w myśl zarządzenia Kierownika Resortu
Odszkodowań Wojennych z dnia 21 IX 1944 r. wniosek o rejestrację szkód wojennych
na łączną sumę zł. 9.955,50 zł, słownie złotych

Wymieniony wniosek został wpisany w dzienniku przyjętych wniosków pod
Nr. 2.665/45

Niniejsze potwierdzenie służy jako dowód zarejestrowania szkód dla urzędów
i władz przy udzielaniu jakichkolwiek ulg, wzgl. przydziałów.

NACZELNIK WYDZIAŁU
STRAT WOJENNYCH

Nr. 745. Druk „Czytelnik” Nr 6 - B0192

OCALAŁO KILKA DROBIAZGÓW...

Już po zakończeniu walk powstańczych, z ul. Marszałkowskiej 48 babcia cudem uratowała kilka przedmiotów. Przepuszczona przez Niemców, na podwórku pod blaszaną balią ukryła ocalałe, złapane w pośpiechu rzeczy: pięciotomową, pięknie oprawioną w tłoczoną skórę ilustrowaną encyklopedię Trzaski, Everta i Michalskiego, z grzbietami pokaleczonymi odłamkami jeszcze w 1939 r.; uszkodzony chiński wazonik; wielki, oprawiony w złożoną ciętą skórę drugi tom *Kancle-rza Szydłowieckiego. Z dziejów kultury i sztuki zygmunto-wskich czasów* Jerzego Kieszkowskiego; trzeci tom ze skórzanym, tłoczonym grzbietem *Popiołów* Ste-fana Żeromskiego; porcelanowego białego niedźwiedzia znanej firmy Schau-bach. Wszystko to przetrwało do sowieckiego „wyzwolenia”. Poza encyklopedią, sprzedaną na rzecz uzyskania przez moich rodziców przydziału na mieszkanie kwaterunkowe, resztę skarbów po dziadkach mam do dzisiaj. Z czasów przed-wojennych zostało kilka zdjęć. To jedno atelierowe pradiadków, trzy amatorskie i kilka legitymacyjnych. Zachowały się też cztery fotografie okupacyjne.

Babcia z moją mamą od zimy 1945 r. tuły się bez własnego domu. Najpierw przygarnęła je ciotka, która w swoim małym mieszkaniu na ul. Hożej dała dach nad głową dwunastu warszawskim „spaleńcom”. Potem Franciszek Arens przyjął je jako jednych z wielu do jego ocalałej kamienicy na ul. Rakowieckiej 5 i dał im w niej mały pokój o powierzchni 12,5 mkw. Po powrocie z Niemiec, jako trzecia osoba, wprowadził się do niego brat mamy. W 1954 r. wreszcie otrzymali spółdzielcze mieszkanie – na Starówce pokój z kuchnią 33 mkw. Taki był powojenny bilans zamknięcia w zakresie nieruchomości dziadków.

■ PIERWSZA STRONA WYPEŁNIONEJ PRZEZ BABCIĘ „KWESTIONARIUSZA A W SPRAWIE SZKÓD WOJENNYCH”. FOT. ZBIORY AUTORA



Tomasz Sikorski (ur. 1958) – historyk, dr, pracownik Wydziału Notacji i Opracowań Multimedialnych Biura Edukacji Narodowej IPN. Autor książek: *Harcerskie Odznaki Honorowe 1916–1989* (1991); *Krzyż Harcerski 1913–2013* (2014); *Z krzyżem harcerskim w bój 1914–1921* (2018); *Harcerze w wojnie polsko-bolszewickiej* (2020) i in.

ANNA ZECHENTER

KAROLINY LANCKOROŃSKIEJ WOJNA Z III RZESZĄ

Aresztowana przez Niemców Karolina Lanckorońska prowadziła z krótką krucjatę przeciwko Hansowi Krügerowi, jednemu z morderców polskich uczonych na lwowskich Wzgórzach Wuleckich w 1941 r. Kiedy zbrodniarz stanął po wojnie przed sądem, został skazany „tylko” za eksterminację Żydów, bo nikt nie chciał słuchać jej zeznań o zagładzie polskich elit.





igdy nie umiała trwać w bezczynności – ani przed II wojną światową, gdy z pasją oddawała się studiom nad sztuką barokową i twórczością Michała Anioła, wieńcząc je w międzywojniu habilitacją i pracą naukową na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie; ani pod okupacją sowiecką we Lwowie, skąd musiała wyjechać do Krakowa jako zagrożony aresztowaniem przez NKWD żołnierz Związku Walki Zbrojnej; ani w Generalnym Gubernatorstwie, gdzie dotarła w maju 1940 r. i swoją niespożytą energię poświęciła opiece nad więźniami.

„JESZCZE SIĘ NA COŚ PRZYDAJĘ”

Zanim złożyła w styczniu 1940 r. podziemną przysięgę pod sowiecką okupacją, zaczęła gromadzić w swoim lwowskim mieszkaniu nieprzebrane ilości bandaży, ligniny i lekarstw kupowanych po nacjonalizacji aptek na bazarach. „Składałam te skarby u siebie i u znajomych i zdawało mi się, że się jeszcze na coś przydadę” – pisała we *Wspomnieniach wojennych*. 22 IX 1939 – 5 IV 1945, opublikowanych dopiero w roku 2001 r., kilka miesięcy przed jej śmiercią w 2002 r.

Być potrzebną innym – ten wewnętrzny nakaz kierował wszystkimi jej poczynaniami. Dawało o sobie znać wychowanie w zasłużonej dla Rzeczypospolitej familii Lanckorońskich z Brzezia herbu Zadora, która wydała marszałków koronnych, kasztelanów, hetmanów, wojewodów, żołnierzy i wreszcie jej ojca Karola, słynnego kolekcjonera dzieł sztuki.

Jako świadek najazdu Sowietów na Kresy, ich barbarzyńskich rządów, wszechobecnego terroru oraz dwóch pierwszych deportacji setek tysięcy Polaków w 1940 r., powzięła decyzję o przedarciu się przez Zakopane na Węgry, a później do Włoch na audiencję do papieża Piusa XII. Jemu chciała opowiedzieć o bydlęcych wagonach ruszających w głąb ZSRS ze śpiewem zesłańców *Boże, coś Polskę*, o księżach jadących z własnego wyboru transportami, o „kawałku Azji, który spadł na Lwów”.



Planami tymi żyła jeszcze po przybyciu do Krakowa, omawiała je z komendantem Obszaru Kraków ZWZ Tadeuszem Komorowskim „Prawdzielcem” i metropolitą Adamem Sapiehą, a także trenowała długie marsze, by w górach nie opaść z sił. „Latałam po Krakowie i bliższej okolicy przez szereg godzin dziennie. Znajomi, którzy mnie spotykali, mieli wrażenie, że mam bardzo nadwężone pod okupacją bolszewicką nerwy” – wspominała.

„TAJEMNICZA SPRAWA” WE LWOWIE

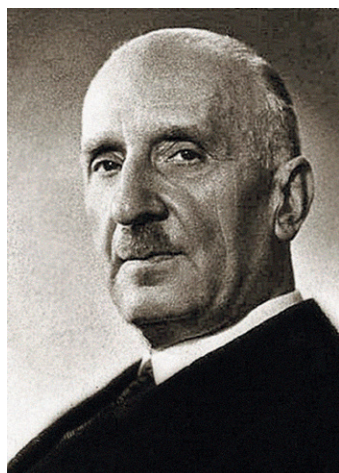
Po przystąpieniu Włoch do wojny w czerwcu 1940 r. upadła nadzieja na kurierską wyprawę, zaczęła więc gorączkowo szukać dla siebie innego pola działania. Prowadziła w PCK rejestr osób wywiezionych „z zaboru sowieckiego w głąb Rosji”; kursowała z konspiracyjną pocztą do Warszawy; pielęgnowała w krakowskich szpitalach zwolnionych z niewoli chorych na gruźlicę polskich żołnierzy, wiodąc

nieustannie „homeryckie boje” z urzędnikami GG o zgodę na ich dożywianie, w czym pomocna jej była perfekcyjna znajomość niemieckiego; odprowadzała wreszcie zmarłych podopiecznych na cmentarz.

Uznawszy, że ma „ciągle za mało roboty”, uczyła się intensywnie angielskiego, by „poznać literaturę narodu sprzymierzonego”. I narzekała na brak zajęć, zwłaszcza konspiracyjnych. Nie dostawała ich zapewne jako osoba powszechnie znana – także Niemcom.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 r. i początek okupacji Lwowa przez Rzeszę Niemiecką 30 czerwca ustanowił cezurę w jej życiu. Po pierwsze, już na początku lipca 1941 r. nadeszły wieści o aresztowaniu przedstawicieli elit akademickich Lwo-

wa. „Wymieniano coraz to inne nazwiska. Niczego konkretnego nie można się było dowiedzieć – pisała Lanckorońska. – Wreszcie przyszedł pierwszy gryps, zaadresowany do mnie, zawierający spis 22 profesorów i docentów, którzy zostali zaaresztowani częściowo z żonami lub dorosłymi synami w dwa dni po wkroczeniu Niemców, podobno jako zakładnicy. Miejsce ich pobytu niewiadome. [...] Od tej chwili tajemnicza ta sprawa bezustannie była z nami”.



■ ADAM RONIKIER.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Po wtóre zaś, zaczęła pracę w Radzie Głównej Opiekuńczej, przekonawszy jej prezesa Adama Ronikiera do podjęcia akcji dożywiania więźniów w całym Generalnym Gubernatorstwie. Związane z nowymi zadaniami podróże doprowadzić ją miały później wprost do jednego ze sprawców lwowskiej masakry.

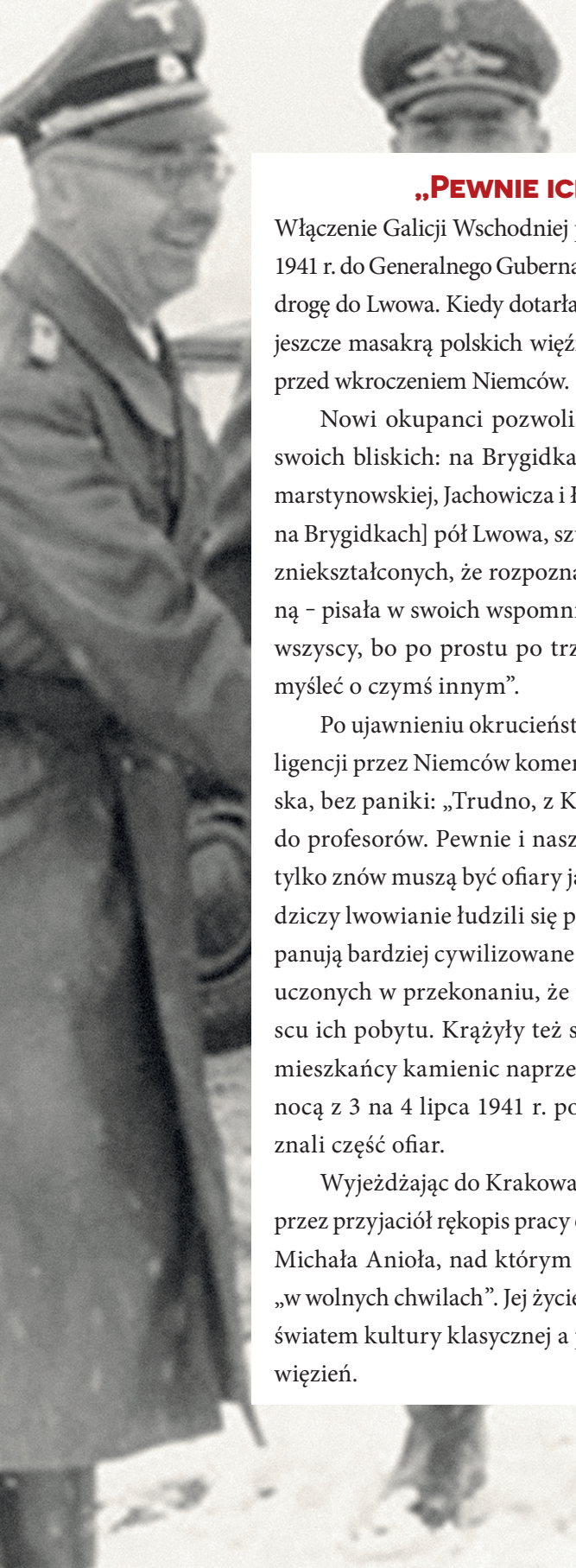
PO WIĘZIENIACH Z ZUPĄ I TACYTEM

Od lipca 1941 r. wciąż była w drodze – przepełnionymi pociągami, furmankami, a bywało, że pieszo, przemierzała całe Generalne Gubernatorstwo, wymuszając na hitlerowskich oficjach władczym tonem, przebiegłością lub przekupstwem zgodę na dostarczanie aresztowanym pomocy. Dokument zaświadczaający, że jest za zgodą gestapo i SS uprawniona do zajmowania się więźniami, zdobyła, oświadczając urzędnikom „rządu Generalnego Gubernatorstwa” stanowczo: „Swoj obowiązek narodowy [...] pragnę spełnić nie drogą nielegalną, tylko jawną”. Z dowództwa ZWZ nadeszło polecenie: zerwać wszystkie kontakty, skoncentrować się na nowym zadaniu.

Kiedy w sierpniu przyjechała pod tarnowskie więzienie samochodem z kotłami zupy dla 1200 osób, usłyszała głosy ludzi błagających przez zakratowane okna o jedzenie. Przed wysłanniczką RGO otworzyła się żelazna brama, a odurzeni zapachem mięsa więźniowie „o wyglądzie wyraźnie trupim” zaczęli wnosić kotły. „Czułam, że mi się kończą siły, że mi kruszeje fasada – pisała o swojej pierwszej wyprawie. – Uciekłam do katedry. Tam dziękowałam, becząc bezsilnie”.

Potem przyszła kolej na Jasło, gdzie dyrektorem był Ukrainiec lękający się Lanckorońskiej ku uciechu jej pomocników, i głodujący Sanok, i Nowy Sącz, w którym dowiedziała się, że polscy „zakładnicy” zostali poprzedniego dnia zgładzeni, i Piotrków Trybunalski, i znów Nowy Sącz, skąd trzeba było zabrać noworodka, pod warunkiem że Niemcy nie ujawnią jego nazwiska, i Częstochowa, i jeszcze Kraków.

Co miesiąc składała w Warszawie Tadeuszowi Komorowskiemu, wówczas już „Borowi” – zastępcy komendanta głównego ZWZ Stefana Roweckiego „Grota” – meldunki o swojej pracy oraz liczbie więźniów i przekazywała inne zdobyte przy okazji informacje. „W końcu umiałam cudownie spać wśród grupy 16 paskarzy w jednym przedziale lub klęcząc jednym kolanem na tobołku przy wejściu do wagonu” – wspominała. W drogę zabierała ze sobą tylko lżejszą lekturę, np. *Roczniki* Tacyty w oryginale. Goethego czytać przestała.



„PEWNIENIE ICH WYPUSZCZA...”

Włączenie Galicji Wschodniej pod nazwą Distrikt Galizien 1 sierpnia 1941 r. do Generalnego Gubernatorstwa otworzyło przed Lanckorońską drogę do Lwowa. Kiedy dotarła tam pod koniec września, miasto żyło jeszcze masakrą polskich więźniów w bolszewickich więzieniach tuż przed wkroczeniem Niemców.

Nowi okupanci pozwolili mieszkańcom szukać wśród ofiar swoich bliskich: na Brygidkach przy Kazimierzowskiej, przy Zamarstynowskiej, Jachowicza i Łąckiego. „Chodziło tam [do więzienia na Brygidkach] pół Lwowa, szukając najbliższych wśród trupów tak zniekształconych, że rozpoznanie było rzeczą zupełnie beznadziejną – pisała w swoich wspomnieniach. – [...] O tych scenach mówili wszyscy, bo po prostu po trzech miesiącach nie potrafili jeszcze myśleć o czymś innym”.

Po ujawnieniu okrucieństw NKWD lipcowe aresztowania inteligencji przez Niemców komentowano, jak odnotowała Lanckorońska, bez paniki: „Trudno, z Krakowem zrobili to samo, zabrali się do profesorów. Pewnie i naszych po paru miesiącach wypuszczą, tylko znów muszą być ofiary jak tam”. Pomni rządów bolszewickiej dziczy lwowianie łudzili się przez czas jakiś, że pod Niemcami zapanują bardziej cywilizowane warunki. Wielu prosiło ją, by szukała uczonych w przekonaniu, że w końcu nadejdą informacje o miejscu ich pobytu. Krążyły też szeptane wieści o mordzie – przecież mieszkańcy kamienic naprzeciw Wzgórz Wuleckich obserwowali nocą z 3 na 4 lipca 1941 r. potajemnie z okien egzekucję i rozpoznali część ofiar.

Wyjeżdżając do Krakowa, Lanckorońska zabrała przechowany przez przyjaciół rękopis pracy o problemach religijnych w twórczości Michała Anioła, nad którym zamierzała, rzecz jasna, popracować „w wolnych chwilach”. Jej życie biegło wciąż dwoma torami – między światem kultury klasycznej a przerażającymi realiami niemieckich więzień.

CZEGO LANCKOROŃSKA NIE WIEDZIAŁA

„Wszelkimi środkami jawnymi i konspiracyjnymi zabraliśmy się do szukania profesorów lwowskich po więzieniach, obozach i kamieniołomach Kraju i Rzeszy – relacjonowała Lanckorońska swoje dalsze poczynania. – Nigdzie nie było ich śladu, wpadli jak kamień w wodę”. Adam Ronikier zapytywał władze niemieckie, Tadeusz Komorowski „Bór” przesłał spis zaginionych do Londynu z prośbą, by radio się o nich upomniało, ona zaś zwróciła się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Szwajcarii. Po długich miesiącach dostała odpowiedź: „Niemcy oświadczyli, iż profesorowie lwowscy są an sicherem Ort [w bezpiecznym miejscu]”.

Skąd miała wiedzieć, że los aresztowanych został przesądzony długo przed atakiem Rzeszy na ZSRS? 30 maja 1940 r. zarządca Generalnego Gubernatorstwa Hans Frank mówił do przedstawicieli SS i policji o Sonderaktion Krakau: „Nie da się opisać, ile mieliśmy zawracania głowy z kra-

■ HEINRICH HIMMLER (Z LEWEJ) I HANS FRANK PODCZAS WMUROWANIA KAMIENIA WĘGIELNEGO POD KOSZARY POLICJI W KRAKOWIE, 1939 R. FOT. WIKIMEDIA COMMONS





■ HANS KRÜGER. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

kowskimi profesorami. Proszę więc panów usilnie, by nie kierowali już nikogo więcej do obozów koncentracyjnych w Rzeszy, lecz podejmowali likwidację na miejscu”.

Polecenie to zostało wykonane we Lwowie rzetelnie. Uderzenie w elity drugiego pod względem ważności polskiego ośrodka naukowego rozpoczęło się już 2 lipca aresztowaniem prof. Kazimierza Bartla, pięciokrotnego premiera II RP. Nocą z 3 na 4 lipca na podstawie list proskrypcyjnych przygotowanych z pomocą członków Organizacji Nacjonalistów Ukraińskich zabrano z domów 52 osoby: uczonych, żony oraz dorosłych synów niektórych z nich, a nawet służbę i gości. Z profesorem prawa Romanem Longchampsem de Bérrier wyprowadzono trzech jego synów, z profesorem medycyny Tadeuszem Ostrowskim – żonę oraz dr. Stanisława Ruffa z całą rodziną, z profesorem medycyny Janem Grekiem – żonę oraz Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

Niemcy nie zwlekali z egzekucją: 4 lipca na Wzgórzach Wuleckich jednostka specjalnego przeznaczenia (Einsatzkommando zur besonderen Verwendung) straciła czterdzieści osób, a nazajutrz – dwie. Przepadli gdzieś dwaj aresztowani profesorowie Akademii Handlu Zagranicznego. Jako ostatni zginął 26 lipca prof. Kazimierz Bartel – na Wzgórzach Wuleckich lub w więzieniu przy Łąckiego. Rzeczpospolita straciła słynnych uczonych z Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki Lwowskiej, Akademii Handlu Zagranicznego i Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

NA STRACENICZEJ PLACÓWCE

Więzienia w Małopolsce Wschodniej zapępiały się w zastraszającym tempie, Lanckorońska wyruszyła więc do Lwowa w listopadzie 1941 r. z Adamem Ronikierem, żeby przygotować się do organizacji sieci Komitetów Pomocy. Tymczasem zrozpaczone rodziny nadal szukały ofiar lipcowej branki. „Przychodziła pani Longchamps, której w pierwszej chwili nie poznałam, bo pamiętałam pełną temperamentu i wesołości blondynkę, a przyszła siwa starsza pani. »Takiej defilady jak ja chyba na świecie nie odebrał nikt. Gdy ich wyprowadzali, najpierw szedł mój mąż, potem syn najstarszy, potem

drugi, wreszcie trzeci«. Spokój, z jakim to mówiła, był prawie nie do wytrzymania” – wspominała Lanckorońska.

Za swój obowiązek uznała zbadanie sprawy zaginionych 250 inteligentów aresztowanych w Stanisławowie 8 i 9 sierpnia 1941 r. z rozkazu miejscowego dowódcy gestapo i Służby Bezpieczeństwa Hauptsturmführera SS Hansa Krügera. Dotarła do miasta na początku 1942 r. jak „zamrożony zając” po wielu godzinach jazdy pociągiem w trzydziestostopniowym mrozie.

Zanim spotkała się z osławionym zarządcą więzienia gestapo, zasięgnęła języka u szefa aresztu resortu sprawiedliwości prokuratora Rottera. Pijany urzędnik Rzeszy na postawione wprost pytanie, gdzie jest cała inteligencja Stanisławowa, wybuchnął krzykiem: „Wszyscy od dawna nie żyją! Krüger ich rozstrzelał!”. Mówił prawdę: aresztowanych wywożono nocą z 14 na 15 sierpnia 1941 r. do Czarne Lasu w okolicy wsi Pawełcze, gdzie zabijano ich strzałem w tył głowy. Rodziny wierzyły jednak, że żyją...

Gdy weszła do gabinetu Hauptsturmführera SS, z fotela podniósł się „człowiek bardzo wysoki, raczej otyły, młody [...], z szeroką szczęką”. Nie zdołała jeszcze ochłonać po świeżo usłyszaną rewelacji, a już musiała z udawaną obojętnością rozmawiać z oprawcą o dożywianiu więźniów. Zezwolił na dostarczenie tylko koców i bielizny.

Z objazdu po południowo-wschodnich powiatach II RP wróciła wstrząśnięta szerzącym się tam głodem. „Przeszkody, z jakimi tam musiała walczyć każda akcja pomocy, były dziesięciokrotnie większe niż na zachodzie” – pisała. Próby założenia legalnego Komitetu Pomocy w Stanisławowie udaremnił Krüger, zatrzymując osoby starające się o zgodę gestapo.

W tej sytuacji władze RGO zaproponowały jej, by przeniosła się tam na kilka tygodni jako tymczasowy komisarz na cały Distrikt Galizien. W Stanisławowie pojawiła się w marcu 1942 r. – i już nie wróciła wolna.

PIERWSZE STARCIE

Trzydziestojednoletni Hans Krüger, z którym przyszło zmierzyć się wielbicielce włoskiej sztuki renesansowej, spędził wczesną młodość w szeregach Stahlhelmu, później SA i wreszcie od 1930 r. NSDAP, utrzymując się z gry w kapeli na potańcówkach. Za burdy uliczne i bijatyki z komunistami trafił w Berlinie do aresztu, później przewoził bojówce SA, a w 1938 r., gdy czterdziestoletnia docent Karolina Lanckorońska wykładała na Uniwersytecie Jana Kazimierza, został członkiem SS.

Organizator i komendant niemieckiej szkoły policyjnej w Rabce w 1939 r., ukończył w 1940 r. kurs w berlińskiej Szkole Dowódców SS i Policji Bezpieczeństwa. Do Stanisławowa ten sadystyczny morderca trafił w sierpniu 1941 r.

Irytowała go wyniosła Polka, która usiłowała tuż pod jego nosem prowadzić jakąś działalność – charytatywną, a może i podziemną. Wezwał Lanckorońską na przesłuchanie, podczas którego na pytanie: „Czy pani jest wrogiem Niemiec?”, usłyszał: „Pan wie, że jestem Polką, i wie pan również, że Polska jest w wojnie z Niemcami”, a później „Oczywiście, że tak”, wpadł w szal. „Krzyczał, tupał nogami i walił pięściami w stół – wspominała Lanckorońska. – Wysłuchałam tego wszystkiego spokojnie [...]. Coraz to sam sobie swój potok złorzeczeń na Polaków przerywał, robiąc mi wyrzuty za mój spokój i obiecując, że mnie wyprowadzi z równowagi. To mnie oczywiście jeszcze bardziej uspokajało”.

Lanckorońska oświadczyła, że odnosi się „z entuzjazmem” do konspiracji. „Być może dla zbyt szczerego usposobienia i dlatego, że jestem bardzo wysoka, mówię dużo i głośno, silnie gestykuluję, uważano, że nie nadaję się na konspiratorkę, co jest słuszne, bo nie widzę siebie rzucającej bomby pod pociągi” – wyjaśniła. Zaskoczony takim dictum gestapowiec osłupiał i ją wypuścił – wszakże nie na długo.

KAT ZE WZGÓRZ WULECKICH

Do stanisławowskiego więzienia wróciła w maju 1942 r. w charakterze aresztowanej. Podczas pierwszego przesłuchania dowiedziała się od Krügera, że pojedzie do KL Ravensbrück „jako renegatka”, bowiem jej matka była Niemką. „To jest nominacja” – odrzekła. Znowu doprowadziła gestapowca do wściekłości: zamiast okazać strach chciała wiedzieć, kiedy dokładnie wyjedzie; cytowała fragmenty Schillera i zapewniała go, że jej żelazne zdrowie pozwoli jej przetrwać obóz – jeżeli tam dotrze, bowiem nie spodziewa się, by miała wyjść z więzienia z życiem. Zapytana, co myśli o nim w Stanisławowie, przypominała aresztowanie 250 osób.

Wtedy wyrzucił z siebie potok słów, który oszołomił Lanckorońską. „Profesorowie uniwersytetu! Ha, ha, to moje dzieło, moje! Dziś gdy pani już nie wyjedzie, mogę jej to powiedzieć!”. „A więc oni nie żyją, a mordercą jest TEN!” – ta myśl zawładnęła nią tak dalece, że nie słuchała go przez trzy godziny. Dotarło do niej tylko, że Krüger okaże jej swoją „rycerskość”, co miało zapewne oznaczać, że nie będzie katowana, więc oświadczyła, że życzy sobie być traktowana na równi z innymi Polakami.

Kolejne dni spędziła, przygotowując się duchowo na śmierć. „Starałam się tak nastawić, aby mnie chwila odwołania zastała możliwie gotową – czytamy we wspomnieniach. – Ale miałam w tym [...] trudności prawie nie do pokonania. Niemal zawsze, gdy już dochodziłam do pewnego stopnia wewnętrznego skupienia w modlitwie i oderwania od życia, coś we mnie zaczynało krzyczeć: »Pilnuj się, aby ci się charakter nie rozlaźł w tej niewoli, a nie wybieraj się na tamten świat, bo będziesz żyła«”.

Wewnętrznym spokojem Lanckorońska budziła zdumienie więźniarek – niektóre podejrzewały ją nawet o chorobę psychiczną. Słuchała odgłosów egzekucji w podworcu, towarzysząc odchodzącym modlitwą z ocalonym podczas rewizji krzyżykiem z Asyżu w ręku.

POD SPECJALNYM NADZOREM HIMMLERA

Tydzień odsiedziała w ciemnicy, ponieważ zapewniła nachodzącego ją Krügera, że nie zaszła w jej poglądach żadna zmiana. W niewielkiej, pozbawionej okien, brudnej celi w suterenie czekała na rozstrzelanie. Niezwykłe były jej hart ducha i zdolność przetrwania: „Wynalazłam przyjemny sposób spędzania dnia. Przenosiłam się wyobraźnią codziennie do jednej z wielkich galerii europejskich i oglądałam obrazy”. Dwa razy odwiedził ją Krüger, słysząc jednak, że nadal się „nie zmieniała”, wychodził wściekły.

Gdy opuściła ciemnicę, więzienie konało z głodu. Wszyscy słabli z dnia na dzień, co rano z cel wynoszono trupy. Resztkami sił kobiety odmawiały litanie, a ona wypatrzyła przez okno ciemnobłękitny skrawek nieba, który przypominał jej Włochy i „niezmiernie wiele piękna”, jakiego zaznała w życiu. Pewnej nocy wywołano ją nieoczekiwanie z celi, oddano jej rzeczy – nawet 4 tys. zł od Delegatury Rządu na żywność dla więźniów. Były to pieniądze z „drugiej kasy”, o której nie wiedzieli nawet jej przełożeni z RGO, bo ukrywała przed nimi swoją przynależność do podziemia. 7 lipca 1942 r. została wywieziona do lwowskiego więzienia przy Łąckiego.

Tam wyczerpana i wygłodzona stanęła przed obliczem Untersturmführera SS Waltera Kutschmanna, który dopytywał ją o koneksje z włoską rodziną królewską, bowiem ktoś z dynastii sabaudzkiej interweniował w jej sprawie u samego Reichsführera Heinricha Himmlera. Przejęty szczególną pozycją Lanckorońskiej

zapewniał, że zostanie w ciągu tygodnia zwolniona i że sam Reichsführer kazał przewieźć ją do Lwowa oraz obchodzić się z nią należycie. Dopiero po wojnie dowiedziała się, że na prośbę brata Antoniego upominał się o nią daleki krewny Roffredo Caetani, zaprzyjaźniony z żoną włoskiego następcy tronu Humberta II Marią Józefą Belgijską.

NIEBEZPIECZNA ROZGRYWKA

W rozmowie z Kutschmannem wyczuła jego niechęć do Krügera, podjęła więc próbę wykorzystania go przeciwko stanisławowskiemu katowi. Kutschmann ulepiony był z tej samej gliny co jego rywal, uczestniczył w egzekucjach – także na Wzgórzach Wuleckich, do czego sam się przyznał, a historia jego romansu z siedemnastoletnią Żydówką, którą zastrzelił, gdy się rozchorowała, świadczyła o stopniu jego degeneracji. Ale ze strachu przed Himmlerem gotów był ulżyć losowi polskiej hrabiny, dać jej osobną celę i dostarczać książki.

Wtedy Lanckorońska poprosiła o rozmowę w cztery oczy. „Nawet dziś, po latach, trudno mi jest wytłumaczyć rozumowo swoje postępowanie – wspominała. – Czułam, że ten akt pozornie szaleńczy jest koniecznością, że trzeba temu człowiekowi dać wszelką możliwą broń do ręki, by mógł zwalczyć swego osobistego przeciwnika, a naszego kata”. Złożyła donos na Krügera, informując, że wyznał jej prawdę o swoim udziale w zbrodniach lwowskiej i stanisławowskiej, zdradzając tajemnicę państwową. „Czy pani gotowa dać mi to na piśmie?” – zapytał Kutschmann. Zaręczył, że Krüger nigdy się nie dowie o jej udziale w sprawie, więc hrabina nie musi obawiać się, że ściągnie swoim zeznaniem zemstę na rodaków. „Pismo pani muszę zawieźć osobiście do Berlina” – zakomunikował.

W oficjalnym protokole z przesłuchania znalazło się oświadczenie Lanckorońskiej, że jest Polką, że uznaje jedynie niepodległe państwo polskie i jest gotowa ponieść wszystkie tego konsekwencje. Na spisanie przez nią poufnej relacji obiecał poczekać i zaproponował jej spacer po Lwowie – bez obstawy. Zadowolili się słowem honoru, że po godzinie wróci.

Dał jej niezwykle okazję do ucieczki, odrzuciła jednak taką myśl. Perspektywa pograżenia, a zarazem unieszkodliwienia Krügera przeważała nad jej osobistym interesem. Po kilku dniach wręczyła Kutschmannowi czternaście stron maszynopisu i poprosiła o prawo do pracy w charakterze więziennej sanitariuszki.

OSZUKANA

„Jeden z najlepszych okresów ze wszystkich lat wojennych”, gdy mogła opiekować się chorymi, skończył się w sierpniu 1942 r. Kutschmann twierdził, że odebrał jej to prawo na rozkaz z góry. Wolno jej było nadal korzystać z książek, co zaowocowało całymi stronami niezwykle ciekawych zapisków więziennych – refleksjami z lektury Szekspira, Marka Aureliusza, Homera, Dantego, Tukidydesa oraz notatkami do monografii o Michale Aniele.

Czytała i pisała, modląc się równocześnie za prowadzonych na kaźń, choć słów „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom” nie mogła wypowiedzieć. Dobiegały ją jęki katowanych, krzyki mordowanych Żydów, ryki esesmanów, płacz dzieci. Praca umysłowa nie stanowiła ucieczki od rzeczywistości, w którą była zbyt głęboko zanurzona – miała swoje źródło w naturalnej dla niej potrzebie refleksji nad ludzką kondycją w zdziśiałym świecie.

Pod koniec listopada, gdy straciła już nadzieję na powodzenie „operacji Krüger”, wrócił z Berlina Kutschmann. Triumfalnie ogłosił, że jego wróg upadł, jej sprawozdanie czytał Hitler, Himmler szalał ze złości, postanowiono powołać ją na świadka w procesie Krügera i na konfrontację z nim pojedzie za dwa dni do Berlina. Do obozu nie trafi – zapewniał. „Na pani spoczywa wielka odpowiedzialność wobec jej narodu” – oświadczył uroczyście.

Nie sposób przytoczyć wszystkich fantazji, którymi ją uraczył. Dała im wiarę, bowiem była zbyt szlachetna, by podejrzewać o podłe kłamstwa człowieka, który przysięgał na honor.

W rzeczywistości „upadek” Krügera nie był ostateczny, choć musiał w sierpniu 1942 r. opuścić ziemie polskie. Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy zarzucił mu zdradę tajemnicy służbowej, został zdegradowany do rangi Untersturmführera SS i spędził kilka miesięcy w areszcie. Jego sprawę umorzono na rozkaz Himmlera, po czym przywrócono mu w połowie 1943 r. dawny stopień i wysłano go do Francji, a później do Holandii.

Karolinę Lanckorońską wywieziono natomiast do berlińskiego więzienia, skąd została zabrana w styczniu 1943 r. transportem do Ravensbrück.

W PIEKIELNYM KRĘGU

Przez pierwsze dwa miesiące trzymano ją w obozowym baraku z innymi kobietami. Po długim czasie izolacji czuła się dobrze mimo zimna i głodu – znów była między ludźmi.

Podczas obowiązkowego badania lekarskiego poznała ponurą tajemnicę Ravensbrück: pseudomedyczne eksperymenty przeprowadzane na młodych kobietach. Dziewczyna z literą „P” na pasiaku zaprowadziła ją potajemnie do sali z pięcioma operowanymi Polkami. „»Pani może wyjdzie z życiem i ma dużo znajomych zagranicą« – szepnęła. [...] Najbliżej drzwi leżała młodzieńka dziewczyna, mająca lat może dwadzieścia. [...] wyraz jej twarzy zdradzał tylko cierpienie i bezgraniczną rezygnację. [...] u niektórych zauważyłam dwie lub trzy stare blizny z poprzednich operacji, po 20 cm długości, powyżej lub poniżej kolana”. Rany zakażano bakteriami, by sprawdzić działanie sulfonamidów. Informację o tych praktykach przekazała do kraju.

Kłopotliwą polską arystokratkę, o którą dopytywali się Sabaudowie, umieszczono w osobnym pokoju w tzw. bunkrze. Znow znalazła się w samotności. Chociaż dostała pokój z łóżkiem i białą pościelą, usiłowała wymusić na komendancie obozu głodówkami, by traktowano ją jak inne Polki. Raz jeszcze wróciła sprawa Krügera i lwowskiej zbrodni: w maju 1943 r. przesłuchiwał ją jakiś esesman tylko po, żeby przekonać się, czy nie zechce zmienić swoich zeznań. Po kilku miesiącach wywalczyła sobie wreszcie powrót do obozu.

„Z wielką radością przyszyłam sobie znow numer i trójkąt do pasiaka” – zanotowała. Przetrwała wiele selekcji, wdychała dym krematorium, prowadziła wykłady z kultury starożytnej, opiekowała się chorymi. I zbierała strzępy informacji o sytuacji w kraju oraz na frontach. W lutym 1945 r. poznała treść układu w Jałcie i pojęła, że nie ma już Ojczyzny.

Wolność nadeszła nieoczekiwanie 5 kwietnia dzięki staraniom Carla Burckhardta, prezesa Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Przekroczyła bramę obozową tyłem, żegnając żywych i umarłych. „Szłam na zachód, oddalając się z każdym krokiem od Polski” – zapamiętała.

BEZ WINY, BEZ KARY

Wyjechała do Włoch w 1945 r., podczas gdy pojmany, ale nierozpoznany przez Holendrów Hans Krüger został wypuszczony. Wiodło mu się niezgorzej – dorobił się fortunki jako właściciel firmy budowlanej w Westfalii. Usiłował nawet wypłynąć na szersze polityczne wody, startując w 1954 r. w wyborach do krajowego parlamentu z ramienia Związku Wypędzonych – bez powodzenia.

Aresztowany dopiero w 1962 r., stanął po pięciu latach przed sądem w Münsterze za morderstwa stanisławowskich Żydów. Lanckorońska natychmiast wysłała



■ KAROLINA LANCKOROŃSKA WE WŁOSZACH JAKO OFICER PRASOWY
PRZY 2 KORPUSIE POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH NA ZACHODZIE, 1945 R.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

list do niemieckich władz sądowych z prośbą o powołanie jej na świadka w sprawie zagłady lwowskich uczonych. Żadne z jej pism nie doczekało się odpowiedzi, sięgnęła więc po groźbę: jeżeli nie zostanie wezwana do Münsteru, ogłosi swoje listy w prasie. Dopiero wtedy ją zaproszono.

Przez 65 minut przedstawiała na sali sądowej oskarżenie pod adresem Krügera. Gdy skończyła, zaatakował ją prokurator, wypominając polskiemu podziemiu współpracę z bolszewikami. „Jasne było, że prokurator, dla którego byłam koronnym świadkiem, chce zniszczyć wrażenie, jakie na obecnych zrobiło moje oskarżenie, ale że nie ma o niczym pojęcia” – zauważyła.

Spotkała się z dziennikarzami zainteresowanymi tylko kwestią żydowską, a po ogłoszeniu wyroku dożywocia dla Krügera za eksterminację Żydów odbyła rozczarowującą rozmowę z szefem Żydowskiego Centrum Dokumentacji Szymonem Wiesen-



■ Z PAPIEŻEM JANEM PAWŁEM II – UROCZYSTOŚĆ
NADANIA KAROLINIE LANCKOROŃSKIEJ ORDERU
ŚWIĘTEGO GRZEGORZA WIELKIEGO, 1998 R.
FOT. PAUART.PL

thalem, który „z rezerwą” potraktował jej starania o wytoczenie zbrodniarzowi procesu za mord polskich elit. Interwencje u niemieckich władz nie przyniosły rezultatu. Zwolniony po dziewiętnastu latach Krüger zmarł w 1988 r.

Nie jemu jednemu Niemcy darowali zbrodnie popełnione na ziemiach polskich – dość przypomnieć kata Woli Heinza Reinefartha, który dożył swoich dni w RFN jako szanowany prawnik, i wyższego dowódcę SS i policji GG Wilhelma Koppego, po wojnie dyrektora fabryki

czekolady w Bonn, zwolnionego w trakcie procesu w 1966 r. ze względu na stan zdrowia. Kim był przy nich jeden z tysięcy pospolitych rzeźników, którzy zabijali Polaków gdzieś daleko na Wschodzie?

BIBLIOGRAFIA

Albert Z., *Każń profesorów lwowskich. Lipiec 1941. Studia oraz relacje i dokumenty*, Wrocław 1989.

Lanckorońska K., *Wspomnienia wojenne. 22 IX 1939 – 5 IV 1945*, Kraków 2022.

Schenk D., *Noc morderców. Każń polskich profesorów we Lwowie i holokaust w Galicji Wschodniej*, Kraków 2012.



Anna Zechenter (ur. 1959) – redaktor „Biuletynu IPN”. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych działaczka antysystemowej opozycji. Autorka książek: *KGB gra w szachy* (2010); *Kremlowskie trucizny* (2012); *Pod czerwoną okupacją. Adam Macedoński w rozmowie z Anną Zechenter* (2013); (z D. Gorajczykiem, M. Komaniecką, K. Samsonowską i M. Szpytmą) *Zbrodnia katyńska („Teki Edukacyjne IPN”, 2014)*; (z H. Głębockim, D. Gorajczykiem, M. Masłowskim, P. Naleźniakiem), *„Operacja polska” NKWD 1937–1938. Losy Polaków w Rosji bolszewickiej i w ZSRS do 1939 roku* (2017); *Czerwony marsz na Zachód 1918–1919* (2018); *Zagłada Polaków w Związku Sowieckim. Od przewrotu bolszewickiego do „operacji polskiej”* (2019); *Zmowa 1939. Pakt Stalin–Hitler* (2019) i in.



MARIUSZ ŚWIĄTEK

WYSIEDLENIE I ZNISZCZENIE JAŚŁA W 1944 ROKU

Wydawało się, że jest już blisko końca okupacji niemieckiej. Sowietzi wkroczyli do pobliskiego Krosna i... zatrzymali się. Niemcy rozpoczęli wówczas wysiedlanie mieszkańców Jasła, a następnie grabili, palili, wysadzali w powietrze budynki. Zniszczyli miasto.

MIASTO Z PONADSZEŚĆSETLETNIĄ HISTORIĄ

Jasło na przestrzeni dziejów przeżywało okresy rozkwitu i stagnacji. Wielokrotnie padało łupem wrogich najazdów, dorobek mieszkańców trawiony był też przez pożary, jak ten z 1826 r., gdy zniszczeniu uległa zabudowa w Rynku.

Miasto było liczącym się ośrodkiem handlowym, a pod koniec XVIII w. stało się siedzibą cyrkułu, ważnym ośrodkiem administracji. Rozkwit Jasła nastąpił



■ GEN. OTTO OBENAUŠ FOT. DOMENA PUBLICZNA

w drugiej połowie XIX w., gdy w okresie tzw. autonomii galicyjskiej władze samorządowe prowadziły racjonalną gospodarkę, inwestowały w oświatę i w rozbudowę miejscowości. Po doprowadzeniu do miasta linii kolejowej, a następnie jej połączeniu z Rzeszowem, Jasło stało się liczącym węzłem komunikacyjnym. Wydarzeniem o szczególnym znaczeniu było utworzenie w 1868 r. gimnazjum. Wpłynęło to na demograficzny rozwój miasta. Jasło uważane jest również za kolebkę przemysłu naftowego. To tu Ignacy Łukasiewicz uruchomił pierwszą działającą na skalę przemysłową rafinerię.

Miasto było ośrodkiem życia politycznego. Jego mieszkańcy aktywnie włączyli się w walki podczas Powstania Styczniowego, a potem wsparli organizację Legionów. Podczas I wojny światowej na terenie Jasła i ziemi jasielskiej sześciokrotnie przesuwiała się linia frontu. W mieście uległo zniszczeniu kilka budynków i obiekty rafinerii w Niegłowicach.

PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ

Niemcy zajęli Jasło 8 września 1939 r. Władzę w nim przejęła początkowo administracja wojskowa, a następnie cywilna administracja niemiecka. Jasło i powiat jasielski miały dla okupanta szczególne znaczenie. Pod względem gospodarczym najistotniejszy był przemysł naftowy, zlokalizowany na terenie powiatu. Przez ziemię jasielską prowadziły szlaki kurierskie, którymi polscy patrioci byli przetrzucani na Węgry i do polskich oddziałów we Francji i w Wielkiej Brytanii. Na terenie miasta i powiatu działały struktury Polskiego Państwa Podziemnego, które prowadziły działania przeciw okupantom. Najbardziej spektakularna była akcja „Pensjonat” przeprowadzona w 1943 r. Pięcioosobowy oddział AK uwolnił wówczas 133 więźniów z jasielskiego więzienia. Za działalność niepodległościową wielu mieszkańców oddało życie lub było więzionych w obozach koncentracyjnych.

NADZIEJA I POGŁOSKI

Po wyzwoleniu Krosna 11 września 1944 r. mieszkańcy Jasła żywili nadzieję na szybkie zakończenie wojny. Niestety, Rosjanie wstrzymali ofensywę i front zatrzymał się kilka kilometrów przed Jasłem. Zamiast spodziewanego wyzwolenia, mieszkańców czekała przymusowa ewakuacja. Na rozkaz gen. Ottona Obenausa (dowódcy 545 Dywizji Grenadierów) i Kreishauptmanna Waltera Gentza w dniach 13–15 września mieszkańcy zostali wysiedleni, a w kolejnych miesiącach miasto zostało ograbione i całkowicie zniszczone.

Pogłoski o wysiedleniu krążyły po Jasle jeszcze przed 13 września 1944 r. Docierały one między innymi z drukarni, gdzie przygotowywane były afisze z niemieckim zarządzeniem. Informacje takie rozpowiadał również personel szpitala powiadomiony o ewakuacji już 10 września. 12 września 1944 r. starosta Gentz poinformował oficjalnie burmistrza Jana Pyrka o planowanym wysiedleniu. Jaślanie przerażeni perspektywą opuszczenia miasta starali się wpłynąć na decyzję Niemców. Nie przyniosły jednak skutku rozmowy prowadzone z Gentzem przez delegację mieszkańców z adwokatem dr. Feliksem Warchałowskim na czele. Generał Obenaus nawet nie przyjął delegacji. 13 września 1944 r. zostały rozlepione afisze, w językach niemieckim i polskim, wzywające do opuszczenia miasta do godziny osiemnastej 15 września 1944 r. Po Jasle jeździł samochód, z którego przez głośniki powtarzano treść zarządzenia i grożono karą śmierci tym, którzy się nie podporządkują. Pod afiszem widniały podpisy Komendy Wojsk Niemieckich i starosty Waltera Gentza. Jeden z takich plakatów z narażeniem życia zerwał i przechował jaślanin Stanisław Lewek.

WYSIEDLENIE

Zgodnie z zarządzeniem ludność opuszczająca miasto miała udać się w okolice Biecza i Gorlic. Część mieszkańców nie wykonała rozkazu i pozostała w okolicznych wsiach, wierząc w możliwość szybkiego powrotu do domu. Wysiedlonym nie zapewniono żadnego środka transportu. Nawet chorych ze szpitala przenoszono na noszach na odległy o blisko kilometr dworzec kolejowy. Ludność opuszczająca miasto zabierała jedynie niewielkie bagaże z najcenniejszymi i najbardziej niezbędnymi rzeczami, niosąc je w rękach lub przewożąc wózkami, taczkami itp. Jedynie nieliczni wynajęli furmanki w okolicznych wsiach. Jednocześnie Niemcy

wyłapywali młodych mężczyzn do budowy umocnień w strefie frontowej. Szacuje się, że spośród osób, które pozostały w mieście, zamordowano około dwudziestu, a pozostałe wywieziono do rafinerii w Niegłowicach. Stworzono tam tymczasowy obóz, w którym przetrzymywano ujętych na terenie miasta, ostatecznie większość zatrzymanych zwolniono.

RABUNEK – TYSIĄC WAGONÓW

Niemal natychmiast po wyznaczonym terminie ewakuacji rozpoczęto systematyczny rabunek miasta. Przeprowadzał go specjalny oddział tzw. Räumungskommando. Grabieżą kierowali m.in. Ludwig Romeis – kierownik urzędu mieszkaniowego i powierniczego w Jasle. Skrupulatnie wywożono żywność, leki, wszystkie cenniejsze rzeczy, począwszy od wartościowych drobiazgów, na umeblowaniu mieszkań i urządzeniach zakładów przemysłowych skończywszy, nie oszczędzono nawet wyposażenia kościołów. Grabież dotyczyła zarówno dobytku osób prywatnych, jak i mienia publicznego. Zrabowane dobra wywożono kolejną (ponad tysiąc wagonów; uformowany z nich pociąg miałby 11 km) i samochodami ciężarowymi. W tym okresie na terenie Niemiec trwała ewakuacja ludności z dużych miast, narażonych na bombardowania, do małych miejscowości. Część mienia zagrabionego w Jasle trafiała do przesiedlanej ludności niemieckiej. Z dokumentów wynika, że pociągi były kierowane m.in. do Wilhelmshaven, Bremy i Berlina.

Nim wysiedlono mieszkańców, ewakuowano zakłady przemysłowe i wyposażenie urzędów. W pierwszej kolejności wywożono urządzenia z zakładów zajmujących się wydobywaniem ropy naftowej i gazu ziemnego, w tym większość wyposażenia rafinerii nafty w Niegłowicach.

Ze skrupulatnością godną niemieckiego urzędnika prowadzono rejestry dzienne zagrabionego i wywiezionego z Jasła mienia. Dokumenty te przetrwały i są dziś dowodem zbrodni. Archiwa zostały przejęte przez oddziały amerykańskie i trafiły do Stanów Zjednoczonych. Po II wojnie światowej sporządzono ich mikrofilmy i przekazano do państw, których dotyczyły. Dokumenty były przechowywane i kopiowane w Forcie Aleksandria, dlatego potocznie nazywa się je mikrofilmami aleksandryjskimi. Obecnie znajdują się w Archiwum Akt Nowych w Warszawie.



■ RUINY DWORCA
KOLEJOWEGO W JAŚLE.



DWORZEC KOLEJOWY W JAŚLE.

PLANOWE ZNISZCZENIE MIASTA

Już we wrześniu 1944 r. rozpoczęto przygotowania do zniszczenia Jasła. Zada-
nie to powierzono m.in. 1545 Kompanii Saperów z 545 Dywizji Grenadierów
dowodzonej przez gen. Obenausa. Na marginesie, był on jednym z najlepszych
saperów w armii niemieckiej. Saperami dywizyjnymi dowodzili kpt. Kindermann
i por. Fink. Do niszczenia Jasła oddelegowano m.in. żołnierzy z kompanii karnych
i przymusowych robotników polskich.

Działania prowadzono według starannie opracowanego planu. W domach
rozkładano resztki mebli, które nasączano materiałami łatwopalnymi. Potem pod-

palano całe kwartały miasta. Używano również miotaczy ognia. Pozostałe ściany i większe budynki wysadzano w powietrze. Z relacji świadków wynika, że nie szczędzono materiałów wybuchowych. Tylko do zniszczenia klasztoru s. Wizytek użyto ich ok. 3 ton. Wysadzono wszystkie duże budynki w mieście: sąd okręgowy, ratusz, siedzibę rady powiatowej, więzienie, bank, szpital, elektrownię, wszystkie kościoły, zabudowania szkolne, dworzec kolejowy. Niszczenie trwało od września 1944 do stycznia 1945 r. Wycofujący się Niemcy jeszcze 15 stycznia 1945 r. wysadzili w powietrze budynek szkoły w Niegłowicach, w którego piwnicach ukrywało się około pięćdziesięciu osób. Na szczęście stropy budynku wytrzymały i nikt nie zginął.

Zapowiadane przez Niemców całkowite zniszczenie Jasła zostało zrealizowane niemalże w 100 proc. Pozostało morze ruin. Łącznie z obiektami przemysłowymi w Jasle przed zniszczeniem było 2211 budynków. Statystycznie wśród domów mieszkalnych straty wyniosły 81 proc., gospodarczych 90 proc., przemysłowych 92 proc., a użyteczności publicznej 67 proc. Straty miasta w mieniu ruchomym i nieruchomym zostały oszacowane na ok. 70 mln zł (ponad 13 mln dol.) po kursie przedwojennym.

Skala zniszczenia miasta była szokująca nawet dla samych Niemców. Przykładem może być kolejarz niemiecki Heinrich Müsch, który podczas pobytu w Jasle był zbulwersowany niszczeniem kościołów i ich wyposażenia. Zabezpieczył nawet szaty liturgiczne z kaplicy gimnazjalnej i zdeponował je w parafii w Nowym Sączu. Jego list przetrwał i jest dziś bezcennym świadectwem tamtych czasów.

Zniszczenie Jasła nie było podyktowane względami strategicznymi, ale stanowi przykład zastosowania przez okupanta niemieckiego taktyki wojny totalnej i pozostawienia po sobie spalonej ziemi. Wojska niemieckie opuściły Jasło 17 stycznia 1945 r. Już w tym dniu zaczęli powracać pierwsi wysiedleńcy. Z 15 tys. jaślan w styczniu 1945 r. wróciło do miasta tylko 460 osób. Rozpoczął się żmudny czas odbudowy. Za mieszkania służyły ocalałe piwnice i prowizoryczne schronienia urządzane wśród sterczących kikutów ścian. Przeprowadzono też pierwsze szacowanie szkód.

W roku 1950 w Jasle mieszkało 4728 osób. Do pierwotnego stanu 15 tys. mieszkańców Jasło powróciło dopiero w latach sześćdziesiątych XX w.

Do dziś nierozstrzygniętą kwestią jest, z jakiego powodu Jasło zostało potraktowane w ten sposób przez władze okupacyjne. Samo wysiedlenie było praktyką powszechnie stosowaną przez oddziały niemieckie. Grabież mienia mogła być podyk-

towana brakami wynikającymi z gospodarki wojennej, natomiast zniszczenie miasta nie miało żadnego uzasadnienia strategicznego. Wśród mieszkańców Jasła panuje powszechne przekonanie, że głównym sprawcą zniszczenia miasta był Walter Gentz.

GLÓWNY SPRAWCA?

Walter Gentz urodził się w 1907 r. w Düsseldorfie. Skończył studia prawnicze i uzyskał tytuł doktora praw. Od 1932 r. był aktywnym członkiem NSDAP. W październiku 1939 r. został skierowany do Jasła jako inspektor finansowy. Od 10 lutego 1941 do stycznia 1945 r. był starostą powiatu jasielskiego. Jest odpowiedzialny za eksterminację ludności polskiej i żydowskiej w powiecie jasielskim (niejednokrotnie sam rozstrzeliwał skazanych). Po zakończeniu II wojny światowej, podczas międzynarodowego śledztwa, uniknął odpowiedzialności za zbrodnie wojenne i wrócił do rodzinnego Düsseldorfu, gdzie pracował jako prawnik i pełnił wysokie funkcje publiczne w administracji landu Nadrenia Północna-Westfalia. Dopiero w roku 1963 wznowiono śledztwo w sprawie jego zbrodni wojennych. Walter Gentz został aresztowany i w czasie procesu popełnił samobójstwo.

Gentz, będąc starostą, przez kilka lat poświęcił się idei przekształcenia Jasła w miasto niemieckie. Służyły temu przebudowa ulic, fasad budynków, ratusza, ujednolicenie szyldów sklepów i instytucji. Postarał się nawet o utworzenie tu mu-

■ RUINY STAROSTWA W JAŚLE.



zeum. Z Jasłem wiązały go sprawy rodzinne. Tu urodził się jego syn. Opuszczenie miasta było klęską jego wizji. Zabiegał więc o zniszczenie Jasła. Są relacje, że kilkakrotnie udawał się w tej sprawie do sztabu armii. Decyzja o zniszczeniu Jasła musiała mieć również akceptację władz Generalnego Gubernatorstwa i Sztabu Armii Niemieckiej, do jej przeprowadzenia zaangażowano bardzo duże środki.

BRAK SĄDU I ZADOŚĆUCZYNIENIA

Sprawcy wysiedlenia, grabienia i zniszczenia Jasła nie zostali nigdy ukarani. Generał Otto Obenaus zaginął lub zginął w Osobnicy 15 stycznia 1945 r., natomiast po samobójstwie Gentza proces zawieszono i nie ogłoszono wyroku.

Wysiedlenie i zniszczenie Jasła pozostają do dziś swego rodzaju precedensem. W zasadzie bez powodu i bez prowadzenia działań wojennych zgładzono miasto. Zniszczenia były tak ogromne, że powstały plany utworzenia swego rodzaju skansenu, który miał pokazywać skalę zniszczeń i bestialstwo wojny. Planowano również, by jednemu z miast na ziemiach zachodnich nadać imię Jasło i tam przesiedlić mieszkańców. Ostatecznie jaślanie odbudowali swoje miasto. Udało się zrekonstruować kilka obiektów, które ukazują, jak Jasło wyglądało przed zniszczeniem.

W Muzeum Regionalnym w Jaśle udało się zgromadzić wykonane po wojnie fotografie ukazujące zniszczenia. Są bezcennym dowodem tamtych czasów. Obrazują również skalę wysiłku, jaki mieszkańcy włożyli w odbudowanie i rozbudowanie swojego miasta. Wielu dawnych mieszkańców nie wróciło po wojnie do zniszczonego Jasła. Dziś ostatni żyjący świadkowie i ich potomkowie są ambasadorami miasta rozsianymi po całym świecie. Dzięki nim udaje się pozyskać nieznane wcześniej dokumenty i fotografie ilustrujące te tragiczne wydarzenia. Mieszkańcy odbudowali swoje miasto, ale wciąż zadają sobie pytanie, dlaczego Jasło zostało w ten sposób potraktowane.



Mariusz Świętek (ur. 1968) – historyk, dyrektor Muzeum Regionalnego w Jaśle. Autor książek: *Szlak dziedzictwa kulturowego w subregionie magurskim: Dębowiec, Krempna, Nowy Żmigród, Osiek Jasielski* (2008); (z F. Jałosińską i Z. Świstakiem) *Klasztory w życiu Jasła na przestrzeni jego dziejów* (2016); (z B. Czajką) *50 lat Muzeum Regionalnego w Jaśle* (2019) i in.



ANNA ZIÓŁKOWSKA

NIEMIECKI OBÓZ W ŻABIKOWIE

Więzienie Policji Bezpieczeństwa i Wychowawczy Obóz Pracy w Żabikowie (Polizeigefängnis der Sicherheitspolizei und Arbeitserziehungslager in Posen-Lenzingen) rozpoczęły funkcjonowanie wiosną 1943 r. Do 27 kwietnia 1944 r. działały równoległe z niemieckim obozem w Forcie VII w Poznaniu, którego były kontynuacją.

Obóz w Żabikowie stał się miejsce kaźni wielu polskich konspiratorów.



Obóz kompetencyjnie podlegał placówce kierowniczej Tajnej Policji Państwowej w Poznaniu (Geheime Staatspolizei, Staatspolizeileistungsstelle Posen, gestapo). Więziono tam przede wszystkim Polaków mieszkających w rejonach poznańskiej i inowrocławskiej, tj. na terytorium wchodzącym w okresie okupacji niemieckiej w skład jednostki administracyjnej nazwanej okrugiem Rzeszy Kraj Warty (Reichsgau Wartheland). Utworzenie

obożu w Żabikowie, podpoznańskiej wsi, włączonej w 1942 r. w granice Poznania do dzielnicy Junikowo, wynikało z podjętej przez gestapo decyzji o przekazaniu Fortu VII na potrzeby Wehrmachtu. Pierwotnie na założenie nowego obozu wybrano dzielnicę Poznania – Starołęka. Z powodu wysokich kosztów realizacji budowy obozu zrezygnowano z tej lokalizacji i postanowiono utworzyć go w Żabikowie w nieczynnej cegielni należącej przed wojną do polskiej rodziny Suwalskich. Wykorzystano istniejące budynki murowane oraz przeniesiono na ten teren drewniane baraki pozostałe po likwidacji istniejącego wcześniej w Żabikowie obozu pracy przymusowej dla Żydów (Reichsautobahnlager Poggenburg), których zatrudniono do budowy odcinka autostrady Frankfurt nad Odrą – Poznań. Nowe miejsce odosobnienia było położone peryferyjnie, w znacznej odległości od stacji kolejowej w Luboniu i poznańskiej siedziby gestapo przy dzisiejszej ul. Ratajczaka (ówczesnej Ritterstrasse).

WARUNKI ŻYCIA W OBOZIE

Obóz o powierzchni ok. 3,75 ha otoczony został wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego pod napięciem. Przed ewentualną ucieczką więźniów został zabezpieczony drugim pasem ogrodzenia. Rodzaj zapory stanowiły zwoje drutów umieszczone pomiędzy pierwszym a drugim pasem ogrodzenia. Od ul. Mollwitzer Weg (dzisiejsza ul. Niezłomnych w Luboniu) rozciągał się na długość ok. 140 m wysoki mur. W trzech narożnikach ustawiono wieże strażnicze. Obóz podzielono na części kobiecą i męską. Wydzielony sektor polityczny był dodatkowo odgrodzony od reszty obozu płotem z drutu kolczastego. Więźniów osadzono w ośmiu nieskanalizowanych drewnianych barakach oznaczonych literami: D (barak kobiecy), E, F, G, H, J, K, L. Baraki były podzielone na cele, w których przetrzymywano 50–70 więźniów¹. W większości baraków więźniowie spali na podłodze w dużym zagęszczeniu, najczęściej bez żadnego okrycia. Tylko nieliczni znaleźli miejsce na jednopiętrowych pryzkach, na których spały najczęściej po dwie osoby. Okna w barakach były szczelnie zamykane, a w nocy dodatkowo zamykano zewnętrzne okiennice. „Wszystkie okna baraków były pomalowane na białą. Na szybach wskrobałyśmy nieco farby, aby można było obserwować, co się dzieje w obozie – wspomina Anna Łagunowa. – Mogłyśmy więc często obserwować

¹ M. Olszewski, *Straty i martyrologia ludności polskiej w Poznaniu*, Poznań 1973, s. 112–113.

różne karne ćwiczenia, stosowane wobec więźniów na dziedzińcu przed basenem napełnionym wodą. Ćwiczenia te to osławiona »żabka«, »padnij«, »powstań«, czołganie się i inne. Towarzyszyło im bicie i wrzaski»².

Zimą dokuczał więźniom przenikliwy chłód, a latem trudny do wytrzymania zaduch bez względu na porę roku potęgowany smrodem wydobywającym się ze stojących w kątach cel wiader z nieczystościami. Gertruda Leńska, jedna z więźniarek, tak opisuje warunki panujące w baraku D: »W celi znajdowało się kilkadziesiąt więźniarek [...]. Warunki sanitarne w obozie i celi były fatalne. W nocy leżałyśmy pokotem, w odzieży roboczej, jedna obok drugiej, bez koców, na gołej, brudnej posadzce. Pod głowę podkładałyśmy (z obawy przed kradzieżą) obuwie zdejmowane na noc, a przydzielony ręcznik owijałyśmy dookoła szyi. W przedsionku celi stały dwa wiadra, do których więźniowie załatwiali w czasie od wieczora do rana swoje potrzeby fizjologiczne»³.

Dzień obozowy zaczynała pobudka o godzinie piątej rano, a następnie wszyscy popędzani brutalnie przez strażników stawali na placu apelowym. Po apelu więźniów, bitych i obrzucanych wyzwiskami, kierowano do łaźni, gdzie w szybkim tempie wykonać musieli niezbędne czynności higieniczne. Dodatkową udręką każdego obozowego poranka była wyczerpująca gimnastyka.

Przez cały okres osadzenia w obozie więźniom dokuczał nieustannie głód. Ich codzienny posiłek składał się m.in. z 150–250 gramów chleba, wodnistej zupy i ok. 2 l kawy »żołędziowej». »Codziennosc» obozową tak opisała Aleksandra Bielierzewska: »[rano – A.Z.] Wyprowadzają nas do ubikacji – wszystko w galopie – potem do umywalni i z powrotem do celi. Dają kawę [...]. W południe dają nam supę. W pierwszej chwili rzucamy się na nią łapczywie. Jesteśmy takie głodne [...]. Po skosztowaniu nie możemy jednak jeść. Wstrętne bryja z brudnej rzepy czy czegoś innego, o bardzo dziwnym smaku [...]. Wieczorem kawa z żółędzi i przydział chleba – bochenek chyba kilogramowy na osiem osób»⁴. Wsparciem od rodzin dla więźniów mogłyby być

² A. Łagunowa, *Niedola żabikowskich więźniarek*, [w:] L. Gomolec, S. Kubiak, *Terror hitlerowski w Wielkopolsce 1939–1945*, Poznań 1962, s. 80–83.

³ *W konspiracji wielkopolskiej 1939–1945: wybór wspomnień*, zebrał i wstępem oraz komentarzem opatrzył Z. Szymankiewicz, Poznań 1973, s. 199.

⁴ A. Bielierzewska-Markwitz, *Wspomnienia więźniarki Żabikowa*, oprac. tekstu i przypisy R. Wełniak, Żabikowo 2011, s. 14–15.



■ HANS REINHOLD WALTER.
FOT. BUNDESARCHIV/FACEBOOK

paczki żywnościowe, które jednak z rzadka dochodziły do osadzonych. Nadto każda paczka była ściśle kontrolowana przez załogę obozową, a wartościowe rzeczy przez nich kradzione. Niekiedy zdarzało się nawet, że cała zawartość paczki, bez względu na rodzaj jedzenia, była wrzucana do wspólnego kotła, w którym przygotowywano posiłki dla więźniów. Proceder ten potwierdza w swojej relacji Halina Piechelówna: „Nie otrzymywały-

śmy przez cały czas pobytu w obozie żadnych wiadomości z domu, mimo że – jak się później okazało – moja rodzina wysyłała do mnie systematycznie listy. Podobnie było z paczkami, które przekazywano po prostu do kuchni”⁵.

Osadzonych w tzw. karnej części obozu kierowano do ciężkich prac fizycznych w różnych komandach roboczych na terenie obozu bądź w Poznaniu, np. w zakładach Deutsche Waffen Munitionsfabrik AB (tj. w zakładach H. Cegielskiego), przy robotach ziemnych na lotnisku Ławica, w hucie szkła w Antoninku bądź przy budowie schronu przeciwlotniczego (przy dzisiejszej ul. Wieniawskiego). Więźniów tzw. politycznych wywożono na przesłuchania do siedziby gestapo w Poznaniu. Dzień obozowy kończył się o godzinie dziewiętnastej wieczornym apelem, po którym więźniów prowadzono do baraków i zamykano.

WALTER I INNI SADYŚCI

Uwięzienie w obozie żabikowskim oznaczało dla osadzonych całkowite podporządkowanie załodze wartowniczej (SS-Wachkommando) liczącej od osiem-

⁵ B. Bojarska, *Obóz w Żabikowie pod Poznaniem*, „Przegląd Zachodni” 1965, nr 2, s. 306.

dziesięciu do stu funkcjonariuszy, których cechowała bezwzględna brutalność i samowola. Codziennością życia obozowego były tortury, bicie, drwiny z uczuć religijnych i patriotycznych.

Pierwszym komendantem obozu został SS-Obersturmführer i inspektor policji Hans Reinhold Walter, który funkcję tę pełnił od 23 czerwca 1943 do 4 października 1944 r. Po nim stanowisko objął SS-Obersturmführer i inspektor policji Hugo Alfred Dietze, który zajmował je do likwidacji obozu w styczniu 1945 r. Dietze odpowiedzialny był za ewakuację pieszą więźniów do KL Sachsenhausen i śmierć ok. 160 osób, w tym chorych i niezdolnych do wyjścia z obozu. W obozie działała nadto placówka służby bezpieczeństwa (Sicherheitsdienst), której funkcjonariusze przesłuchiwali więźniów na miejscu i wykonywali wyroki w imieniu Policyjnego Sądu Doraźnego (Polizeistandgericht).

W pamięci więźniów w sposób szczególny zapisał się komendant Walter, sadystyczny i okrutny morderca więźniów, który czerpał przyjemność z zastrzelenia, śmiertelnego maltretowania więźniów, kamienowania, wieszania czy topienia. Nie obowiązywał go w zasadzie żaden regulamin obozowy. Zabijał nawet tych więźniów, wobec których nie wydano kary śmierci. Podobni byli też pozostali członkowie załogi, którzy pozbawiali życia osadzonych przy pełnej akceptacji swych działań przez poznańskie gestapo i komendanta obozu. Działalność Waltera w obozie żabikowskim zakończyło śledztwo prowadzone przez sędziego SS Gerharda Wiebecka, które doprowadziło do jego aresztowania i samobójczej śmierci 4 października 1944 r. w celi więziennej. W raporcie Wiebecka, sporządzonym po zakończeniu II wojny światowej w okresie jego internowania przez żandarmerię USA w byłym obozie koncentracyjnym Dachau, gdzie członkowie Polskiej Misji Wojskowej go przesłuchiwali, tak scharakteryzował Waltera: „Jego umysł nie zdradzał nic patologicznego, czasem tylko uśmiechał się, mówiąc o poważniejszych sytuacjach”⁶.

Wobec więźniów stosowano różne sposoby karania, najczęściej prowadzące do śmierci torturowanego. Wystarczyło podpaść strażnikowi nawet z błahego powodu, by zostać wtrąconym do karceru z gliny – „lepianki” o długości ok. 8 m i 4 m

⁶ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, Polska Misja Wojskowa, sygn. Bd 45; por. K. Płonka, A. Ziółkowska, *Martyrologium obozu hitlerowskiego w Żabikowie 1943–1945*, Żabikowo 2021, s. 8–9.



■ ZGLISZCZA DREWNIANYCH BARAKÓW NA TERENIE BYŁEGO OBOZU KARNO-ŚLEDZCZEGO W ŻABIKOWIE, KTÓRE SPŁONĘŁY W DNIU LIKWIDACJI OBOZU, 1945 R. FOT. WŁADYSŁAW KINITZ / ZBIORY MUZEUM MARTYROLOGICZNEGO W ŻABIKOWIE

szerokości, w którym skuci za szyję więźniowie rażeni byli prądem, czy tzw. beczki plecionej ze zwojów drutu kolczastego o średnicy 80 cm i 2 m wysokości, która w formie pionowego kosza nakładana była na więźnia. Więźniów topiono w basenie przeciwpożarowym, zamykano w stalowym bunkrze. Karę śmierci wymierzano za próbę ucieczki z obozu, chłostę za np. nieokazywanie posłuszeństwa. Józefa Kaczmarek wspomina: „Ulubioną karą Waltera było stawianie więźnia w basenie wypełnionym wodą. Woda była lodowato zimna, wciskała się do uszu, nosa. Każdy bronił się jak mógł, a Walter biegał wokół z długą tyczką i spychał z powrotem tych, którzy próbowali stanąć wyżej i zaczerpnąć powietrza. Mało kto uchodził z życiem. Rozgrywały się przy tym sceny nie do opisania”⁷. Żaden więzień nie był pewien swojego życia, musiał się liczyć z tym, że może zostać ofiarą sadystycznych działań ze strony komendanta czy załogi obozowej.

⁷ J. Kaczmarek, *Miałam wtedy 15 lat (gestapo – Fort – Żabikowo)*, [w:] *Pamiętniki ocalonych: wspomnienia więźniów hitlerowskich miejsc kaźni w Wielkopolsce*, oprac. W. Jamroziak. M. Olszewski, Poznań 1983, s. 182.

HIGIENA I KONTAKT ZE ŚWIATEM

Tragicznie przedstawiały się warunki sanitarne w obozie. Dla wszystkich więźniów była jedna latryna i jedna umywalnia. Wszystkie czynności związane z fizjologią i utrzymaniem higieny nakazywano wykonywać w tempie, brakowało ręczników, mydła. Nie było warunków do zachowania w czystości bielizny i odzieży. Więźniowie nie otrzymywali przy tym odzieży więziennej i przez cały czas pobytu w obozie nosili na sobie ubrania, w których zostali aresztowani. Bieliznę zezwalano niekiedy wysłać rodzinom do wyprania i w wyznaczonym dniu na przekazanie czystej do obozu. Stwarzało to dla niektórych więźniów okazję do wysyłania grypsu do najbliższych. Stan, w jakim rodziny otrzymywały bieliznę i odzież, budził ich dodatkową troskę i przerażenie o samopoczucie fizyczne i psychiczne osadzonych. Więźniowie mogli raz w miesiącu wysłać kartkę w języku niemieckim na sformalizowanym druku obozowym. W każdym przypadku była ona poddana ścisłej cenzurze. Jak wspomina Aleksandra Bielerzewska: „Dbałyśmy, aby każda kartka była napisana poprawnie po niemiecku – obawiałyśmy się bowiem, że cenzor, wściekły z powodu błędów, może ją wyrzucić do kosza. Także treść układałyśmy bardzo starannie; obok normalnych wieści – że czujemy się dobrze, jesteśmy zdrowe itp. – starałyśmy się przemycić jakieś ważne wiadomości, np. z kim przebywamy, kogo i o czym zawiadomić”⁸.

Żyjący w takich warunkach więźniowie, bezustannie głodni, wyczerpani ciężką pracą fizyczną, bici w celu wymuszenia zeznań podczas przesłuchań, narażeni byli na liczne choroby. Szczególnie dotkliwe były choroby układu pokarmowego. Odnotowano przypadki tyfusu, które doprowadziły m.in. do czasowego zamknięcia obozu i poddania go kwarantannie. Na ciałach więźniów były widoczne liczne ślady niegojących się ran, których nie można ani obmyć ani opatrzyć. Pozbawieni jakiegokolwiek pomocy lekarskiej, nie mieli dostępu do leków i materiałów opatrunkowych. Joanna Skrzypińska wspomina: „Przebywała też w obozie pewna staruszka nazwiskiem [Stanisława – A.Z.] Parczewska – lekarz z Mosiny. W tym czasie w bloku politycznym pewna kobieta miała urodzić dziecko. Parczewska doprowadzona do niej przez Waltera miała zbadać, kiedy nastąpi poród. Komentant nie wierzył w jej oświadczenie, że poród nastąpi w nadchodzącą noc, i kazał

⁸ A. Bielerzewska-Markwitz, *Wspomnienia więźniarki...*, s. 48.



■ CZŁONKOWIE KOMISJI OBYWATELSKIEJ PODCZAS OGŁĘDZIN TERENU POBOZOWEGO W ŻABIKOWIE, 24 MARCA 1945 R. FOT. ZBIORY MUZEUM MARTYROLOGICZNEGO W ŻABIKOWIE

kobietę zbadać w Poznaniu przez lekarza niemieckiego, który orzekł, że poród nastąpi dopiero za tydzień. Walter wtrącił lekarza Parczewską do piwnicy zalanej wodą [...]. Kobieta porodziła dziecko jednak tej nocy”⁹.

STRUKTURA OBOZU

Obóz w Żabikowie podzielony był na dwie części: część karną zwaną Wychowawczym Obozem Karnym (Arbeitserziehungslager) oraz część śledczą nazwaną Więzieniem Policijnym (Polizeigefängnis). W części karnej obozu osadzano osoby oskarżane o łamanie obowiązującego w ówczesnych Niemczech prawa o przymusie pracy, na podstawie np. doniesień pracodawców niemieckich o złym wykonaniu powierzonych robót. Tę grupę więźniów przetrzymywano w obozie w okresie od dwóch tygodni do dwóch miesięcy. Szczególną kategorię więźniów stanowili

⁹ B. Bojarska, *Obóz w Żabikowie...*, s. 303.

tzw. niedzielnicy (Sontagsjäger), tj. Polacy, którzy przebywali w obozie od soboty do poniedziałku, oskarżeni o bardzo drobne przewinienia w pracy, osadzeni na podstawie pomówień, donosów i poddawani wręcz sadystycznemu traktowaniu.

WIĘŹNIOWIE

Poza Polakami w obozie żabikowskim przetrzymywano sowieckich więźniów wojennych i uciekinierów z robót przymusowych, Niemców – dezertarów z Wehrmachtu, niemiecką ludność cywilną (w tym także folksdojców). Wśród osadzonych odnotowano grupę Luksemburczyków, Holendrów, kilku obywateli Belgii, Francji, USA oraz Węgrów i Słowaków. Był tu także więziony urodzony w Teheranie student politechniki berlińskiej. Obóz żabikowski był obozem przejściowym. Większość więźniów została następnie deportowana w transportach zbiorczych do obozów koncentracyjnych: Ravensbrück, Auschwitz-Birkenau, Sachsenhausen, Gross-Rosen, Mauthausen. Tylko nieliczni zostali z obozu zwolnieni.

Nieznana jest dokładna liczba osób osadzonych w obozie z uwagi na brak dostępu do dokumentów niemieckich. Z zachowanego fragmentu listy depozytowej obozu w Żabikowie wynika, że w okresie od 22 czerwca 1944 do 19 stycznia 1945 r. więziono 21 624 kobiet i mężczyzn. Wiadomo, że stan dzienny więźniów wahał się w początkowym okresie funkcjonowania obozu od 1063 osób do 1300, a pod koniec 1944 r. wynosił od 850 do 900 osób.



■ ZDJĘCIE Z EKSHUMACJI
DOKONANEJ 28–29 MAJA 1945 R.
NA CMENTARZU KATOLICKIM
W ŻABIKOWIE. FOT. AIPN

POLSCY KONSPIRATORZY

Najliczniejszą grupę więźniów stanowili działacze polskich organizacji podziemnych z Wielkopolski, w tym członkowie Okręgu Poznańskiego i Pomorskiego Armii Krajowej, harcerze z Szarych Szeregów, członkowie Narodowej Organizacji Wojskowej, a także działacze wielkopolskich organizacji lewicowych. Wszyscy oni poddani zostali brutalnym przesłuchaniom w siedzibie gestapo w Poznaniu. W obozie zginęli: płk Henryk Kowalówka „Zrąb”, dowódca Poznańskiego Okręgu AK, mjr Jan Kamiński „Rokita”, szef Sztabu Okręgu Poznańskiego AK, kpt. Henryk Bączkowski „Tata”, płk Edmund Effert „Janusz”, kpt. Zbigniew Krzekotowski „Michał”, kpt. Sylwester Pniewski „Bürger”, por. Henryk Kopczyński „Surma”, Bronisław Maron, były burmistrz Chodzieży, i wielu innych. W egzekucjach śmierć ponieśli m.in. dwie kobiety: Jadwiga Królik, Zbysława Jadwiga Krajna „Olszyna”, kierowniczka łączności cywilnej w inspektoracie rejonowym AK Poznań. Wszyscy oni zginęli w egzekucjach bądź zostali zakatowani od czerwca 1944 do stycznia 1945 r. Jedną z egzekucji przeprowadzonych na początku czerwca 1944 r. opisuje Aleksandra Bielerzewska: „podczas dyżuru przy »oknie na świat« zauważyłam, że wachmani zamykają okiennice [...]. Poprzez maleńką szparkę w okiennicy, która dawała bardzo małe pole widzenia, zobaczyłam grupę mężczyzn [...]. Było ich 6–8. Skuci kajdanami, szli miarowym, żołnierskim krokiem. W postawie ich wyczuwało się godność i dumę [...]. Przeczuwałyśmy co teraz nastąpi. W wielkiej ciszy ukłękłyśmy i zaczęłyśmy się za nich modlić. Padły strzały”¹⁰.

Jak ustalono, w obozie przebywało łącznie ok. 1,5 tys. żołnierzy Armii Krajowej i organizacji z nią scalonych, głównie oficerów, podchorążych i podoficerów, w tym 750 przeniesionych w dniach od 16 do 27 kwietnia 1944 r. z Fortu VII do Żabikowa. Fale aresztowań obejmowały duże grupy konspiratorów z kolejnych inspektoratów rejonowych AK i wynikały ze zmasowanych akcji gestapo skierowanych przeciwko wielkopolskim organizacjom konspiracyjnym¹¹.

EWAKUACJA

W styczniu 1945 r. w związku ze zbliżaniem się wojsk Armii Czerwonej zarządzono ewakuację i likwidację obozu. Wieczorem 19 stycznia 1945 r. członkowie

¹⁰ A. Bielerzewska-Markwitz, *Wspomnienia więźniarki...*, s. 77–78.

¹¹ M. Woźniak, *Więźniowie więzienia policyjnego poznańskiego gestapo w latach 1943–1945*, „Kronika Wielkopolski” 1985, Poznań 1993, s. 147.



■ WYJŚCIE POCHODU ŻAŁOBNego Z OBOZU, 1945 R. FOT. EUGENIUSZ KITZMANN / ZBIORY MUZEUM MARTYROLOGICZNEGO W ŻABIKOWIE

załogi rozstrzelali w baraku zwolnień i przyjęć (Abgangszelle) część więźniów politycznych, a także wszystkich chorych i niezdolnych do ewakuacji. Przed nadejściem północy wyprowadzono z obozu pozostałych więźniów, podpalono baraki więźniarskie wraz z dokumentacją obozową. Więźniowie polityczni zostali wywiezieni koleją do obozu Sachsenhausen. Pozostałą grupę kobiet i mężczyzn pędzono pieszo przez dwa tygodnie w kierunku KL Sachsenhausen. Kobiety oddzielono od kolumny ewakuacyjnej i pozostawiono w obozie Ravensbrück.

Historię niemieckiego obozu w Żabikowie dopełnia dramat 33 więźniów z więzienia w Działdowie, wśród których byli m.in. mieszkańcy Makowa Mazowieckiego, przywiezieni 22 stycznia 1945 r. do opróżnionego już i spalonego obozu, których rozstrzelano na miejscowym cmentarzu¹².

¹² J. Nawrocik, R. Wełniak, *Jadę na śmierć. Polaku, odeślij to do rodziny. 70. rocznica likwidacji obozu karno-śledczego w Żabikowie*, wybór i oprac. wspomnień K. Ciechanowski, Żabikowo 2015, s. 44–47.

Dokładna liczba strat niemieckiego obozu w Żabikowie, mimo wielu badań i prób podejmowanych już bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej, nie została w pełni ustalona. Na podstawie aktów zgonu wytworzonych przez niemiecki Urząd Stanu Cywilnego (Standesamt) w Poznaniu, który był właściwy terytorialnie dla obozu w Żabikowie, oraz powojennych postanowień sądów grodzkich, prowadzących sprawy o „uznanie za zmarłego”, odnotowano 443 osoby, znane z imienia i nazwiska, które straciły życie w obozie żabikowskim. Nieznana jest nadal liczba skrytobójczych mordów, których dopuściła się załoga niemieckiego obozu w Żabikowie¹³.

BIBLIOGRAFIA

- Bielerzewska-Markwitz A., *Wspomnienia więźniarki Żabikowa*, oprac. tekstu i przypisy R. Wełniak, Żabikowo 2011.
- Bojarska B., *Obóz w Żabikowie pod Poznaniem*. „Przegląd Zachodni” 1965, nr 2.
- Kaczmarek J., *Miałam wtedy 15 lat (gestapo – Fort – Żabikowo)*, [w:] *Pamiętniki ocalonych: wspomnienia więźniów hitlerowskich miejsc kaźni w Wielkopolsce*, wybór i oprac. W. Jamrozia. M. Olszewski, Poznań 1983.
- Łagunowa A., *Niedola żabikowskich więźniarek*, [w:] L. Gomolec, S. Kubiak, *Terror hitlerowski w Wielkopolsce 1939–1945*, Poznań 1962, s. 80–83.
- Nawrociak J., Wełniak R., *Jadę na śmierć. Polaku, odeślij to do rodziny. 70. rocznica likwidacji obozu karno-śledczego w Żabikowie*, wybór i oprac. wspomnień K. Ciechanowski, Żabikowo 2015.
- Olszewski M., *Straty i martyrologia ludności polskiej w Poznaniu*, Poznań 1973.
- Płonka K., Ziółkowska A., *Martyrologium obozu hitlerowskiego w Żabikowie 1943–1945*, Żabikowo 2021.
- Świtoński M., *Zbrodnie gestapo w Wielkopolsce w latach 1939–1945* „Kronika Wielkopolski” 1985, nr 1, s. 58–63.
- W konspiracji wielkopolskiej 1939–1945: wybór wspomnień, zebrał i wstępem oraz komentarzem*

¹³ K. Płonka, A. Ziółkowska, *Martyrologium obozu...*, s. 26.



Anna Ziółkowska (ur. 1953) – historyk, dr, dyrektor Muzeum Martyrologicznego w Żabikowie. Autorka książek: *Obozy pracy przymusowej dla Żydów w Wielkopolsce w latach okupacji hitlerowskiej (1941–1943)* (2005); *Zniewolony Poznań 1939–1945* (2007); *Wielkopolska walcząca. Konspiratorzy w obozie hitlerowskim w Żabikowie* (2010); (z M. Rutkowską, oprac.) *Specjalna księga gończa dla Polski / Sonderfahndungsbuch Polen* (2019); (z K. Płonką) *Martyrologium obozu hitlerowskiego w Żabikowie 1943–1945* (2021) i in.



PARTYZANCI 5 WILEŃSKIEJ BRYGADY AK WE WSI KIERSNÓW (BIAŁOSTOCCZYZNA). STOJĄ OD LEWEJ: PLUT. JERZY LEJKOWSKI „SZPAGAT”, JAN GABIŚ „WIECZOREK”, STANISŁAW LIPOWSKI „LIPA”, DANUTA SIEDZIKÓWNA „INKA”. NA PRAWO OD NIEJ STOI PLUT. HENRYK WIELICZKO „LUF”, KLĘCZY PRZED NIM KPR. BOGDAN OBUCHOWICZ „ZBYSZEK”, OBOK „LUFY” STOI ST. STRZ. ROMAN DOPIERAŁO „DĄBEK”, N.N., POR. MARIAN PLUCIŃSKI „MŚCISŁAW”, STRZ. LEON KRZEMIEŃ „MUR”, N.N., STANISŁAW WUJEC „BŁYSKAWICA”. FOT. AIPN

PIOTR NIWIŃSKI

„WILEŃSKIE ZAGROŻENIE”

W 1948 r. komunistyczny Urząd Bezpieczeństwa Publicznego przeprowadził jedną z największych akcji represyjnych wobec polskiego społeczeństwa. Zostali zatrzymani, aresztowani albo wytypowani do zatrzymania wszyscy mieszkańcy Wileńszczyzny przybyli w wyniku wysiedleń, czyli tzw. repatriacji, po 1944 r. do Polski centralnej i na Ziemię Odzyskaną.

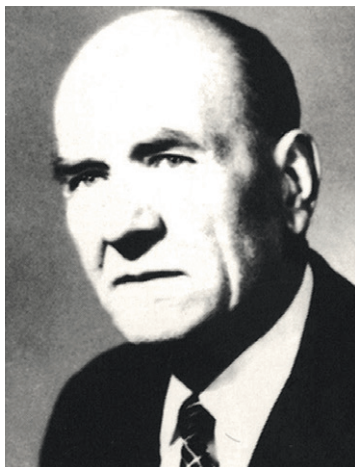
C

zym były spowodowane takie działania? W maju – czerwcu 1948 r. UBP dość nagle zorientował się, że istnieje na terenie Polski dobrze funkcjonująca siatka konspiracyjna – eksterytorialny Okręg Wileński AK. Przechwycone przez komunistów materiały wskazywały,

że jest to mocno rozbudowana i doskonale zakonspirowana struktura. A właśnie w tym okresie UBP realizował, na polecenie i pod kierunkiem sowieckich władz, operację „Cezary”, czyli tworzenie fikcyjnego kierownictwa podziemia niepodległościowego, tzw. V Komendy Zrzeszenia WiN. Taka prowokacyjna siatka nie mogła tolerować obok siebie żadnej konkurencyjnej i niezależnej struktury. Uznano więc, że należy jak najszybciej zlikwidować Okręg Wileński AK.

PLANY ROZBICIA KRESOWEGO PODZIEMIA

Początkowo komuniści zamierzali rozbicie przeprowadzić przez punktowe działania, obserwowanie i aresztowanie poszczególnych wykrytych działaczy wileńskiego podziemia. Czas jednak gonił, a wyniki były znikome. Postanowiono więc sięgnąć po działania szersze. Zdecydowano się na ogólnopolską akcję przeciw wilnianom, której efektem miała być dekonspiracja i rozbicie siatki. Plan ten narodził się w Wydziale II Departamentu III Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Zamierzano przede wszystkim zewidencjonować wszystkich wilnian (komuniści mieli problemy z rozróżnieniem terytorialnym i włączali do tej kategorii nowogrodzian i mieszkańców Grodzieńszczyzny) przebywających na terenie Polski. Następnie, po selekcji, miała powstać lista wilnian zaangażowanych w działalność konspiracyjną i partyzancką podczas II wojny światowej. Praca operacyjna w stosunku do nich wszystkich miała doprowadzić do odtworzenia struktury Okręgu



■ JAN TATAJ. FOT. AIPN

Wileńskiego, a następnie, przez przesłuchania i zwerbowanie agentury, wyłuskania aktywnie działających ciągle konspiratorów. W drugim etapie zamierzano w krótkim czasie aresztować wszystkie podejrzane osoby, aby uzyskać efekt zaskoczenia. Tej drugiej części akcji nadano kryptonim „X”.

Na początku czerwca rozpoczęły się ostatnie przygotowania. 7 czerwca do wszystkich wojewódzkich UBP na terenie Polski dyrektor Departamentu III Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego ppłk Jan Tataj skierował pismo, w którym m.in. czytamy: „Na terenie Waszego

województwa zamieszkuje liczna ilość repatriantów wileńskich. Ludzie ci stanowią zwartą grupę wspomagającą siebie nawzajem, wskutek łączących ich więzi etnograficznych, współpracy w organizacjach AK-WiN, oraz przeżyciach [sic!] jako internowani w ZSRR (za działalność wywrotową na ziemiach wcielonych do Rosji).

Ośrodek ten, jak wynika z posiadanych przez nas materiałów, pozostaje nadal wrogo usposobiony do obecnej rzeczywistości, stanowiąc przez to korzystny teren działania dla wszelkiego rodzaju pracy podziemnej, szczególnie na rzecz II Oddziału Andersa.

Repatriacja wileńska wg naszej klasyfikacji jest **ośrodkiem niebezpiecznym**. W związku z tym polecam przeprowadzić następujące przedsięwzięcia operacyjne:

1. wziąć na ewidencję wszystkich repatriantów z Wilna, oraz przybyłych więźniów z ZSRR [...] uwzględniając

- a. przynależność organizacyjną (AK-WiN itd.)
- b. szczebel organizacyjny
- c. czy ujawniony i kiedy
- d. jakie zajmuje stanowisko obecnie, zawodowe, społeczne

2. Na podstawie posiadanych przez Was materiałów, w związku z nadszarpniętym w swoim czasie okręgiem wileńskim AK ustalić:

- a. wszystkich jego b. członków
- b. schematycznie nakreślić strukturę okręgu i obsadę personalną i wziąć ich

w aktywne opracowanie

3. Za pomocą operatywnych przedsięwzięć wszcząć silne poszukiwanie za b. komendantem okręgu wileńskiego AK Podhoreckim¹ oraz szefem wywiadu Kuleszą².

4. Uaktywnić istniejącą agenturę ze środowiska wileńskiego i nastawić ją w/g wymogów chwili.

5. Przeprowadzić nowe korzystne werbunki, w celu ustalenia ich obecnej pracy wywrotowej. [...]

O wynikach przeprowadzonych przez Was przedsięwzięć poinformować szczegółowym raportem do dnia 30 czerwca 48”.

¹ Ppłk Antoni Olechnowicz „Pohorecki”, komendant Okręgu Wileńskiego AK w latach 1945–1948.

² Por. Zygmunt Augustowski vel Kulesza „Hubert”, współpracujący do kwietnia 1946 r. z Okręgiem Wileńskim.

Z dokumentu tego można wnioskować, że akcja „X”, obejmująca swym zasięgiem wszystkich wilnian, miała rozpocząć się nie wcześniej niż 1 lipca 1948 r. Dopiero bowiem po otrzymaniu tego pisma poszczególne wojewódzkie UBP zaczęły realizować zlecone działania. Zaczęto zbierać dane z archiwów (w tym z kartotek osób ujawnionych) i dokumentację oraz przygotowywać do tego zadania aktualną agenturę i werbować nową. Praca ta była zakrojona bardzo szeroko, więc nawet podstawowych danych nie należało spodziewać się w ciągu najbliższych tygodni. Wskazuje to wyraźnie na chęć prowadzenia akcji dopiero w drugiej połowie 1948 r.; możliwe, że dopiero w sierpniu–wrześniu. Jednak rozpoczęła się ona wcześniej. Powodem było najprawdopodobniej przechwycenie w połowie czerwca kolejnego meldunku wywiadowczego Okręgu Wileńskiego, przekazywanego na Zachód. Jego zawartość zapewne podważała materiały przekazywane na Zachód przez dezinformacyjną siatkę UBP.

ARESZTOWAĆ WILNIUKÓW

Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego postanowiło więc przyspieszyć akcję i nie czekając na sporządzenie list, aresztować wszystkich pochodzących z Wileńszczyzny. Licząc, że sparaliżuje w ten sposób konspiracyjną siatkę. Do rozpoczętej akcji „X” rzucono wszystkie posiadane siły. Pierwszym, bo już 20 czerwca, aresztowanym z kierownictwa Okręgu Wileńskiego był przesyłający meldunek oficer łączności por. Edmund Bukowski, a wkrótce po nim faktyczny zastępca komendanta Okręgu por. Wacław Walicki. W toku intensywnych przesłuchań, połączonych z biciem i brutalnym szantażem dotyczącym losu rodziny, aresztowani zaczęli podawać adresy innych członków konspiracji. Były one natychmiast wykorzystywane. 26 czerwca został aresztowany komendant Okręgu ppłk Antoni Olechnowicz. Tego samego dnia aresztowano w Szklarskiej Porębie por. Zygmunta Szymanowskiego, szefa sieci wywiadowczej. 30 czerwca ujęto mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”. 3 lipca 1948 r. aresztowany został w Poznaniu kwatermistrz Okręgu por. Kazimierz Pietraszkiewicz „Konrad”. Kierownictwo wileńskiej konspiracji zostało ujęte.

Tymczasem pracą w terenie zajęły się poszczególne wojewódzkie UBP. Cyklicznie sporządzano informacje o postępach akcji „X”. Przede wszystkim ustalano wszystkie osoby pochodzące z Wileńszczyzny bądź tylko z nimi związane towarzysko. Identyfikowano ich miejsce zamieszkania i pracy, ewentualne wzajemne kontakty, zbierano materiały obciążające. Dane te pochodziły zarówno z uaktyw-



■ PODPUŁKOWNIK ANTONI OLECHNOWICZ „POHORECKI”, ZDJĘCIE SYGNALITYCZNE WYKONANE W MBP W WARSZAWIE, 1948 R. FOT. AIPN

nionej lub już aktywnej agentury, jak i ze zbieranych w dotychczasowych ramach akcji „X” materiałów. Istotnym źródłem były też sporządzone listy repatriantów z Wileńszczyzny, spośród których wyłaniano podejrzane grupy. Najważniejsze informacje wysyłano do Warszawy telefonogramami lub przesyłano przez specjalnych kurierów. Trwało ustalanie najistotniejszych wiadomości i ich koordynacja.

Zbierano informacje, organizując także obserwację osób podejrzanych. Liczono, że w ten sposób uda się dotrzeć do dalszych członków siatki Okręgu. Jednak te działania były rzadkie, znacznie częściej po prostu aresztowano osoby, starając się wydobyć od nich jak najwięcej podczas przesłuchań. Uważano to za pewniejszy i szybszy sposób. Ruszyła fala zatrzymań. Akcja „X” przechodziła więc z etapu likwidacji kierownictwa do fazy masowych represji.

Masowe represje uderzały równocześnie i brutalnie, gdyż „większość z nich [żołnierzy AK Okręgu Wileńskiego] przeszła dłuższą lub krótszą »służbę« w bandach leśnych [...] ludzie ci znają się nawzajem, kontaktują się ze sobą, ostrzegają się wzajemnie o akcjach organów Bezpieczeń-



stwa i dlatego przy jakimkolwiek rozpracowaniu należy całą »grupę wileńską« i jej ludzi traktować jako jedną organizację, a w śledztwie lub przy jakichkolwiek przedsięwzięciach operacyjnych szukać należy dojść do innych członków».

Aresztowania miały dotyczyć nie tylko członków AK, ale także ich rodzin czy osób związanych tylko formalnie (np. wynajmujących mieszkania u „Wilniuków”). „Uzyskane w śledztwie wyjścia są przez podejrzanych traktowane jako towarzyskie. Po ustaleniu jednak, że kontakty te pochodzą z wileńskiego należy je traktować jako kontakty natury organizacyjnej. Z tych powodów stosujemy areszty w stosunku do wszystkich osób związanych z »grupą wileńską« i z przeprowadzoną »akcją X«. Zatrzymanie tych osób musi przynieść w rezultacie ustalenie ich kontaktów organizacyjnych i form ich działalności. W stosunku do masy zatrzymanych osób nie można uzyskać ogólnie żadnych materiałów kompromitujących oprócz znanych nam ogólnie zadań i charakteru konspiracji tych osób. Dlatego też szczególnie ważne jest zorganizowanie [...] należytego śledztwa w celu rozpracowania każdej osoby».

Osoby aresztowane w terenie przesyłano więc niejednokrotnie do Warszawy, by przesłuchania prowadzili bardziej „fachowi” śledczy. A było tych aresztowanych z dnia na dzień coraz więcej.

„Należy zatrzymywać na zasadzkach wszystkie osoby pochodzące »zza Buga«. Przyjście tych ludzi na zasadzkę oznacza, że są one związane w takiej czy innej formie z grupą wileńską. [...] na wszystkie aresztowane osoby pochodzące z wileńskiego uzyskać w czasie trwania aresztu przewencyjnego materiały kompromitujące [...]. Zatrzymanie danej osoby na zasadzce czy też aresztowanie jej jako kontaktu znanego nam czł. »grupy wileńskiej« wskazuje, że osoba ta była albo zorganizowana biernie, albo też pracowała w sieci wywiadowczej».

Szeroko zakrojona akcja powodowała jednak, że „masa zatrzymanych osób na zasadzkach jest przeszkodą dla pracy operacyjnej”. Można mówić wręcz o „zakorkowaniu się” UBP aresztantami i prowadzonymi sprawami. Widać to szczególnie w zachowanej korespondencji z przełomu lipca i sierpnia 1948 r.

SELEKCJA WROGÓW

Nadszedł więc czas kolejnej modyfikacji działań. Na podstawie zebranych materiałów zaczęto od końca sierpnia 1948 r. zawężać śledztwo, poszukując już konkretnych osób. Zrezygnowano z masowych aresztowań. Nie znaczy to jednak,



■ MAJOR ZYGMUNT SZENDZIELARZ „ŁUPASZKA”, ZDJĘCIE SYGNALITYCZNE WYKONANE W MBP W WARSZAWIE, 1948 R. FOT. AIPN

że liczba zatrzymanych spadała gwałtownie. Zaczęto bowiem tylko bardziej „selekcjonować” zatrzymanych, starając się uderzyć w wybrane środowiska i osoby. Działania koordynowała Warszawa, rozsyłając okólniki na temat dalszego postępowania.

Funkcjonariusze zajmujący się akcją „X” mieli sporządzić kolejną listę osób przeznaczonych do zatrzymania, składającą się tym razem z wszystkich ujawnionych i nieujawnionych członków podziemia wileńskiego. Już aresztowanych natychmiast kierowano do wydziałów śledczych. Wszelkie ustalenia wynikające z przesłuchań miały być znowu natychmiast realizowane, czyli kontynuowano „karuzelę” zatrzymań. Wszelkie zaś ustalenia dotyczące innego niż dane WUBP terenu miały być przekazywane do Warszawy, która koordynowała rozsyłanie odpowiednich materiałów. Miano także w dalszym ciągu wysyłać do Warszawy codzienne meldunki z przebiegu pracy.

Jedną z najskuteczniejszych metod operacyjnych stosowanych przez UBP w celu rozbicia środowiska wileńskiego było zakładanie zasadzek lub (jak popularnie to nazywano) kotłów. Największą część



■ PRAWDOPODOBNIE INSCENIZOWANA SYTUACJA. ZDJĘCIE PODPISANE PRZEZ APARAT REPRESJI "WYPAD NA BANDĘ". FOT. AIPN

osób objętych akcją „X” zatrzymano właśnie na takich zasadzkach. Polegało to na wprowadzaniu do mieszkań osób zatrzymanych funkcjonariuszy UBP, którzy pilnowali wszystkich domowników, aby ci nie kontaktowali się ze światem zewnętrznym. Ubowcy byli przygotowani do zatrzymywania wszystkich osób przychodzących do danego mieszkania. Celem było ustalenie tożsamości jak największej liczby osób kontaktujących się z zatrzymanymi. Zatrzymanych w zasadzkach traktowano jako podejrzanych. Wychodzono z założenia, że przychodzący mogą należeć do sieci konspiracyjnej i ostrzegać się nawzajem.

Zasadzki zakładano we wszystkich mieszkaniach, w których dokonano aresztowania. Zestawienia adresów założonych zasadzek przesyłano następnie do Warszawy, jednocześnie sporządzano także alfabetyczne spisy osób zatrzymanych w zasadzkach. W zestawieniach stosowano zasadę podziału najpierw terytorialnego, na miasta,



następnie na ulice i głównych lokatorów. Przesyłano także informacje o wszelkich nietypowych zachowaniach osób zatrzymanych – m.in. próbach ucieczek. Dokumentacja była więc bardzo obfita, ale pozwalała dość szybko zorientować się w efektach pracy. Wykazy ułożone alfabetycznie czy terytorialnie pozwalały „centrali” zorientować się, jakie zachodzą powiązania pomiędzy poszczególnymi środowiskami wileńskimi na terenie województw i wskazać nowe kierunki prowadzenia śledztw.

Zasadzki likwidowano po uzgodnieniu z Warszawą. Zgodę na likwidację wyrażano dopiero wtedy, kiedy uznawano, że „kocioł” jest już znany ogółowi, a więc jest unikany, lub też wtedy, gdy uznawano, iż zatrzymano wystarczająco dużą liczbę osób. Ten ostatni powód był znacznie rzadszy, ale wykorzystywali go „przepracowani” funkcjonariusze.

Prowadzone w czasie akcji „X” zasadzki wymagały udziału dużej liczby pracowników służb. Sięgano więc po rezerwy do wszystkich wydziałów, co nie zawsze przynosiło spodziewane efekty. Osoby zatrudnione w administracji czy w Wydziale Kontroli Korespondencji nie potrafiły prowadzić przesłuchań czy „oceniać” zatrzymanych. Rozdzielano więc „siły”, starając się na każdej zasadzce zostawiać choć jednego funkcjonariusza operacyjnego.

Zakończenie zasadzki jednak zazwyczaj nie kończyło sprawy. Zwykle zlikwidowane „kotły” poddawane były w dalszym ciągu obserwacji zewnętrznej, aby ustalić, kto jeszcze może kontaktować się z zatrzymanymi. Zatrudniano w tym celu zarówno funkcjonariuszy Wydziału „A” danego WUBP, zajmujących się obserwacją, jak i zwerbowanych doraźnie informatorów (najczęściej byli to dozorczy lub sąsiedzi).

Zatrzymane osoby przetrzymywano bez sankcji prokuratorskich przez czas nieokreślony, nawet kilka miesięcy. Każde ich zwolnienie wymagało bowiem aprobaty Warszawy, zaś czekanie na odpowiedź z centrali przedłużało okres nieprawnego zatrzymania. A postępowano zgodnie z zasadą, że każdy był podejrzany.

Jak masowe były represje przeprowadzonej w 1948 r. akcji „X”? Dziś ciągle można podać jedynie dane szacunkowe. Przykładowo w ciągu jednego dnia w województwie szczecińskim zatrzymano na czterech zasadzkach 43 osoby. To dość reprezentatywna liczba także dla innych miejsc. W całym kraju w lipcu tylko w miastach wojewódzkich założono co najmniej 82 zasadzki.

KTO Z KRESÓW, TEN WRÓG

O skali działań świadczy to, że w ostatnim tygodniu czerwca zatrzymano w całej Polsce 148 osób, na które otrzymano sankcje prokuratorskie. Czyli ostatecznie je aresztowano. Do tej liczby należy dodać liczniejsze grono osób czasowo zatrzymanych. A największa fala aresztowań miała miejsce przecież w lipcu–sierpniu 1948 r. Wszystkie osoby zatrzymane podlegały rozpracowaniu. Co prawda większość z czasem zwolniono, ale niektóre z nich wkrótce ponownie aresztowano, a pozostałym założono karty ewidencyjne z odnotowaniem, że były zatrzymane w ramach akcji „X”.

Trudno więc ustalić ostateczną liczbę zatrzymanych w całej Polsce. Szacunkowo określam ją na co najmniej 6 tys. zatrzymanych i poddanych sankcji prokuratorskiej. Liczba ta może być wyższa. Nawet dziesięć razy większa mogła być liczba osób „tylko” zatrzymanych. Szacunki te oddają obraz skali represji, w wyniku których siatka Okręgu została praktycznie rozbita. Według prowadzących sprawę wileńską funkcjonariuszy UBP przeprowadzona przez nich akcja zakończyła się sukcesem.

Akcja „X” nie dobiegła końca faktycznie w 1948 r. (jak wskazuje dokumentacja), ale trwała co najmniej do kwietnia 1949 r., samo zaś „pochodzenie wileńskie” było obciążające jeszcze wiele lat później. W dokumentacji wewnętrznej UBP znajdują się liczne informacje o kontynuowaniu wątków z akcji „X” w 1949 r., ale i w latach późniejszych. Wynika z nich, że działania nastawione były na realizację pierwotnego założenia, czyli ustalenia i rozpracowania repatriantów z Wileńszczyzny.

Zaczęto, już „na spokojnie”, określać „zagrożone” terytorium, tzn. opracowywać miejsca zamieszkania wilnian. Wyszczególniono wioski i miasteczka, w których środowisko wileńskie było wyjątkowo liczne, i objęto je dokładnym nadzorem. W celu lepszej organizacji pracy tworzono osobną dokumentację, opracowując m.in. oleaty do ukazania skupisk środowiska wileńskiego. Uruchomiono istniejącą agenturę, a tam, gdzie jej nie było, starano się zwerbować nową. Z zachowanej dokumentacji wynika, że przyjęto zasadę werbowania przynajmniej jednego agenta w środowisku wilnian, które było liczniejsze niż dziesięć osób.

W celu skoordynowania akcji poszczególne powiatowe UBP sporządzały dla urzędów wojewódzkich (a te dla MBP) miesięczne raporty specjalne i roczne

sprawozdania. Podawano w nich ogólną liczbę wilnian w danym powiecie, liczbę ustalonych wśród nich członków konspiracji, charakterystykę ich rozmieszczenia (według miejsca zamieszkania i zatrudnienia), liczbę prowadzonych na nich spraw (sprawy zakładane na poszczególne lokalne środowiska lub poszczególne osoby), liczbę agentury skierowanej do rozpracowania, liczbę osób zatrzymanych oraz charakterystykę postawionych zadań na przyszłość.

Częste powody do zaniepokojenia dziś zazwyczaj ocenia się jako absurdalne: „ustalono drogą obserwacji, że element wileński ma ze sobą ścisłą łączność i kontakty ich sięgają nawet poza granice naszego powiatu. Zbierają się oni na różne uroczystości jak np. na imieninach u ob. Skindra w Międzychodzie było 18 osób z całego powiatu i wszyscy z wileńskiego. Wydaje nam się podejrzanę, skąd robotnik zarabiający kilka tys. może sobie pozwolić na taką libację”.

Ten fragment nie jest wyjątkiem. Wrogi był także fakt wyrażania publicznie chęci powrotu w rodzinne strony, jak i np. słuchania zachodnich audycji radiowych. Tak podejrzliwe podejście znaleźć można niemal we wszystkich zachowanych dokumentach. Traktowanie Wilniuków jako wrogów w końcu nabrało charakteru niemal groteskowego – „element wileński pozostający na terenach Polski – nie przejawia wspólnej jednolitej masowej polskości a uwidacznia się u wilniaków element dzielnicowy [...] z tego też względu wilniacy [...] nie zaprzestali swej walki z obecnym ustrojem w Polsce”.

Oskarżano więc wilnian wręcz o separatyzm narodowy, brak patriotyzmu czy o zdradę polskości! Takie postawienie sprawy obligowało komunistyczny aparat represji do dalszego rozpracowywania środowiska ekspatriantów z Wileńszczyzny, ze szczególnym uwzględnieniem żołnierzy Armii Krajowej. I to rozpracowanie trwało na pewno do 1981 r., kiedy głównym wrogiem władz komunistycznych stał się ruch Solidarności.



Piotr Niwiński (ur. 1966) – historyk i politolog, dr hab., profesor Uniwersytetu Gdańskiego, kierownik Zakładu Nauk o Bezpieczeństwie UG, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Gdańsku. Autor książek: *Okręg Wileński AK 1944–1948* (1999); *Działania komunistycznego aparatu represji wobec środowisk kombatanatów wileńskiej AK 1945–1980* (2009); (współautor) *Żołnierze wyklęci. Antykomunistyczne podziemie zbrojne po 1944 roku* (2013); *Ponary. Miejsce „ludzkiej rzeźni”* (2015) i in.

GRZEGORZ MAJCHRZAK

OPAMIĘTAJCIE SIĘ!

„Ginę po to, żeby zwyciężyła prawda,
żeby zwyciężyło człowieczeństwo
i żeby zwyciężyła miłość”

Przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w sierpniu 1968 r. protestowali zarówno Polacy w PRL, jak i na terytorium naszego południowego sąsiada, a także na emigracji. Po latach wiemy, że skala tego sprzeciwu – wbrew do dzisiaj pokutującym mitom – okazała się zaskakująco duża. A także że protesty te były nader różnorodne – od chyba najbezpieczniejszego rzucania legitymacji partyjnych po formy skrajne. Tę najbardziej dramatyczną wybrał Ryszard Siwiec, który w trakcie ogólnopolskich dożynek na Stadionie Dziesięciolecia dokonał samospalenia.

■ **SAMOSPALENIE RYSZARDA SIWCA, STADION DZIEŚCIOLECIA W WARSZAWIE, 8 WRZEŚNIA 1968 R. FOT. AIPN**

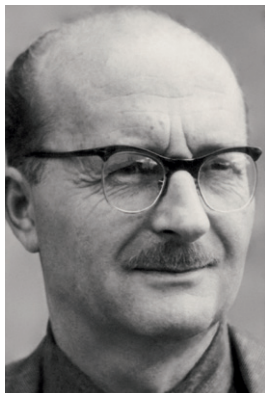






czyn Ryszarda Siwca nie był spontanicznym gestem, lecz przemyślanym, zaplanowanym aktem. Zanim podpalił się w dniu 8 września 1968 r., poczynił staranne przygotowania, które nie ograniczyły się bynajmniej do kupna rozpuszczalnika niezbędnego do jego tragicznego protestu. Przede wszystkim musiał zdobyć przepustkę na ogólnopolskie uroczystości dożynkowe, dużo wcześniej, w kwietniu, kilka dni po Wielkanocy, spisał testament, a także przygotował biało-czerwoną flagę. We wspomnianym testamencie wyjaśniał swoje motywacje. Stwierdzał m.in.: „zdrow na ciele i umyśle, po długiej walce i rozważeniu postanowiłem zaprotestować przeciw totalnej tyranii zła, nienawiści i kłamstwa, które opanowały świat”. Jako człowiek wierzący przystąpił też do spowiedzi. Nie zapomniał nawet o nagraniu na taśmę magnetofonową swojego manifestu politycznego – krytykował w nim sowiecki imperializm oraz uciemiężenie mniejszych narodów. Kończył go słowami: „Ludzie, w których może jeszcze tkwi isierka ludzkości, uczuć ludzkich, opamiętajcie się! Usłyszcie mój krzyk, krzyk szarego, zwyczajnego człowieka, syna narodu, który własną i cudzą wolność ukochał ponad wszystko, ponad własne życie, opamiętajcie się! Jeszcze nie jest za późno!”.

Przed wyjazdem na dożynki – wcześniej rano 7 września – pobłogosławił śpiące jeszcze dzieci, a najstarszemu synowi zostawił własny zegarek. Następnie udał się na dworzec w Przemyśle. W trakcie jazdy pociągiem do Warszawy sporządził poruszający list pożegnalny do swojej małżonki Marii. Pisał w nim m.in.: „Kochana Marysiu! Nie płacz!, szkoda sił, a będą ci potrzebne, jestem pewny, że po to dla tej chwili żyłem 60 lat, wybacz, nie można było inaczej, po to, żeby nie zginęła prawda, człowieczeństwo, wolność, ginę, a to mniejsze zło jak śmierć milionów, nie przyjeżdżaj do Warszawy, mnie już nikt, nic nie pomoże, dojeżdżam do Warszawy, piszę w pociągu i dlatego krzywo. Jest mi tak dobrze, czuję taki spokój wewnętrzny – jak nigdy w życiu! Kochane dzieci, nie dokuczajcie mamie, uczcie się, bo to wasze najważniejsze zadanie teraz. Niech was Bóg ma w swojej opiece. Całuję was – Ojciec”. List ten do jego małżonki dotarł dopiero po 25 latach. Na prośbę Siwca próbowała go jej przekazać Maria Tchórzewska, która wraz z nim była w stolicy, ale niestety nie zastała Siwców i zostawiła go w drzwiach ich mieszkania. Z drzwi zaś wyjęli go czujni funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa.



Ryszard Siwiec (1909–1968) – urodził się w Dębicy k. Rzeszowa. Przed wojną mieszkał we Lwowie, ukończył studia ekonomiczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Pracował w Urzędzie Skarbowym we Lwowie, a następnie w Przemyśle. W czasie wojny był żołnierzem AK, pracował fizycznie. Po wojnie założył rodzinę. Miał pięcioro dzieci. Był właścicielem – wspólnie z Janem Wojnarowiczem – małej wytwórni win i miodów. Po jej nacjonalizacji w 1952 r. pracował tam

w dalszym ciągu jako księgowy. Czynny sportowiec, doskonale jeździł na nartach i pływał, przed wojną grał w hokeja. Odrzucił propozycję pracy w szkole, twierdząc, że nie będzie uczył bzdur. Był żarliwym katolikiem i gorącym patriotą. Miał księgozbiór liczący 3 tys. tomów. Interesował się historią Polski, zdecydowanie odrzucał ideologię komunistyczną i system totalitarny. 8 września 1968 r. w czasie dożynek na warszawskim stadionie dziesięciolecia w obecności 100 tys. widzów i władz partyjnych dokonał aktu samospalenia – w proteście przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację; wskutek rozległych oparzeń zmarł.

Kim był Ryszard Siwiec? Sięgnijmy do akt Służby Bezpieczeństwa. W notatce sporządzonej po jego samospaleniu pisano o nim: „Według danych uzyskanych z Rzeszowa Siwiec jest żonaty, ma czworo dzieci (dwie córki i dwóch synów), z których troje jest dorosłych, a jedno uczęszcza jeszcze do szkoły podstawowej. Ostatnio Siwiec pracował prywatnie w wytwórni win u Wojnarowicza w Przemyśle, a ponadto prowadził własną fermę kurzą i hodowlę kwiatów [...]. Mieszkał wraz z rodziną w trzypokojowym, dobrze wyposażonym mieszkaniu i uchodził za człowieka majątnego. W mieszkaniu znajduje się m.in. duży zbiór różnych książek, telefon, maszyna do pisania oraz ozdobny portret J. Piłsudskiego”. Notatka nie była nazbyt dokładna, gdyż miał pięcioro, a nie czworo dzieci (córki Elżbieta i Innocenta oraz synowie Adam, Mariusz i Wit). W innym esbeckim dokumencie stwierdzano natomiast: „Według przeprowadzonych ustaleń w Miejskiej Przychodni Rejonowej w Przemyśle, nie stwierdzono, aby [...] był kierowany [na leczenie] i pozostawał na leczeniu na zaburzenia psychiczne. Równocześnie informuję, że rodzina Siwca jest religijna i pozostaje w ścisłym kontakcie z kurią biskupią w Przemyśle, która udziela im pomocy materialnej, jako małżeństwu



■ RYSZARD SIWIEC (DRUGI Z LEWEJ) Z ŻONĄ I DZIEĆMI ORAZ PRZYJACIÓŁMI, PRZEMYŚL, 1961 R.
FOT. ZE ZBIORÓW RODZINNYCH

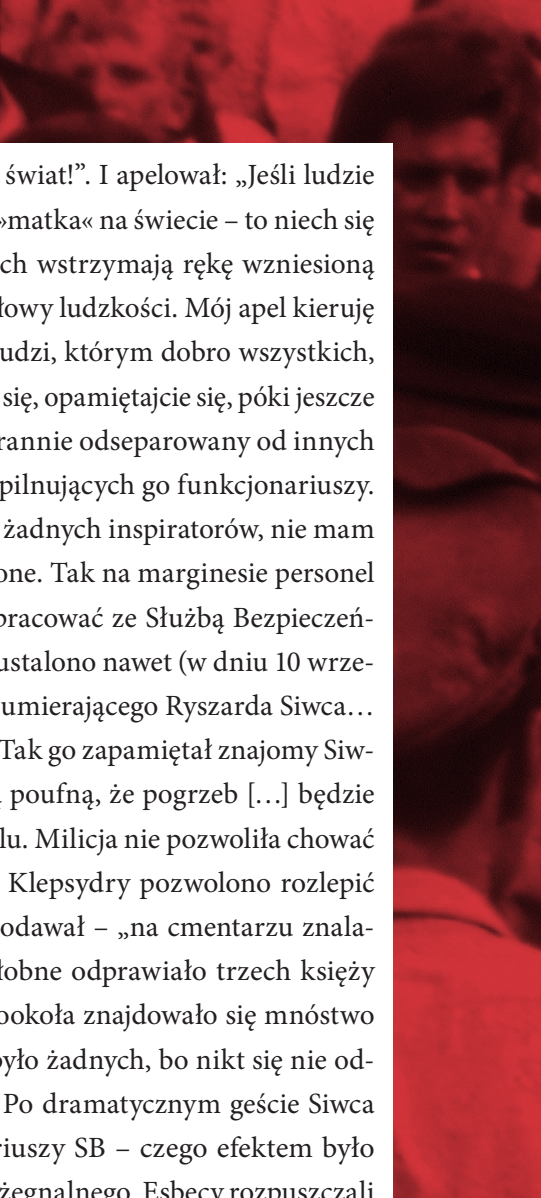
wielodzietnemu”. Ewidentnie zatem widać, że nie był szaleńcem, człowiekiem nie zrównoważonym psychicznie, jak to próbowano wmawiać w okresie PRL.

Ryszard Siwiec zdecydował, że swój dramatyczny protest zrealizuje – o czym była mowa – w trakcie ogólnopolskich dożynek na Stadionie Dziesięciolecia. Nie uczynił tego w czasie oficjalnych przemówień, lecz podczas części artystycznej dożynek – występów zespołów ludowych. Kwadrans po południu, po uprzednim rozrzuceniu ulotek (rozpoczynających się od słów: „Protestuję przeciw niesprokowanej agresji na bratnią Czechosłowację”, a zakończonych stwierdzeniem: „Ginę po to, żeby nie zginęła wolność, prawda i człowieczeństwo”), oblał się rozpuszczalnikiem i podpalił. W rękach trzymał flagę narodową z napisem „Za Waszą i Naszą Wolność. Honor i Ojczyzna”, a paląc się, krzychał: „Protestuję”, „Niech żyje wolna Polska”, a także „To jest okrzyk konającego wolnego człowieka”. Apelowal również do świadków zdarzenia, aby ci go nie gasili. Oczywiście bez powodzenia. Ponieważ jednak odpychał osoby, które usiłowały ugasić ogień, dopiero gdy spłonęło na nim całe ubranie, został doprowadzony przez milicjantów do samochodu.

Samospalenia dokonał na oczach 100 tys. ludzi – niemal naprzeciwko trybuny głównej, na której znajdowało się kierownictwo partii i państwa, na czele z I sekretarzem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Władysławem Gomułką – a jednak jego czyn długo pozostawał nieznany. Paradoksalnie, dla Polaków bohaterem był czeski student Jan Palach, który na podobny krok jak Siwiec zdecydował się w styczniu 1969 r. w Pradze... Owszem, w Warszawie krążyły pogłoski o tym, że ktoś spalił się podczas dożynek, ale nie wiązano tego wydarzenia z interwencją wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Tak o tym pisał w swoim dzienniku Stefan Kisielewski niespełna tydzień po czynie Ryszarda Siwca: „wciąż mówią, że na dożynkach w obecności Wiesia [Władysława Gomułki] i Józia [Józefa Cyrankiewicza] ktoś się oblał benzyną i podpalił. Nie wiadomo tylko, »po jakiej linii« to się stało”. Przyczyniły się do tego działania peerelowskich władz, które jego samospalenie przedstawiały naocznym świadkom jako przypadkowe zapalenie się (samozapłon) nietrzeźwej osoby. Publicznie o dramatycznym czynie Ryszarda Siwca poinformowało dopiero ponad pół roku później – w połowie kwietnia 1969 r. – Radio Wolna Europa.

Siwiec został przewieziony do Szpitala Praskiego. Lekarze określili jego stan „jako bardzo ciężki, nierokujący długiego pozostania przy życiu”. Nie miał praktycznie szans na przeżycie, gdyż oparzenia obejmowały ponad 80 proc. jego ciała. Umierał niemal cztery dni – jego zgon stwierdzono 12 września o godzinie 1.45. Co niebywałe w takiej sytuacji, zachował jednak praktycznie do samego końca przytomność. Jak wspominała po latach pielęgniarka Halina Łągowska: „Nie chciał mówić o tym, co zrobił, martwił się jedynie o swoją rodzinę, o dzieci, że przez jego samospalenie dzieci będą cierpiały. Bał się, że nie będą mogły chodzić na studia, zostaną wyrzucone. To było jego dodatkowym cierpieniem. Martwił się bardzo – o siebie nie”.

Wspominał jednak po raz kolejny o swoich motywacjach, co utrwalili funkcjonariusze SB: „Ginę po to, żeby zwyciężyła prawda, żeby zwyciężyło człowieczeństwo i żeby zwyciężyła miłość. Ginę po to, żeby zginęło kłamstwo, zginęła nienawiść i zginął terror”. I dalej: „Nie odczuwam żadnego bólu i nie odczuwałem żadnego bólu przez cały czas. Bola mnie tylko dwie ręce, lewa do składania fałszywych przysięg, prawa do ściskania ręki tym, którym złożyło się fałszywą przysięgę”. Przekazywał również swoje przesłanie: „Niech żyje prawda, niech żyje wolność, niech żyje człowieczeństwo, niech żyje demokracja, niech żyje konstytu-



tucja! Niech zginie totalny terror, opanowujący świat!”. I apelował: „Jeśli ludzie nie zapomnieli dźwięku najpiękniejszego słowa »matka« na świecie – to niech się opamiętają, póki nie jest jeszcze za późno. Niech wstrzymają rękę wzniesioną nad guzikiem, który może wzbudzić zagładę połowy ludzkości. Mój apel kieruję do wszystkich ludzi dobrej woli na świecie, do ludzi, którym dobro wszystkich, a nie małych grup nie jest obojętne. Opamiętajcie się, opamiętajcie się, póki jeszcze nie jest za późno”. Oczywiście w szpitalu był starannie odseparowany od innych pacjentów. Jego słowa dotarły zatem jedynie do pilnujących go funkcjonariuszy. Niewykluczone zresztą, że po części („Nie mam żadnych inspiratorów, nie mam żadnych współników”) były dla nich przeznaczone. Tak na marginesie personel oddziału, na którym leżał, miał w pełni współpracować ze Służbą Bezpieczeństwa – z jednym z opiekujących się nim lekarzy ustalono nawet (w dniu 10 września) przeprowadzenie badań psychiatrycznych umierającego Ryszarda Siwca...

Jego pogrzeb odbył się po kilku dniach. Tak go zapamiętał znajomy Siwca Władysław Mazur: „Dowiedziałem się drogą poufną, że pogrzeb [...] będzie w niedzielę na cmentarzu zasańskim w Przemyślu. Milicja nie pozwoliła chować go w powszedni dzień, bojąc się demonstracji. Klepsydry pozwolono rozlepić dopiero w sobotę wieczorem”. Mimo to – jak dodawał – „na cmentarzu znalazły się tłumy ludzi”. I dalej: „Nabożeństwo żałobne odprawiało trzech księży z kościoła oo. salezjanów. W czasie pogrzebu dookoła znajdowało się mnóstwo tajniaków [...]. Przemówień pożegnalnych nie było żadnych, bo nikt się nie odważył”. Nikogo to zresztą nie powinno dziwić. Po dramatycznym geście Siwca jego rodzina znalazła się pod lupą funkcjonariuszy SB – czego efektem było m.in. przejście wspomnianego wcześniej listu pożegnalnego. Esbecy rozpuszczali również w Przemyślu – czyli miejscu zamieszkania jego i jego rodziny – plotki, że był szaleńcem. Z kolei Komenda Stołeczna Milicji Obywatelskiej prowadziła śledztwo, które wszczęto w związku z odnalezieniem w skórzanej torbie, którą miał ze sobą w chwili samospalenia, ulotek. Uznano bowiem, że zawierają one „fałszywe wiadomości o sytuacji społeczno-politycznej, mogące wywołać niepokój publiczny”. Stwierdzono też, że Siwiec wzywał do ich czytania, a tym samym popełnił przestępstwo, jednak ze względu na jego śmierć dochodzenie przeciwko niemu (w dniu 16 października 1968 r.) umorzono. Czujni byli również funkcjonariusze „zabezpieczający” dożynki na Stadionie Dziesięciolecia – odebrali oni



■ SAMOSPALENIE RYSZARDA SIWCA, STADION DZIESIĘCIOLECIA W WARSZAWIE, 8 WRZEŚNIA 1968 R.
FOT. AIPN

kliszę ze zdjęciami płonącego Ryszarda Siwca – jak pisali – „jednemu z fotografujących”. Niewykluczone, że przyczynili się w ten sposób do tego, że czyn Siwca był przez lata zapomniany...

Tak naprawdę został on doceniony dopiero po 1989 r. Nie tylko zresztą w Polsce, ale przede wszystkim w Czechach. W przypadku naszego kraju, mimo licznych już dziś upamiętnień (m.in. nazwania jego imieniem mostu w Przemyślu),

trudno nie odczuwać pewnego niedosytu po nazwaniu nowego Stadionu Narodowego (zbudowanego w miejscu dawnego Stadionu Dziesięciolecia) imieniem znakomitego trenera piłkarskiego Kazimierza Górskiego, a nie właśnie Ryszarda Siwca. Tym bardziej że w przypadku tego pierwszego zdecydowanie lepszym wyborem – ze względów historycznych – byłby Stadion Śląski w Chorzowie. Ale to już całkiem inna historia...

Testament Ryszarda Siwca (fragment):

„Wam, moje drogie dzieci, zalecam i nakazuję:

1. Nie dajcie nigdy odebrać sobie wiary w Boga, wiary w człowieka, w jego dążenia do wolności i prawdy.

2. Bądźcie zawsze dobrymi Polakami i Polkami i pamiętajcie, że Ojczyzna to nie tylko Wy, ale i ten zbałamucony polski milicjant, który bije cię pałką i kopie za domaganie się wolności.

3. Zawsze pamiętajcie, że drugi człowiek jest takim samym człowiekiem, jak Wy, a często może lepszym od Was.

4. Pamiętajcie, że kłamstwo jest początkiem i pierwszą przyczyną wszelkiego zła na świecie.

5. Prawda niech tylko znaczy prawdę.

6. Podstawą Waszych działań powinna być zawsze jedność myśli, słów i czynów.

Niech Bóg miłosierny i Królowa Polski, Matka Częstochowska, ma Was w opiece i całą naszą ziemską Ojczyznę”.



Grzegorz Majchrzak (ur. 1969) – historyk, dr, pracownik Biura Badań Historycznych IPN. Autor książek: *Kontakt operacyjny „Delegat” vel „Libella”* (2009); *„Solidarność” na celowniku. Wybrane operacje SB przeciwko związkowi i jego działaczom* (2016); *Tajemnice stanu wojennego* (2016); *Smutni panowie na olimpijskim szlaku. Inwigilacja polskich olimpijczyków przez Służbę Bezpieczeństwa* (2017); (z S. Ligarskim) *Artyści, PRL i безпеka. Herbert, Miłosz, Hłasko i wielu innych...* (2018); (z S. Ligarskim) *1989. Rok przemian* (2019) i in.

SZLAKI NADZIEI

HISTORIE ZNANE I NIEZNANE

W 2025 r. będziemy obchodzili osiemdziesiątą rocznicę zakończenia II wojny światowej. Wydarzenia w dziejach Polski, które w sposób bodaj najbardziej dramatyczny – wyjąwszy może rozbiory – wpłynęło na jej losy. Nie sposób wymienić wszystkich, do dziś trwających, konsekwencji tego kataklizmu. Jednym ze skutków wybuchu wojny i późniejszej okupacji było wyrwanie tysięcy obywateli polskich z ich domów. Pchani nadzieją zmierzali tam, gdzie widzieli szansę na walkę o wolność swego kraju.



okład wiodła ich ta nadzieja? Niektóre z tych miejsc wymienił p.o. Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych gen. Władysław Anders w rozkazie wydanym 26 lutego 1945 r.: „Aby siła nie rządziła nad prawem, pierwsi chwyciliśmy za broń 1 września 1939 r.

Samotnie przeciwstawiliśmy się wówczas całej potędze niemieckiej. Walczyliśmy potem w Lotaryngii i Alzacji, pod Narvikiem, w Tobruku, pod Monte Cassino,

■ ROZMOWA GEN. WŁADYSŁAWA SIKORSKIEGO Z ŻOŁNIERZAMI 5. DYWIZJI PIECHOTY, TATISZCZEWO, 14 XII 1941 R. ZA GEN. SIKORSKIM AMBASADOR RP W ZSRS STANISŁAW KOT.
FOT. AIPN, KOLEKCJA TADEUSZA CHCIUKA-CELTA



w Anconie, na linii Gotów, w Apeninach, pod Falaise i Arnhem. Walczyliśmy cały czas na morzach i w powietrzu. Lotnikom polskim przypadł zaszczyt dopomóc lotnictwu brytyjskiemu w historycznej bitwie o Wielką Brytanię”.

W cyklu artykułów „Szlaki Nadziei”, które ukazywać się będą w „Biuletynie IPN” przez cały okres dzielący nas od rocznicy zakończenia wojny przypomnimy wybrane epizody polskiego marszu ku wolności. Nie przyniósł on Polsce niepod-

■ **PIERWSZA EWAKUACJA ARMII POLSKIEJ Z ZSRS, PAHLEVI, IRAN (PERSJA), KWIECIEŃ 1942 R.**
TŁUM UCHODźCÓW NA POKŁADZIE STATKU OCZEKUJE NA MOMENT PRZYBICIA DO BRZEGU
I ZEJŚCIA NA LĄD. FOT. INSTYTUT POLSKI I MUZEUM IM. GEN. SIKORSKIEGO W LONDYNIE



ległości – po zakończeniu wojny Polacy nie wrócili do wytęsknionej, suwerennej Ojczyzny – dowiódł jednak wyjątkowej determinacji narodu w dążeniu do wolności. I poświęcenia w walce o „wolność naszą i waszą”. Bez tego dążenia, okupionego „krwią, trudem, łzami i potem”, które utrwaliło tożsamość Polaków jako narodu niezłomnie walczącego o wolność, bylibyśmy innym narodem w latach najcięższej próby i nie cieszylibyśmy się wolnością dzisiaj.





BIEŁYJ ORIOŁ — ORGAN POLSKOJ ARMII W S. S. S. R.

Rok I, № 1

Niedziela, 7 grudnia 1941 r.

Cena 50 kop.

MAŁGORZATA PTASIŃSKA

TYGODNIK „ORZEŁ BIAŁY”.

ORZEŁ W WALCE O WOLNĄ POLSKĘ

Pierwszy numer „Orła Białego” trafił do rąk żołnierzy Armii gen. Władysława Andersa 7 grudnia 1941 r. w Buzułuku. Tygodnik nosił kolejno podtytuły: „Polska walcząca na Wschodzie” oraz „Polska walcząca na ziemi włoskiej”. W sprawach ideowo-politycznych „Orzeł Biały” był organem walki o niepodległą Polskę w granicach II Rzeczypospolitej, twardej i nieustępliwej walki o polską rację stanu, godność polityki państwa oraz niezależne stanowisko wojska. Powstało wokół niego środowisko promieniujące na postawę polskiego żołnierza, umacniające w nim wiarę w słuszność sprawy, o którą walczył i za którą ginął na frontach II wojny światowej.



omysł założenia pisma narodził się już z chwilą tworzenia Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS późnym latem 1941 r. Powstał z tęsknoty za Polską, za wiadomościami o losach Ojczyzny, z braku polskiego słowa drukowanego na „niehumanitarnej ziemi”. Jak wspominał gen. Anders, wydawanie pisma było konieczne, gdyż „żołnierz polski, który z takim hartem przetrwał najcięższe chwile niewoli, żołnierz ideowy, który wie, o co walczy, potrzebuje strawy duchowej, myśli i słowa polskiego”¹. Istotną rolę pisma było – poza dostarczaniem rzetelnych

¹ Jak powstał „Orzeł Biały”. Wywiad z gen. dyw. Władysławem Andersem, „Orzeł Biały”, nr 10/100, 30 IV 1944 r., s. 1.

informacji z teatru działań wojennych i międzynarodowej sytuacji politycznej – wzmacnianie poczucia wspólnoty oraz odpowiedzialności w wymiarze jednostkowym i narodowym, odwołanie do dziedzictwa Rzeczypospolitej Obojga Narodów i tradycji walk zbrojnych, jak również przeciwdziałanie propagandzie sowieckiej.

Tytuł wymyślił gen. Anders, uznając go za najważniejszy włączeniu wszystkich rodaków. „Od pierwszej zaś chwili, kiedy objąłem dowództwo nad Polskimi Siłami Zbrojnymi w Rosji, przyjąłem zasadę, że my, Polacy, musimy brać wszystko, co nas łączy, a odrzucić wszystko, co mogłoby nas dzielić”² – wyjaśniał. Mówiąc o linii pisma, generał podkreślał jego znaczenie jako jednego ze środków dowodzenia w dziedzinie wyszkolenia i wychowania, w umocnieniu siły moralnej żołnierzy, gotowości do każdego wysiłku i każdej ofiary, do wykonania zadania, które zapewni Polsce „całość, niepodległość i bezpieczeństwo”³.

W BUZUŁUKU I JANGI-JULU

„Orzeł Biały” był wydawany najpierw w Buzułuku przez Biuro Propagandy i Oświaty PSZ w ZSRS, którym kierował prof. Walerian Charkiewicz. Redaktorem pisma został Stanisław Strumph-Wojtkiewicz. Wydanie pierwszego numeru zbiegło się z rozpoczęciem wizyty premiera Rządu RP i Naczelnego Wodza w Rosji. Z tej okazji na stronie tytułowej znalazł się rozkaz gen. Andersa witający gen. Sikorskiego: „[...] my żołnierze Rzeczypospolitej, którym los niczego nie oszczędził, jesteśmy Mu wdzięczni za dwie rzeczy – że swoim twardym, zdecydowanym i nieugiętym stanowiskiem obudził na całym świecie podziw i szacunek dla Narodu i żołnierza polskiego; i że nas rozbitków wyratował, oswobodził nas z więzień i obozów i wcisnął nam w rękę z powrotem broń do walki za Ojczyznę”⁴. Znalazły się w nim również życzenia ambasadora RP w Kujbyszewie prof. Stanisława Kota dla „Orla Białego”: „We Francji i w Anglii, na Bliskim Wschodzie i w Kanadzie, gdziekolwiek pojawia się polski żołnierz pojawia się polskie pismo żołnierskie. [...] Myśli, pisma, słowa – potrzebuje jedynie żołnierz ideowy, taki, który wie za co i o co walczy. Oto żołnierze, jacy są Polsce potrzebni. Kiedyś owa »Dekada« dała żołnierzowi Legionów [Dąbrowskiego] prawdziwy fasunek idei, mocny

² *Ibidem.*

³ *Ibidem.*

⁴ Gen. dywizji Władysław Anders, *Rozkaz nr 6*, „Orzeł Biały”, nr 1, 7 XII 1941, s. 1.

zastrzyk myśli, malowała mu ona obraz Polski, o którą walczy. Pragnąłbym, aby »Orzeł Biały« podjął trud niełatwy przynoszenia polskiemu żołnierzowi w ZSRR takiego właśnie pokarmu»⁵. W tym pierwszym numerze Józef Czapski pytał też o zaginionych polskich oficerów i zadawał retoryczne pytanie: »Gdzie są? Co z nimi uczyniono?»⁶.

W kwietniu 1942 r. w Jangi-Julu, w nowej siedzibie dowództwa gen. Andersa mianował rtm. Czapskiego szefem Biura Propagandy i Oświaty PSZ w ZSRS. Redaktorem »Orla Białego» został Roman Hausner, zaś najważniejszą rolę w pracach redakcyjnych pełnili Zdzisław Bau i Zbigniew Raciński, których wspierała m.in. Zofia Hertz⁷.

Czapski wspominał, że pismo było rozchwytywane »przez zzarte tęsknotą, głodne słowa ojczystego rzesze polskie»⁸. Krzepiło tułaczy, podtrzymując tak wówczas trudną wiarę w wolną Polskę. W rubryce »Z życia naszych oddziałów» powracano do bohaterских walk Brygady Podhalańskiej w Norwegii i w obronie Wielkiej Brytanii. O zbrodniach niemieckich na narodzie polskim informowano w rubryce »Z Polski cierpiącej», opisując losy Warszawy, Grodna, Wilna i Lwowa. Kresom polskim poświęcano teksty historyczne i literackie. Pismo podlegało cenzurze sowieckiej, dlatego trudno było pisać o sytuacji Polaków w ZSRS, którym nie udało się wydostać z piekła »innego świata». W tygodniku swoje miejsce miał humor żołnierski, którego żarty słowne i zabawne rysunki w rubryce »Co w trawie piszczy?» stanowiły najlepsze antidotum na trudy wojny. Przeważnie zamieszczany był na ostatniej stronie pisma czy w dodatku humorystycznym »Łazik» z rysunkami Włodzimierza Kowański, nazywanego »polskim Disneyem». Ostatni numer »Orla Białego» na terenie Związku Sowieckiego ukazał się 25 lipca 1942 r.

OD IRANU DO WŁOCH

Na Bliskim Wschodzie z kolei pierwszy numer pisma ukazał się 20 września 1942 r. Na stronie tytułowej podano informacje o powstaniu Armii Polskiej na Wschodzie pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Nastąpiło to po połączeniu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS, tj. »prawosławnych» z »ramzesami», czyli wojskami polskimi

⁵ *Życzenia Ambasadora R.P. prof. St. Kota*, »Orzeł Biały», nr 1, 7 XII 1941, s. 2.

⁶ J. Czapski, *Nieobecni*, »Orzeł Biały», nr 1, 7 XII 1941, s. 3.

⁷ Z. Hertz, 60 lat »Orla Białego», »Zeszyty Historyczne» 2001, z. 138, s. 146; Z. Raciński, *Piskłęce lata »Orla Białego»*, *ibidem*, s. 146–152.

⁸ J. Czapski, *Na nieludzkiej ziemi*, Warszawa 1990, s. 228.

na Środkowym Wschodzie, w tym z Samodzielną Brygadą Strzelców Karpackich dowodzoną przez gen. Stanisława Kopańskiego oraz przybyłymi z Wielkiej Brytanii ochotnikami zwanymi „lordami”. W nowej formacji spotkali się żołnierze o różnych doświadczeniach wojennych, którzy przybyli z odmiennych światów. Przyniosło to rozwój ruchu umysłowego i wydawniczego na niespodziewaną skalę. Bliski Wschód za sprawą wojska i ludności cywilnej tętnił polskim życiem kulturalno-oświatowym.

„Orzeł Biały” był wydawany przez Wydział Informacji i Oświaty Armii Polskiej na Wschodzie, którym kierował Czapski. Jego najbliższym współpracownikiem został Jerzy Giedroyc – od marca 1943 r. szef Wydziału Wydawnictw i Czasopism. Pod jego wpływem tygodnik przeszedł metamorfozę, odmieniona została szata graficzna, nawiązująca do przedwojennej „Polityki” wydawanej przez Giedroycia⁹, zwiększyła się liczba stron (do 12) i nakład do ok. 7 tys. egzemplarzy.

Redaktorem pisma został karpатычык Józef Poniatowski. W skład redakcji weszli Tadeusz Kopeć, Ryszard Piestrzyński, Jan Ulatowski, Jarosław Żaba. Pojawiły się nowe „pióra”: Jan Bielatowicz, Zdzisław Broncel, Juliusz Mieroszewski, Melchior Wańkowicz, Adolf Bocheński. Coraz częściej pisywali Gustaw Herling-Grudziński, Herminia Naglerowa, wiersze ogłaszali m.in. Beata Obertyńska, Władysław Broniewski, a także poeci, których losy rzuciły za ocean lub do Wielkiej Brytanii: Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń, Stanisław Baliński, Marian Hemar.

Charakter pisma zmienił się z informacyjnego na publicystyczny. Teraz przeważały teksty polityczno-kulturalne. Nadal co prawda zamieszczano bieżące wiadomości, lecz zmienił się sposób ich podawania – pojawił się specjalny dodatek „Ostatnie Wiadomości Radiowe i Telegraficzne »Orla Białego«”. Dużą wagę przywiązywano do „Tygodniowego Przeglądu Wydarzeń”, który często był podstawą analitycznych artykułów na temat sytuacji politycznej i militarnej na świecie i w okupowanej ojczyźnie¹⁰. Na stronach kulturalnych śledzono rozwój polskiej prasy, zamieszczano recenzje wydawanych przez wojsko i oficyny rządowe książek, przedstawień teatralnych, szczególnie Teatru Dramatycznego APW, wystaw polskich żołnierzy-malarzy organizowanych na Bliskim Wschodzie.

⁹ Zmiany niniejsze były wprowadzone od numeru wrześniowego tj. 36/75 „Orla Białego” 1943 r.

¹⁰ W Warszawie, „Orzeł Biały”, nr 14/53, 11 IV 1943 r., s. 1–2. Dokończenie: „W Warszawie panuje porządek”, „Orzeł Biały”, nr 15/54, 18 IV 1943 r., s. 3. Z frontu podziemnego. Wieści z Polski, „Orzeł Biały”, nr 20/59, 23 V 1943 r., s. 9.

Jeden z kluczowych problemów poruszanych na łamach „Orla Białego” dotyczył stosunków polsko-sowieckich. Pierwszy numer pisma z roku 1943 otworzył artykuł Racięskiego, w którym autor kładł nacisk na sprawę ludności polskiej w Sowietach. Przekonywał, że nie wystarczą symboliczne gesty, że należy żądać „bardziej konkretnych i skutecznych dowodów współdziałania”¹¹. Zbiegło się to z zapowiedzią wizyty gen. Sikorskiego w Moskwie celem kontynuowania rozmów ze Stalinem o wzajemnej pomocy i współpracy powojennej Polski i Związku Sowieckiego. W jednym z kolejnych numerów Racięski nawiązał do tradycji powstań narodowych, do walk z carskim ciemniwą o niepodległą Polskę. Tekst ukazał się w osiemdziesiątą rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego i został zakończony kasandryczną przestrogą: „Musimy, gdy godzina pogromu wroga wybije, stanąć w kraju pierwsi”¹².

Redakcja pisma przedstawiała jasno, *explicite* obraz stosunków polsko-sowieckich. Prezentowała stanowisko władz RP wobec podważania przez Związek Sowiecki prawa Polski do ziem wschodnich. Ujawniała prawdę o zbrodni Stalina na polskich oficerach w Katyniu. Numer „Orla Białego” poświęcony zamordowaniu Polaków w lesie pod Smoleńskiem, zawierający stanowisko Rządu RP w tej sprawie, komunikat ministra obrony narodowej gen. Kukieła i rozmowę z Józefem Czapskim o Starobielsku¹³ – został oceniony przez Anglików. Ślady cenzury angielskiej znalazły się także w numerze kolejnym, m.in. we wspomnieniu Janusza Wedowa z Kozielska czy informacjach o zerwaniu przez Związek Sowiecki kontaktów dyplomatycznych z Polską 25 kwietnia 1943 r.¹⁴. Jeśli cenzurę sowiecką można było obejść, użyć wobec niej fortelu, podobne zachowanie było niemożliwe wobec cenzorów angielskich.

Jeszcze 6 czerwca 1943 r. „Orzeł Biały” witał Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego, który przybył na Bliski Wschód¹⁵. W numerze opublikowano jego oświadczenie z ostatniej chwili, w którym generał wyraził swoją radość z przyjazdu do Armii Polskiej: „żołnierze polscy, gdziekolwiek są, stanowią jedną całość, tak jak oni w Kraju, tak my tutaj, jak i ci w Wielkiej Brytanii. [...] Trudności są duże. Polska ma wielu potęż-

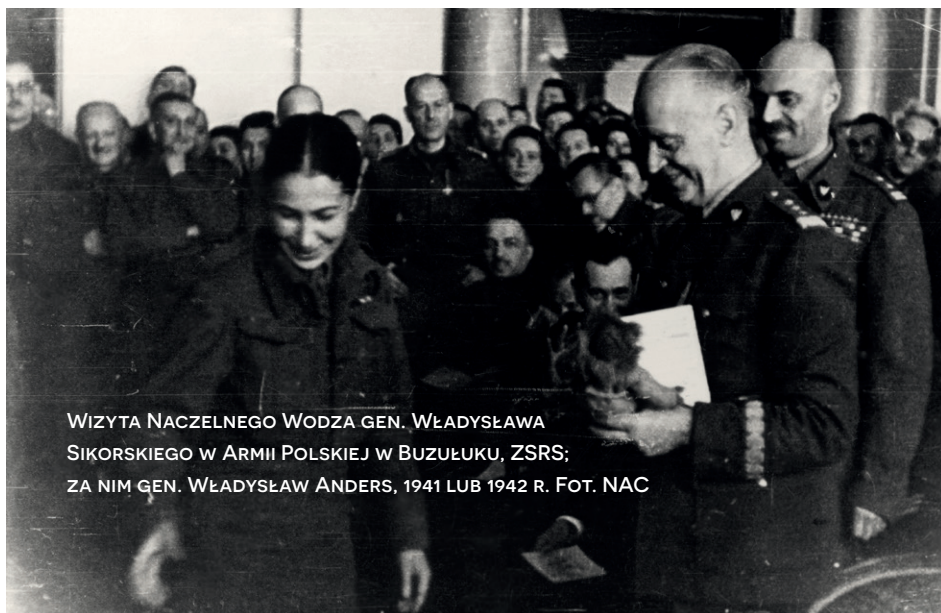
¹¹ Z. Racięski, *Najpilniejsze zagadnienie*, „Orzeł Biały”, nr 1/40, 3 I 1943 r., s. 1.

¹² *Idem*, *Tradycja krwi*, „Orzeł Biały”, nr 4/43, 24 I 1943 r., s. 1.

¹³ (Tytuł skonfiskowano), „Orzeł Biały”, nr 16/55, 25 IV 1943 r., s. 2.

¹⁴ J. Wedow, *Wspomnienia z Kozielska. Dzień jakich było wiele...*, „Orzeł Biały”, nr 17/56, 3 V 1943 r., s. 2–3.

¹⁵ *Witamy Naczelnego Wodza*, „Orzeł Biały”, nr 22/61, 6 VI 1943 r., s. 1



WIZYTA NACZELNEGO WODZA GEN. WŁADYSŁAWA
SIKORSKIEGO W ARMII POLSKIEJ W BUZULUKU, ZSRS;
ZA NIM GEN. WŁADYSŁAW ANDERS, 1941 LUB 1942 R. FOT. NAC

nych wrogów. Przemożemy ich zachowując jedność dotychczasową”¹⁶. W tygodniku szczegółowo przedstawiono każdy etap wizyty wśród żołnierzy, publikowano jego przemówienia. A już 11 lipca redakcja „Orla Białego” żegnała gen. Sikorskiego, który zginął 4 lipca 1943 r. w katastrofie pod Gibraltarem.

O ile wybór gen. Kazimierza Sosnkowskiego na nowego Naczelnego Wodza spotkał się z uznaniem środowiska tygodnika, to Stanisław Mikołajczyk wysunięty na premiera Rządu Polskiego na Obczyźnie i sformułowany przez niego rząd został przez nie przyjęty chłodno. Obawiano się prowadzenia polityki ugodowej w stosunku do Związku Sowieckiego i uległej wobec Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Publicystyka „Orla Białego” ukierunkowana była na sprawę niepodległej Polski w granicach sprzed września 1939 r. po zakończeniu wojny. Rozpisywano się o federacji środkowo-wschodniej Europy, powracając w tym kontekście do planów Józefa Piłsudskiego. Adolf Bocheński uznał za jedną z głównych zdobyczy polskiej myśli politycznej emigracji „ogólne zrozumienie dla ideałów federacyjnych”. Pisał, że jeśli „nie uda się zapanować nad ciasnym, zaściankowym nacjonalizmem, lepiej od razu pożegnać się z ideą federacji”¹⁷.

Na agendę pisma ponownie wróciła kwestia relacji z Sowietami wraz z presją ze strony aliantów. Zaostrzeniu uległ ton artykułów, w których protestowano po konfe-

¹⁶ Oświadczenie Naczelnego Wodza, *ibidem*, s. 5.

¹⁷ A. Bocheński, *Trudności polityczne federacji środkowo-europejskiej*, „Orzeł Biały”, nr 43/82, 31 X 1943 r., s. 2.

rencjach ministrów spraw zagranicznych „wielkiej trójki” w październiku w Moskwie, a przede wszystkim przeciw ustaleniom konferencji jej przywódców w Teheranie w listopadzie 1943 r. Tytuły artykułów z pierwszych stron brzmiały: „Nic bez naszej zgody” czy „Wolność nie może być frazesem”¹⁸. Na pierwszej stronie wydrukowano przemówienie Naczelnego Wodza gen. Sosnkowski do żołnierzy 14 listopada 1943 r., w którym powiedział: „Chwile, jakie idą wymagać będą od Polaków największego wysiłku duszy i nerwów. [...] Polacy nie chcą jednak za żadną cenę pogodzić się z perspektywą rozbioru jednego z sojuszników na rzecz drugiego. Naród nasz [...] nie może znaleźć się w dniu zwycięstwa w sytuacji, w której prawa Polski miałyby ulec uszczupleniu. Byłby to zły start świata ku przyszłości, która ma być przecież lepszą, opartą o zasady sprawiedliwości, wolności i bezpieczeństwa”¹⁹.

POLSKA WALCZĄCA NA ZIEMI WŁOSKIEJ

Już w grudniu 1943 r. część 2 Korpusu Polskiego znalazła się we Włoszech. Pierwszy europejski numer „Orla Białego” został wydany 30 kwietnia 1944 r. w Campobasso i był zarazem setnym numerem tygodnika. Na łamach pisma szczegółowo opisywano męstwo polskich żołnierzy w bitwie o Monte Cassino, analizowano przebieg natarcia. Na stronie tytułowej zamieszczono zdjęcie ze zwycięską białą-czerwoną flagą, która powiewała na ruinach klasztoru. Relacje z przebiegu walk złożyli m.in. Jan Bielatowicz i Klemens Rudnicki, dowódca 5 Kresowej Dywizji Piechoty²⁰.

W tygodniku nadal panował ostry kierunek publicystyki politycznej wobec narastających obaw o powodzenie spraw polskich. W atmosferze odniesionego zwycięstwa nad Niemcami Adolf Bocheński opublikował jeden z ważniejszych ówczesnie artykułów dotyczący polityki Stalina wobec Polski. Przekonywał w nim, że losy narodu i państwa polskiego zależały od przywódcy Związku Sowieckiego. Autor proroczo zarysował jego taktykę, plany nieformalnego włączenia Polski do Rosji sowieckiej. Jego zdaniem zakładały one posłużenie się Związkiem Patriotów Polskich i wytworzenie wrażenia, iż nie dążył on do przejęcia władzy oraz wprowadzenia ustroju komunistycznego w Polsce.

¹⁸ ARP [R. Piestrzyński], *Nic bez naszej zgody* „Orzeł Biały”, nr 45/84, 14 XI 1943 r., s. 1.; J. Ulatowski, *Wolność nie może być frazesem*, „Orzeł Biały”, nr 47/86, 28 XI 1943 r., s. 1.

¹⁹ *Naczelnny Wódz mówi*, „Orzeł Biały”, nr 46/85, 21 XI 1943 r., s. 1.

²⁰ J. Bielatowicz, 593, „Orzeł Biały”, nr 14/104, 28 V 1944 r., s. 8; K. Rudnicki, *Bitwa Polskiego Korpusu o Monte Cassino*, *ibidem*, s. 3, 8 i 9.

A utworzony przez niego rząd byłby jedynie bliski Rosji sowieckiej. Bocheński przewidywał też stworzenie jakiejś formy połączenia pomiędzy legalnym rządem w Londynie a zwolennikami unii polsko-rosyjskiej, co podważyłoby w oczach Zachodu poczucie, „iż nasz rząd legalny istotnie reprezentuje Polskę”²¹.

Zanim złowieszczy scenariusz zaczął się spełniać, zwycięstwem zakończyła się bitwa o Ankonę toczona w dniach 13–18 lipca 1944 r. Była jedyną samodzielną operacją przeprowadzoną siłami 2 Korpusu Polskiego. W „Orle Białym” napisano o jej znaczeniu, znakomitym dowodzeniu przez gen. Andersa, o przybyciu do Ankony Naczelnego Wodza gen. Sosnkowskiego, który obserwował jej przebieg. W tekście nawiązano także do niezłomnej postawy obu generałów, którzy nie zgadzali się na żadne ustępstwa terytorialne na rzecz Związku Sowieckiego i stali na stanowisku poszanowania traktatu ryskiego. „Wiemy, że to twarde stanowisko [...] mimo, że obaj szczerze pragną – pisało – dobrych, sąsiedzkich stosunków z Rosją, ściągnęło na nich perfidny atak ze strony wrogich czynników tylko dlatego, że nie chcą oni umniejszania Rzeczypospolitej. Czyżni się wszystko aby poderwać w świecie ich autorytet. Ale im więcej jest tych ataków im bardziej bezwzględne stają się naciski, serca żołnierskie tym silniej się z nimi wiążą, bo żołnierz chce widzieć w nich w tych ciężkich czasach symbol nieustępliwości Polski”²².

W numerze znalazła się równocześnie smutna wiadomość o tragicznej śmierci Adolfa Bocheńskiego pod Ankoną przy rozbrajaniu miny. Przyjaciela i żołnierza pożegnał Józef Czapski, stwierdziwszy, że „Bocheński rozumiał dobrze konieczność wyboru, nawet konieczności politycznych kompromisów, ale należał do tych ludzi, którzy na każdym kroku gotowi są wybrać prędzej śmierć niż zafałszowanie, skurczenie tego, w czym widział istotę wielkiej tradycji i wielkiej kultury polskiej”²³.

Czapski napisał te słowa już po ustąpieniu z szefowania Oddziałem Kultury i Prasy, jego następcą został rtm. Tadeusz Świącicki²⁴. Decyzję swoją podjął po oburzeniu, krytyce ze strony gen. Andersa zestawieniem przez Bielatowicza w „Orle Białym” bitwy pod Monte Cassino z bitwami pod Tobrukiem i El-Gazal²⁵. Dymisja Czapskiego pociągnęła

²¹ A. Bocheński, *Polska w polityce Stalina*, „Orzeł Biały”, nr 17/107, 18 VI 1944 r., s. 1, 2.

²² *Ancona – Powitanie Naczelnego Wodza*, „Orzeł Biały”, nr 22/112, 23 VII 1944 r., s. 1.

²³ J. Czapski, *Ppor. Adolf Bocheński*, *ibidem*, s. 5.

²⁴ Na łamach pisma koledzy pożegnali Czapskiego tekstem: *Od Kapistów do „Orla Białego”*, „Orzeł Biały”, nr 18/108, 25 VI 1944, s. 3.

²⁵ J. Bielatowicz, *Libia i Cassino*, „Orzeł Biały” nr 15/106, 11 VI 1944 r., s. 3.

kolejne odejścia z Oddziału, gdyż „nastąpiła atmosfera obca i nieprzyjemna”²⁶. Zrezygnował Giedroyc, a potem odeszli Poniatowski i Ulatowski, za nimi zaś Stanisław Gierat, zastępca Czapskiego²⁷. Redaktorem pisma został Ryszard Piestrzyński. Zmiany personalne dokonały się na przestrzeni kilku miesięcy od czerwca do października 1944 r.

W międzyczasie tygodnik kontynuował bezkompromisową walkę z polityką ugodową rządu, szczególnie premiera Mikołajczyka. Krytykował jego pierwszą wizytę w Moskwie²⁸, pytając retorycznie: „Co dalej?”²⁹. Zbiegła się ona z wybuchem Powstania Warszawskiego. Na łamach „Orla Białego” apelowano o pomoc dla walczącego miasta. Donoszono o mordowaniu, poniewieraniu ludności cywilnej, o niszczeniu dzielnic i zabytków, o nadludzkim wysiłku warszawiaków. Opublikowano dramatyczny apel Naczelnego Wodza do międzynarodowej opinii publicznej o pomoc dla stolicy Polski³⁰. W tej trudnej chwili gen. Anders nie pozwolił redakcji „Orla Białego” na wydrukowanie rozkazu nr 19 gen. Sosnkowskiego do „Żołnierzy Armii Krajowej” w piątą rocznicę wybuchu wojny, w którym krytykował Anglosasów za bierność wobec walczącej Warszawy³¹. Uważał, że jego opublikowanie miałyby złe skutki dla 2 Korpusu Polskiego, za którego losy czuł się odpowiedzialny.

Tygodnik stanął po stronie Naczelnego Wodza w konflikcie z rządem, który pod naciskiem Anglików i Mikołajczyka zdecydował o zdymisjonowaniu gen. Sosnkowskiego z pełnionej funkcji z dniem 30 września 1944 r. W pożegnalnym numerze wydrukowano ostatni rozkaz gen. Sosnkowskiego do żołnierzy, w którym dziękował za wierną i pełną poświęcenia służbę, jak też rozkaz i list prezydenta RP Władysława Raczkiewicza³².

Po konferencji w Jałcie w tygodniku napisano, że „przeżywamy wszyscy najcięższe chyba chwile naszego życia”. Przekonywano, iż nie ugniemy kolan! Generał Anders wystosował rozkaz do żołnierzy 2. Korpusu, w którym zapewniał: „Nie uznajemy i nie

²⁶ J. Poniatowski (oprac. Florian Śmieja), *Redaktor „Orla Białego” odchodzi*, „Archiwum Emigracji”, 2006, z. 1–2 (7–8), s. 339–349.

²⁷ P. Kardela, *Stanisław Gierat 1903–1977. Działalność społeczno-polityczna*, Szczecin 2000, s. 151–152.

²⁸ ARP, *Na rozstajach dróg*, „Orzeł Biały”, nr 29/119, 10 IX 1944 r., s. 1 i 2.

²⁹ ARP, *Co dalej?*, „Orzeł Biały”, nr 26/116, 20 VIII 1944 r., s. 1.

³⁰ D.I., *Warszawa woła o pomoc!*, „Orzeł Biały”, nr 26/116, 20 VIII 1944 r., s. 6.

³¹ P. Kardela, *Stanisław Gierat 1903–1977...*, s. 150–151.

³² *Rozkaz i list Prezydenta R.P.*, „Orzeł Biały”, nr 33 /123, 8 X 1944 r., s. 1.

uznamy jednostronnych decyzji oddających nasz Kraj na pastwę bolszewików. Naród Polski w tej wojnie wznosił się na szczyty bohaterstwa. Pojęcie Honoru, Wolności i Sprawiedliwości jest jednakie dla wszystkich cywilizacji narodów. Za tę świętość przelaliśmy morze krwi. [...] Jako wasz dowódca, uczynię wszystko, aby postępowanie nasze było takie, jak wymagać będzie dobro Ojczyzny i Honor Narodu. Pamiętajcie zawsze o tym, że im ciężiej nam będzie, tym bardziej musimy być zwarci, zdyscyplinowani, spokojni i mieć wiarę w sercu”³³.

W dramatycznych okolicznościach dla jedności państwa polskiego prezydent RP zdecydował o powierzeniu gen. Andersowi pełnienia obowiązków Naczelnego Wodza. W komentarzu Piestrzyński uznał tę decyzję za logiczną i słuszną, gdyż dokonania generała predestynowały go do „powierzenia mu tego, co posiadamy dziś najcenniejszego i najbardziej wartościowego – polskich sił zbrojnych, walczących o Polskę naprawdę niepodległą, zjednoczoną i niezafałszowaną”. Dalej redaktor „Orla Białego” przekonywał, że „sytuacja obecna wymaga od nas bardzo wiele, przede wszystkim jednak żąda przezwyciężania w nas podszeptów rozpacz i zniechęcenia. [...] Musimy umieć stanąć na wysokości nowych nadludzko ciężkich zadań, które na nas spadają, biorąc sobie za wzór nasz Kraj, który z niczego zrezygnować nie chce”³⁴. W tych trudnych dla narodu polskiego chwilach nie do przecenienia była rola „Orla Białego” we wzmacnianiu w rodakach ducha walki, jednoczenia do dalszego wysiłku, którego celem była niepodległa Polska.

Ostatni numer „Orla Białego” na ziemi włoskiej ukazał się 27 października 1946 r. Dalej wychodził w Londynie, odgrywając ważną rolę w życiu społecznym i kulturalnym polskiej emigracji. Z dziedzictwa wojennego „Orla Białego”, jego dorobku duchowego i intelektualnego czerpały kolejne pokolenia naszego uchodźstwa niepodległościowego.

³³ Nie uznajemy i nigdy nie uznamy jednostronnych decyzji, „Orzeł Biały”, nr 7/142, 18 II 1945, s. 2; Krymskie uchwały, *ibidem*, s. 5.

³⁴ ARP., Ciężar odpowiedzialności, „Orzeł Biały”, nr 9/144, 4 III 1945, s. 1.



Małgorzata Ptańska – historyk, dr, pracuje w Biurze Badań Historycznych IPN w Warszawie. Autorka książek: *Z dziejów Biblioteki Kultury 1946–1966* (2006); (z T. Łabuszewskim i A. Obrębską) *Przez Morze Czerwone. Rzeczpospolita Polska na uchodźstwie 1945–1990* (2019) i in.



MICHAŁ ADAMCZYK W MUNDURZE
ST. POST. PP. FOT. MUZEUM KATYŃSKIE

ZIEMIA OD MUNDURÓW BYŁA GRANATOWA

RELACJA IRENY ERCHARD O MICHALE ADAMCZYKU

W dniu wybuchu wojny byłam niespełna czteroletnim dzieckiem, więc co takie dziecko może niby pamiętać? A ja doskonale pamiętam wszystko. Te przeżycia związane z utratą ojca, do dzisiaj się to czuje – mówiła Irena Erchard córka policjanta zamordowanego przez NKWD w 1940 r. Przez całe życie kultywowała pamięć o ojcu i przedwojennej Policji Państwowej.

Ojciec mój, Michał Adamczyk, komendant posterunku Policji Państwowej w Sarnkach na Podlasiu, 17 września 1939 r. wraz z dwoma kolegami – Feliksem Kuciem i Wiktorem Śnieżkiem – dostali się do niewoli sowieckiej i zostali osadzeni w obozie w Ostaszkowie. Ojciec mój zostawił troje małych dzieci. Najmłodsza moja siostra urodziła się w lutym 1940 r. Żal utraty ojca, który nosiliśmy w sercach przez całe życie, spowodował, że od początku transformacji w 1989 r. postanowiliśmy walczyć o prawdę i o odnalezienie miejsca pochówku ojca, bo przecież nie

wiadomo było gdzie [jest pochowany]. Jedynym śladem była kartka pocztowa wysłana w 1940 r. z Ostaszkowa, która do dziś jest dla nas wielką drogą relikwią. „Kochana żono, kochane dzieci”. My na pamięć żeśmy to znali. „Znajduję się w Rosji sowieckiej. Jestem żyw

i zdrow. Przyjdzie czas, że niedługo zobaczymy się. Czy Rysio i Ircia – ojciec pyta o mnie, bo ja mam na imię Irena, i o brata – często mnie wspominają? Jak zdrowie twoje i dzieci? Często widzę was we śnie i wspominam was. Przyjdzie czas, że niedługo zobaczymy się”.

Jak przyszedł [ten list], to listonosz nie chodził po całej miejscowości z listami, tylko umówiona była godzina i on przed pocztą wyczytywał głośno, że jest korespondencja tam do tej i do tej osoby. I ja z bratem, myśmy tam codziennie, miesiącami chodzili, bo czekaliśmy na jakiś list od ojca. Pewnego dnia jest do nas list! Wyobrażacie sobie, co

te dzieci czuły? Jak one biegły do matki do domu? Nie wiem, czy nam się nogi wtedy nie poobcierały i mało [ich] nie połamaliśmy. W taki sposób właśnie przyszedł ten list. To była radość niesamowita. Za tydzień urodziła się moja siostra, po tym liście. Mama była



POSTERUNEK
POLICJI PAŃSTWOWEJ
W SARNAKACH

FOTOGRAFIA GRUPOWA POLICJANTÓW,
MICHAŁ ADAMCZYK DRUGI OD LEWEJ.
FOT. MUZEUM KATYŃSKIE



taka szczęśliwa, że napisze ojcu o tym urodzonym dziecku.

Moja mama zmarła w 1977 r., nigdy się nie doczekała prawdy, ale nam powiedziała, w czasie okupacji dowiedzieliśmy się wszyscy. Później był problem, gdzie się znajduje obóz Ostaszków, gdzie został zlikwidowany, gdzie ten ojciec jest. Podobno poprzez zdjęcia lotnicze został odkryty cmentarz w Miednoje. I stąd dowiedzieliśmy się, że tam z Ostaszkowa byli wszyscy zlikwidowani, zamordowani. Byli rozstrzelani po dwieście osób każdej nocy, wywozili ich tam jakimś drugim wyjściem, na ciężarowe samocho-

dy wrzucali, a potem do dołów śmierci. Tak samo było i w Katyniu, bo przecież świadkowie byli, którzy opisywali dokładnie to wszystko.

Jak się już dowiedzieliśmy, gdzie tata jest pogrzebany... Ja nigdy nie mówię, że tata został pogrzebany. Został

wrzucony do dołu śmierci. Wrzucony. Bo przecież oni nie grzebali pojedynczo, tylko sterty ciał. W pewnym momencie, jak już zaczęto mówić oficjalnie o Zbrodni Katyńskiej, ekshumacje się zaczęły i była tak zwana prokurator-ska ekshumacja w Miednoje. Dokopali się tam do szczątków, zbadali, że to

są Polacy, zbadali, że to jest policja. Charakterystyczne było, że jak kopali ziemię, to ziemia była na pewnej głębokości granatowa. Od granatowych mundurów, policja nosiła granatowe mundury. Pamiętam, wtedy był bardzo uroczysty pogrzeb. Mój brat, on mieszka za granicą w tej chwili, przyjechał do Polski. Zawiadomiłam



MICHAŁ ADAMCZYK Z RODZINĄ.
FOT. MUZEUM KATYŃSKIE

go. – Jak chcesz być na pogrzebie ojca, natychmiast przyjeżdżaj do Warszawy. – Ale dlaczego tak szybko? – Tak szybko, bo musisz wzięć rosyjską sobie wyrobić. – I byliśmy wszyscy na pogrzebie w Miednoje. Wybieraliśmy sobie na terenie tego lasu, bo to był

las, jakiś krzyż, bo tam ekipa ekshumacyjna zostawiła mnóstwo krzyży. I jak rodziny jeździły tam, to wybiera-

ły sobie jakiś krzyż i tabliczkę ze zdjęciem i nazwiskiem swego ojca wieszały.

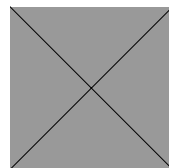
Oprac. Julia Krajewska

Michał Adamczyk (1903–1940)

Komendant posterunku Policji Państwowej w Sarnakach na Podlasiu w latach 1937–1939, jeniec obozu w Ostaszkowie, zamordowany przez NKWD w 1940 r. Syn Antoniego i Walentyny Dominiak. Jako piętnastolatek brał udział w rozbrajaniu Niemców w 1918 r., a 21 sierpnia 1920 r. jako ochotnik wstąpił do piechoty i uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej. W 1928 r. zgłosił się jako kandydat kontraktowy na szeregowego Policji Państwowej. W 1929 r. został skierowany na II Kurs w Szkole Szeregowych PP w Żyrardowie. Po trzymiesięcznym przeszkoleniu rozpoczął pracę policjanta na Kresach Wschodnich: w Kamieniu Koszyrskim, w Pniewnie, w Kowlu, a później na Podlasiu w Węgrowie, Skórcu i Sarnakach. W tych ostatnich objął stanowisko komendanta posterunku. W policji przepracował łącznie jedenaście lat. W 1938 r. „za zasługi w służbie bezpieczeństwa publicznego” odznaczony został przez premiera Rzeczypospolitej Polskiej Brązowym Krzyżem Zasługi. We wrześniu 1939 r. na mocy dekretu premiera RP o mobilizacji PP otrzymał wezwanie do punktu zbornego. Szukając właściwego miejsca zbiórki wraz z kilkoma podkomendnymi, został pojmany przez żołnierzy sowieckich i trafił do obozu przejściowego w Juchnowie w obwodzie smoleńskim. Stamtąd 26 października został odesłany do obozu w Ostaszkowie, gdzie dotarł 29 października 1939 r. O jego losie żona dowiedziała się z kartki pocztowej z Ostaszkowa, datowanej 1 stycznia 1940 r. Został zamordowany w Kalininie (obecnie Twer). O jego śmierci z rąk sowieckich rodzina dowiedziała się dopiero w latach dziewięćdziesiątych, kiedy też zidentyfikowano jego szczątki.

PEŁNA NOTACJA NA PORTALU [OPOWIEDZIANE.IPN.GOV.PL](https://opowiedziane.ipn.gov.pl)

OPOWIEDZIANE 
ARCHIWUM HISTORII MÓWIONEJ IPN



GWARANCJĄ REGULARNEGO OTRZYMYWANIA „BIULETYNU IPN”

PRZY PRZELEWIE
- SWÓJ NUMER
KONTA
PRZY WPŁACIE
GOTÓWKĄ
- KWOTA
SŁOWNIE

PRZY PRZELEWIE
- SWÓJ NUMER
KONTA
PRZY WPLĄCIE
GOTÓWKĄ
- KWOTA
SŁOWNIE

 DANE OSOBY,
DLA KTÓREJ
ZAMAWIANA JEST
PRENUMERATA:
IMIĘ NAZWISKO
DOKŁADNY
ADRES

ZAMÓW „BIULETYN IPN” BEZPOŚREDNIO DO DOMU!



Koszt prenumeraty

od nr. 10 do nr. 12 2023 wynosi **24 zł.**

Otrzymają Państwo 3 kolejne numery (po 160 stron).

Do każdego numeru dodajemy płytę DVD z filmem lub muzyką.

Zamówienie prenumeraty można składać za pomocą blankietu płatniczego zamieszczonego na poprzedniej stronie.

Prosimy o przesłanie informacji o wpłacie

- mailem pod adresem: prenumerata@ipn.gov.pl

- lub pocztą: Instytut Pamięi Narodowej – Księgarnia IPN, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa

Na te adresy można też przysyłać zamówienia z prośbą o podanie możliwych form płatności.

Wszelkie informacje, w tym także o prenumeracie zagranicznej i numerach archiwalnych pod numerami: (22) 581-86-78, (22) 581-86-79.

Informacje związane z ochroną danych osobowych: <https://ipn.gov.pl/pl/o-ipn/ochrona-danych-osobowyc>

**W PRENUMERACIE TANIEJ
I BEZ DOLICZANIA
KOSZTÓW PRZESYŁKI**